

SIECI

CHORA NA COVID

**DOROTA
ŁOSIEWICZ**

**O LECZENIU
I SZCZEPIENIACH**

**O CO CHODZI
W WOJNIE
MICHNIKA Z AGORĄ**



**DOWÓDCA WOJSK OBRONY TERYTORIALNEJ
GEN. WIESŁAW KUKUŁA:
NA GRANICY ANI KROKU WSTECZ!**



SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 49 (471) 2021
6-12 grudnia 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

**KRYZYS POLITYCZNY
I OSOBISTY NARASTAŁ
OD MIESIĘCY.**

**TERAZ CZEKA GO
DŁUGA WALKA
O ZDROWIE.**

**CO NAPRAWDĘ
SIĘ STAŁO?**

DRAMAT GOWINA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269106

Prezentami rządzisz

Nowy superpakiet ze sportem **już za 60 zł/mies.**

Dekoder polsat box I 4K lite **za 1 zł.**


polsat sport
premium

Na start
3 miesiące
pełnej oferty TV bez opłat



polsat box 

Wybierz swoje wszystko

TV satelitarna TV kablowa IPTV

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach na pakiet M Sport ze zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za Internet. Technologia kablowa IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekoder. „Od 1 zł” – opłata uiszczana przy podpisaniu umowy dotyczy aktywacji i udostępnienia dekodera. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. Oferta ważna na dzień 26.11.2021 r.

W obronie własnej

Do dziś nie wiem, co w okresie największego nasilenia ataków na polską granicę było bardziej bolesne: cynizm metod używanych przez białoruski reżim, w tym jego propagandę, czy przyłączenie się do tej narracji przez największe media w Polsce i część tzw. aktywistów opozycji?

Bywały i bywają dni, że nie można odróżnić głównych wydań dzienników telewizyjnych „amerykańskich” stacji w Polsce od państwowych nadawców białoruskich.

Z jednej strony wszystko to uświadamia nam, jak kruche jest poczucie bezpieczeństwa, jak trzeba – każdego dnia – pilnować Polski. Z drugiej – widzimy skalę i siłę wdrutowanej w nasze życie publicznej zorganizowanej niechęci do polskiej państwowości i jej fundamentów. Takich jak szczelna granica, szacunek dla służb mundurowych, przestrzeganie prawa.

Każdy Polak był świadkiem deptania tych wartości przez sojusz ludzi głupiutkich i cyników, sojusz zdolny do każdej niegodziwości, jeśli tylko będzie miała antyrządowy znak. Zaczęło się od prób przebijania granicy, niszczenia urządzeń granicznych, atakowania żołnierzy, strażników granicznych, policjantów. „Proszę podać nazwisko!” – żądał w zapale funkcjonariusz jednej z wielkich komercyjnych telewizji, usiłując zrobić z obrońcy polskiej granicy jakiegoś przestępcę. Pewna posłanka z odległości kilku centymetrów nagrywała twarze żołnierzy, inni próbowali przepychanek, ucieczek.

Następnie była akcja mająca na celu pomoc Łukaszence przez organizację kanału przejmowania migrantów po polskiej stronie. W tym z udziałem byłych (?) dziennikarzy. On pchał ludzi na granicę, oni próbowali ją dla nich otworzyć.

Wreszcie seria kłamstw, opowieści o rzekomych tragediach, tak mierzonych, by wywołać największe możliwe emocje. A więc dzieci, kobiety, ciąży. Na chwilę nawet uznali, że nienarodzone dziecko to jednak dziecko, a nie zlepek komórek. Wszystko po to, by Polacy uwierzyli, że po stronie polskiej jest podłość, a ściągnięci przez Łukaszenkę i rzućeni na polskie granice agresorzy to czyste dobro.

Pomijano siłę i brutalność ataku na polskich strażników.

Atak trwa, będzie zapewne przechodził jeszcze różne fazy. Służby polskie podają informację o działaniach Mińska zmierzających do otwarcia nowych źródeł „dostaw”, możliwe, że z Afganistanu. Bardzo prawdopodobna jest coraz większa „profesjonalizacja” atakujących, szkolenie ich, by stali się grupami paramilitarnymi przebranymi za migrantów. Budowa trwałej zapory jest konieczna i dobrze, że ma szybko ruszyć.

Równocześnie toczy się wojna informacyjna. Ulubioną frazą opozycji i jej mediów jest twierdzenie, że polska przegrywa tę walkę, bo nie dopuściła dziennikarzy na granicę.

To nieprawda.

Odwrotnie: Polska wojnę informacyjną wygrywa właśnie dlatego, że w obronie własnej nie dopuściła na granicę dziennikarzy i udających dziennikarzy. Niestety, duża część osób, które parły do obecności na granicy, pełniłaby funkcję tub powielających propagandę i perspektywę białoruską.



Z publikowanych materiałów można wnioskować, że polski żołnierz to dla nich często nikt, pchany zaś przez Łukaszenkę migrant, agresywne bandy rzekomych uchodźców to świętość. Celem wielu mediów nie było relacjonowanie obrony polskiej granicy, ale pomoc w jej przebiciu. Dlatego ich opowieści zaczynają się na granicy; źródła kryzysu – w postaci gry Łukaszenki, który męczy swój własny naród – jakoś im nagle umykają. Dlatego tak lekko miotają obelgi wobec obrońców granic (najnowsza to „szmalcownicy”) i tak lekko, w sorosowym stylu, przyrównują samoobronę państwa do stanu wojennego.

Równanie było i niestety jest proste: więcej tego typu relacji z granicy to więcej manipulacji, oskarżeń wobec polskich strażników i żołnierzy oraz mniej prawdy.

Ograniczenie tego chaosu przyniosło więcej skupienia na tym, co dzieje się naprawdę. Uniemożliwiono tworzenie dezinformacji na wielką skalę.

Nie wierzymy zatem, gdy mówią, że to przegraliśmy. W sferze obrony bezpośredniej i w obszarze informacyjnym Polska na razie może mówić o sukcesie.

A jednym z jego powodów było dobre rozeznanie, jaką rolę chcą odegrać w sprawie niektóre największe media w Polsce i lewicowe media zagraniczne. Dokładnie taką, jaką odegrały w Niemczech, Francji, Włoszech, Hiszpanii – wszędzie tam paraliżując wolę obrony, używając paskudnych szantaży moralnych. U nas to się nie udało.

Michał Karnowski



44

Ład Platformy
Stanisław Janicki



50

Z Grażyną Ignaczak-Bandych
rozmawia Dorota
Łosiewicz



69

„Babilon”, czyli raport
o stanie wojennym
Jolanta Gajda-
Zadzworna

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 KOMITET OBRONY D.**
Krzysztof Feusette
- 9 ODPŁOWYWANIE KORZENI**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 JAKIŚ OMIKRON...**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 FASZYZM BEZOBJAWOWY**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA SANDRY MEUNIER**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 SERIALE – NARZĘDZIE SOFT POWER**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 FELIETONY**
Tomasz Łysiak
- 18 BERLIN WAŻNIEJSZY NIŻ POLSKIE DZIECI**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 22 POGUBIONY**
Marek Pyza, Marcin Wikło

NOWY RZĄD W BERLINIE

- 25 CO NIEMCY SZYKUJĄ EUROPIE**
Aleksandra Rybińska
- 29 ZERWAĆ Z PRAGMATYZMEM MERKEL**
Jan Rokita

KRAJ

- 32 COVID SAM W DOMU**
Dorota Łosiewicz
- 35 STRACH POWRÓCIŁ**
Marek Budzisz
- 38 Z GEN. WIEŚŁAWEM KUKUŁĄ**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło
- 44 ŁAD PLATFORMY**
Stanisław Janicki
- 47 KŁÓTNIA W RODZINIE**
Konrad Kołodziejski

- 50 Z GRAŻYNĄ IGNACZAK-BANDYCH**
rozmawia Dorota Łosiewicz

- 54 JAK SPRZĄTACZKA POGONIŁA MARTĘ LEMPART**
Jakub Augustyn Maciejewski

OPINIE

- 56 Z DARIUSZEM KOWALCZYKIEM SJ**
rozmawia Goran Andrijanić

ŚWIAT

- 60 DISNEYLAND W NOTRE DAME?**
Grzegorz Górny
- 64 Z RYSZARDEM CZARNECKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowsky

SIECI KULTURY

- 69 „BABILON”, CZYLI RAPORT O STANIE WOJENNYM**
Jolanta Gajda-Zadzworna
- 74 BÓG TĘSKNI ZA CZŁOWIEKIEM**
Robert Tekieli
- 75 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 76 POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

- 106 Z JANEM SARNOWSKIM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

KUCHNIA

- 114 MOJE SMAKI: MACIEJ KOZŁOWSKI, KAZIMIERZ NÓŻKA, MARCIN SCELINA**
Jolanta Gajda-Zadzworna
- 115 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 116 CIVIS, NATIO, PATRIA**
Wojciech Reszczyński
- 117 WYBUCHNAĆ ŚMIECHEM**
Aleksander Nalaskowski
- 118 PYTAM EPIDEMIOLOGÓW**
Jan Pospieszalski
- 119 ZNOWU PODMIANA KIDAWY-BŁOŃSKIEJ**
Jerzy Jachowicz
- 120 CZAS POSPRZĄTĄĆ**
Ryszard Makowski
- 121 POWRÓT MOCHNACKIEGO**
Leszek Długosz
- 122 BAWIĄC SIĘ SŁOWAMI, ZATRACAMY WARTOŚCI**
Andrzej Zybortowicz



NASI DZIENNIKARZE Z PRESTIŻOWYMI NAGRODAMI NBP

w Konkursie im. Władysława Grabskiego



**Stanisław
Koczot**

DZIENNIKARZ
„GAZETY BANKOWEJ”

Wyróżnienie w kategorii
Wywiad

Maciej Wośko

REDAKTOR NACZELNY
„GAZETY BANKOWEJ”

Nagroda główna
i tytuł
Dziennikarza Ekonomicznego
2021 roku

**Maksymilian
Wysocki**

DZIENNIKARZ PORTALU
WGOSPODARCE.PL

Nagroda w kategorii
Polityka pieniężna
i stabilność finansowa

Sygnalista nadaaje

Wojna „Gazety Wyborczej” z Agorą, czyli właścicielem gazety, nabiera rumieńców. **Adam Michnik** sięgnął po ostrą amunicję. „Zastanawiam się: dlaczego autorzy manifestu Bartosza Hojki [prezesa Zarządu Agory] i innych sięgają po chwyt z czarnej propagandy znane mi dobrze z Marca 1968 r., z kampanii antysolidarnościowych w epoce stanu wojennego, z seansów nienawiści organizowanych w mediach związanych z obozem politycznym Jarosława Kaczyńskiego” – napisał Michnik i dodał, że to „metody podłe”. To są sceny, o których się satyrykom nie śniło.

W innym liście Jarosław Kurski i Adam Michnik twierdzą, że zarząd Agory wspierają Wanda Rapaczynski oraz Helena Łuczywo. „Pytamy też naszą »matkę założycielkę«, właścicielkę złotej akcji Helenę Łuczywo. Jest to pytanie bolesne dla zespołu i kierownictwa redakcji: Dlaczego na to wszystko pozwalam? Heleno, dlaczego godzisz się na powolne niszczenie także dzieła swego życia? Czy naprawdę uważasz, że o los »Wyborczej« lepiej zadba korporacja niż sam zespół »Gazety Wyborczej«?». Cóż, to wyjaśnia, dlaczego zarząd Agory nie pęka, nawet po tym gdy ostrzelano go Marcem.

Ta wojna w rodzinie przynosi słowa i czyny, które przejdą do historii. Choćby raport, opracowany przez Wojciecha Czuchnowskiego, w którym wyliczono wszystkie wpadki biznesowe i nieudane inwestycje Agory oraz postawiono zarzut „ad PiS-um”. Chodzi o rzekome związki łączące Agnieszkę Sadowską, była już członkinią zarządu Agory, z osobami z PiS. W ten sposób zarząd

firmy został obsadzony w roli cichego sojusznika PiS. Przy tej kreatywności za chwilę okaże się też zapewne powiązany z Putinem i Łukaszenką. Red. Tomasz Piątek na pewno coś znajdzie.

Cóż, twórcy „GW” sprzedali swoje akcje Agory, a teraz uważają, że reguły kapitalizmu ich nie obowiązują. Zawsze mieli skłonność do stawiania się ponad regułami dla małych. Gdy więc zarząd postanowił połączyć portale gazeta.pl z wyborcza.pl w celach oszczędnościowych, kierownictwo „GW” postanowiło walczyć. Ale karty ma słabe, do tego walczy samotnie, bo media lewicowe udają, że sprawy nie ma. Nic dziwnego, że aż 69 proc. uczestników sondy na portalu wPolityce.pl stawia na zwycięstwo Agory, a zaledwie 8 proc. przewiduje wygraną Michnika. Historia bywa wyjątkowo złośliwa.

„Wyborcza” walczy z Agorą, walczy też z ideą i praktyką obrony granicy. W reportażu „Przejsz przez Polskę i przeżyj” padają takie oto słowa: „Wolontariusze są przekonani, że w lasach jeszcze długo będą znajdować ciała, a raczej ludzkie kości, bo ciała zjedzą dzikie zwierzęta”. I dalej: „Kto ucieknie z polsko-białoruskiego pogranicza, musi jeszcze uważać na patroli narodowców, »szmalcowników«, donosicieli i nieuczciwych przemysłowców”. Czekamy na znane z historii bramy powitalne.

Marta Lempart, liderka tzw. Strajku Kobiet: „Obróńcy tych pier... morderców w mundurach, co wyrzucają dzieci do lasu, odgrzaali się, że będą na nas składać zawiadomienie do prokuratury i że będą nas pozywać. Pro-

„Ciężkie terminy przyszły na Europejczyków. Niemcy wyłożyły karty na stół i chcą budowy IV Rzeszy. My na to nie pozwolimy” – tak według redaktora Wojciecha Szackiego miał powiedzieć Jarosław Kaczyński na posiedzeniu Klubu PiS. Lewicowo-liberalni komentatorzy nie kryją oburzenia, bo jak tak można mówić? Cóż jednak mówić, gdy Niemcy rzeczywiście, już jawnie, budują nowe imperium? Rzecz jasna „w poczuciu szczególnej odpowiedzialności wobec europejskich sąsiadów”. Tak nas przytulają, że już nie możemy złapać oddechu.

sze k... bardzo. Mordercy w mundurach wyrzucają dzieci do lasu. Pozwijcie mnie, to sprawa będzie o to, że jesteście pier... mordercami w mundurach, którzy wyrzucają dzieci do lasu". Sprzedawcy śmierci – i tej jednostkowej, i tej państwowej.

 Do strefy nadgranicznej próbowała się prze-
drzeć europoseł Janina Ochojska wraz
z czworgiem innych eurodeputowanych, także
z zagranicy. Nie udało się. „Jako europosłowie zgło-
siliśmy oficjalnie, że nie wpuszczono nas do
»strefy«, że jako dyplomaci nie możemy podróżo-
wać swobodnie po całym terenie Unii Europejskiej.
Będziemy starać się, by sprawa miała dalszy bieg.
Prawnicy złożą wniosek do Trybunału w Stras-
burgu” – zapowiedziała Ochojska. To są rzeczywi-
ście dwa fronty wojny hybrydowej.

 Ponownie Ochojska: „W Siemiatyczach roz-
mawiam z burmistrzem, władzami lokal-
nymi, przedstawicielami społeczności religijnych.
Historie, które słyszę od mieszkańców przygr-
anicznych miejscowości, są przerażające. Place za-
baw otoczone wojskowymi furgonetkami, nieozna-
kowani mundurowi...”. Lewica twierdzi, że Polacy,
nawet ci ze wschodu, nie chcą bronić swojego
państwa. To kłamstwo. Kłamstwo migracyjne.

 Aktorka Barbara Kurdej-Szatan, która rzu-
ciła bluzgami w Straż Graniczną, teraz za-
pewnia: „Ja naprawdę mam szacunek do munduru,
bo dwóch moich dziadków było mundurowymi.
Jeden był podpułkownikiem Wojska Polskiego
i nadawał alfabetem Morse’a, a drugi dziadek był
w AK, był prawnikiem. Mam wpojony szacunek do
nas, do Polaków, do munduru, ale uważam, że wszy-
scy powinniśmy zachowywać się dobrze wobec
innych”. Bohaterscy przodkowie czasem coś zna-
czą, ale coraz częściej nie znaczą nic.

 **Leszek Miller:** „Niestety konflikt na granicy
wygra Kaczyński z Morawieckim. Tam się
nic więcej nie zdarzy oprócz tego, co już się zda-
rzyło. Za jakiś czas po wygaszeniu konfliktu PiS
ogłosi zwycięstwo, a zdjęcia z bohaterskiej obrony
granicy zasilą kampanię wyborczą PiS”. To „nie-
stety” w tym kontekście, to doskonale podsumo-
wanie drogi politycznej byłego premiera Rzeczy-
pospolitej Polskiej.

 **Donald Tusk** świętował sześćdeciolate Komitetu Obrony Demokracji. Siegnął po ba-
śniową metaforę: „Oglądałem z moimi wnukami
»Króla Lwa«. To taka metafora dzisiejszych czasów.
Pamiętacie, był ten zły lew Skaza. Kiedy objął wła-
dzę, wokół było albo ciemno, albo była pożoga,

kompletna ruina, a jego ludzie, jego władza, to
były te hieny, które zajmowały się wyłącznie ra-
bowaniem własnych obywateli”. Dodał, że „Pol-
ską rządzi tchórz, kiedy potrzeba ludzi odważ-
nych”. Odwaga Tuska jest legendarna. W końcu
po latach wahań ponoć jednak szepnął Angeli
Merkel, w jej gabinecie, że Nord Stream 2 to błąd.
Po prostu heros.

 Rafał Trzaskowski przemawiał w amery-
kańskim Kongresie. To znaczy nie prze-
mawiał, ale połączył się poprzez internet, i nie
z Kongresem, ale z jedną z podkomisji. Polską
rzeczywistość opisał w czarnych barwach. „Dziś
rząd PiS próbuje napisać własną wersję historii
i wymazać Lecha Wałęsę z książek historycz-
nych. Tylko dzięki odwadze naszych nauczycieli
polskie dzieci mogą się o nim uczyć” – prze-
konywał. Wśród licznych kłamstw, które opozycja
rozpowszechnia na Zachodzie, ta opowieść
o niemalże tajnych kompletach poświęconych
Wałęsie jest szczególnie wzruszająca.

 Wspomniana wyżej **Marta Lempart** zor-
ganizowała happening przed siedzibą
Prawa i Sprawiedliwości. Rozlała czerwoną farbę
i zaczęła swój wywód. Wtedy przerwała jej ko-
bieta sprzątająca teren. „Co tu zrobione jest? Kto
to tak zrobił? Ja tutaj sprzątam! Kto to tak zro-
bił?” – pytała wzburzona. „Ja. Ja walczę za pani
dzieci też” – odpowiedziała groteskowo Lem-
part, która przecież promuje aborcję. „To niech
pani umyje teraz!” – krzyknęła, ale Lempart
odmówiła. „Jak to nie? Jak to nie, proszę pani?
Pani myśli, że za co mi płacą?” – odpowiedziała
pani Teresa. Brawo. Chamstwu trzeba się prze-
ciwstawiać, trzeba je nazywać po imieniu.

 Wiceprzewodnicząca Komisji Europej-
skiej Helena Dalli opracowała zalecenia
dotyczące „komunikacji inkluzywnej”. Przeko-
nuje w nich, że zamiast „Boże Narodzenie” na-
leży mówić „okres świąteczny”. Niemile wi-
dziane, przez pochodzącą z Malty polityk, są też
angielskie zwroty „Miss” (oznaczający kobietę
niezamężną) czy „Mrs” (oznaczający mężatkę)
oraz francuski „Mesdames et Messieurs” (Panie
i Panowie). Wiceszefowa KE zaleciła systema-
tyczne zastępowanie – tam, gdzie to możliwe
– imion o rodowodzie chrześcijańskim bardziej
kosmopolitycznymi odpowiednikami, by za-
miast „Marie (Maria) i Jean (Jan) są parą między-
narodową” używać „Malika i Jules (Juliusz) są
parą międzynarodową”. Czy ludzie, którzy nie
cierpią europejskiego dziedzictwa, nie mogliby
po prostu Europę opuścić? 

Komitet Obrony D.

Good morning, Warszawo – chciałoby się zakrzyknąć niczym Robin Williams w filmie „Good Morning, Vietnam”, ale się nie krzyknie, bo wiemy, w jakiego kraju jesteśmy stolicy. To już sześć lat, od kiedy Mateusz K. podczas tradycyjnych poszukiwań dobrze płatnej pracy dla gościa o ambicjach znacznie wyższych skrzyknął nas w liczbie 33 tys. luda. Czarnego, jak chmury, które zawisły nad Tymkrajem już w kilka godzin po wyborach. Nic dziwnego, że mówiono na niego tak jak na legendę węgierskiego futbolu: „Puszkarz”. Bo był w puszkach oblatany lepiej niż Jerzy Siema-Jurek i mityczna Pandora razem wzięci.

I to on powinien tu stać. Jak ten słup z firmy słup. Niestety, jak wiecie, za kilka dni ponownie rusza proces, w którym K. jest oskarżony o przywłaszczenie pieniędzy i wystawianie „lewych” faktur na kwotę 120 tys. zł, które to pobierał za „opiekę informatyczną” nadstroną Komitetu, której to z kolei, jak wykażała prokuratura, nie podejmował. Bo robili to inni. Żona i współpracniczka w interesie przysięgała, że gdyby nie on, hakerzy napadliby na

stronę KOD na sto procent, ale w pierwszej instancji skazano go na grzywnę 5 tys. Za to, zapewne w ramach obrony Komitetu Obrony, zwolniono od zadośćuczynienia szkodzie finansowej. Pech chce, że sąd okręgowy dopatrzył się uchybień, zwłaszcza w uznaniu, iż „Puszkarz” nie musi oddawać zawartości puszek, więc sprawa rusza od nowa.

Tym serdeczniej witamy na naszej uroczystości sędziego Żurka reprezentującego wolne sądy. Panie Waldku, pan się nie boi, dwie trzecie mediów za panem stoi. Pan sędzia pokaże nam palcem, na kogo głosować, bo jakby powiedział, toby się media mogły przyczepić. Tylko które, sędzio Żurek? TVN? „Wyborcza”, Onet? A zatem, jak myślisz, Waldeczku... Waldusiu, halo... Czy mamy kontakt wzrokowy z panem sędzią? Co robi? Kłascze? A komu? Przecież przewodniczący Tusk będzie przemawiać dopiero za kwadrans... Najlepiej klaśnijcie mu przed oczami! Halo, panie sędzio, proszę nam powiedzieć, ale tak apolitycznie, abstrahując do tego, że żyjemy w faszystowsko-bolszewicko-totalitarnym reżimie, czy K. zostanie skazany? Pan sędzia kiwa żurkiem, że nie. I o to chodzi! Bo jak skazać człowieka, który jest laureatem nie tylko założonego przez gwiazdy „wolnych mediów” Towarzystwa Dziennikarskiego, lecz i samej Unii Europejskiej! Konkretnie – Nagrody Obywatelskiej Parlamentu Europejskiego, otrzymanej z rąk samej Róży Thun und tak dalej?! Czyli potwierdza pan sędzia, i ty nasza, prosta „Justysiu”, słowa Sławomira Neumanna, że „do wyborów sędziowie nic nie robią”? Dzie-ku-je-my!

Niestety, nawet sędzia Żurek nie mógł zatrzymać biegu spraw innego z naszych znanych kolegów, założyciela wspo-



KRZYSZTOF FEUSETTE

mnianej KOD-Kapeli, która cieszyła oko reporterów TVN, „Wyborczej”, Onetu. Kolega M. miał taką rękę do kobiet także dzięki temu, że sam, jak się potem okazało, kiedyś nimi handlował. 99 pań w wieku od 18 do 20 lat, które szukały pracy jako hostessy, trafiło za granicą w ręce ludzi prowadzących domy publiczne. Do-

stał cztery i pół roku więzienia i na płytę musimy jeszcze poczekać. Spokojnie, wszystkich nas nie zamkną. Chociaż największego z naszych ochroniarzy, kolegę Franciszka J. (alias „Farmazon”), który nie bał się zwyzywać trzy razy mniejszej od siebie dziennikarki, jednak mogą. Wisi podobno nad J. bagatelne 14 lat „odsiadki”, i znowu nie za politykę. Za podżeganie do przestępstwa, nielegalne posiadanie broni palnej, groźby pobicia – to tylko w czasie Komitetu. A wcześniej – oprócz gróźb karalnych, także pobicia, prowadzenie auta w stanie nietrzeźwości, naruszenie nakazu sądowego...

Tak, jesteśmy ludźmi z przeszłością. Jak gen. Mazguła, do dziś stawiający czoła niegodnym kalumniom rzucanym w stronę autorów stanu wojennego, który był prze-

cież, nie tylko w jego opinii, „wydarzeniem kulturalnym”. Jak Władysław Frasyniuk, którego policja przetrzymywała na komisariacie 10 minut. I to za co? Za szarpanie i obrazę policjanta! W normalnym, demokratycznym, europejskim kraju dostałby pałą w ciężarówkę tak, że by mu koło zapasowe odpadło, ale nie w pisowskim reżimie. Żeby taki bohater nie miał ani jednego zdjęcia z palowania przez policję, które nadawałoby się do prasy? To było celowe upokorzenie. Ale my się nie poddaliśmy i wzięliśmy na scenę także ludzi kultury. Jak Dorota Stalińska, świetna kiedyś aktorka, a potem obrończyni praw Romana Polańskiego do stosunków z 13-latką, bo, jak twierdziła być może z autopsji, „13-latki same pakują się mężczyznom do łóżek”. A nasze Błotne Brygady Opozycji? Oficjalnie „Lotne”, choć z lotnością ich „happeningi” pod pomnikiem Smoleńskim miały tyle wspólnego, ile Pułtusk z półmózgiem? A jednak to także był cenny nawóz dla buraków, z których najśmieszniejsi z nas ciągną soki do dzisiaj.

Teraz jednak, pozwólcie, że nie burakiem, ale i nie żadnym chlebem czy solą, bo to my jesteśmy solą w oku tej ziemi, a od chleba zawsze ważniejsze były dla nas igrzyska – serdecznie powitamy na scenie Jego Ekscelescję Donalda Tuska, który powie nam, jak bardzo jesteśmy uczciwi, godni, mądrzy, kulturalni, niezależni, demokratyczni, a przede wszystkim europejscy. My, fryzjerzy frajerów i frajerzy macherów, macherzy kodziarzy, łodziarzy luminarzy, po prostu – niezawisli sędziowie, szczerzy politycy, wrażliwi artyści. Proszę wstać, Tusk idzie! Do hymnu! „Dooonald, Dooonald, pooonad wszyyyystko...”

Odpilowywanie korzeni

Czy wiceszefowa Komisji Europejskiej zdaje sobie sprawę z tego, że to, co nazywamy flagą europejską, to w istocie symbol maryjny?

Eurokraci w zastraszającym tempie próbują odpilować Unię Europejską od jej korzeni. Wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Helena Dalli właśnie opracowała zalecenia dotyczące „komunikacji inkluzywnej”, w których zachęcała m.in. pracowników Komisji do unikania wszelkich religijnych odniesień do świąt Bożego Narodzenia. Po tym, jak o sprawie poinformował, wzbudzając falę kontrowersji, jeden z włoskich dzienników, wytyczne zostały wycofane. Ale komisarz już zapowiedziała, że pracuje nad kolejnymi.

Wiceszefowej KE miało chodzić o „odzwierciedlania różnorodności” i zwalczanie „głęboko zakorzenionych stereotypów w zachowaniach indywidualnych i zbiorowych”, a te miałyby zostać osiągnięte poprzez stosowanie konkretnych zaleceń, które zostały wyszczególnione w tabelce. Wśród wyrażen uznanych przez Dalli za „nieinkluzywne” jest np. zdanie: „Boże Narodzenie może być stresujące”. Zamiast niego należy mówić: „Okres świąteczny może być stresujący”.

Zastanawiam się tylko, że wiceszefowa KE, która próbuje wymazać Boga i wartości chrześcijańskie z przestrzeni publicznej, ma świadomość, że twórcy wspólnot europejskich, w tym Unii Europejskiej, podkreślali, że UE opiera się na trzech filarach: greckiej filozofii, rzymskim prawie i judeochrześcijańskiej religii.

Ciekawa też jestem, czy Dalli zdaje sobie sprawę z tego, że to, co nazywamy flagą europejską, a co jest bardziej symbolem UE niż flagą, to w istocie symbol maryjny. Chodzi o okrąg złożony z 12 złotych gwiazd pięciopromiennych na lazurowym tle. Autorem koncepcji flagi jest Arsène Heitz, szczegółowy układ, proporcje i kolory zostały zaś opracowane przez Paula M.G. Lévy'ego. Według oficjalnej wykładni 12 złotych gwiazd rozłożonych w okręgu na lazurowym tle symbolizuje solidarność i harmonię między narodami Europy. Symbolika ta nawiązuje również do późniejszej dewizy Unii Europejskiej: „Zjednoczeni w różnorodności”. Liczba gwiazd odwołuje się do

starożytnej symboliki liczby 12 oznaczającej doskonałość i całość, nie zależy i nigdy nie zależała od liczby krajów członkowskich. Jednak sam twórca symbolu przyznawał, że to inspiracja chrześcijańska. Arsène Heitz przed śmiercią wyznał, że inspiracją dla niego był wizerunek Matki Boskiej, która według jednej z interpretacji jest przedstawiona w Apokalipsie św. Jana na lazurowym

tle, a jej głowę okala 12 gwiazd. Czy ten symbol wiceszefowa KE także zechce zlikwidować?

A może trzeba będzie wymazać z pamięci niektórych tzw. ojców integracji europejskiej. Weźmy na przykład takiego Roberta Schumana. To przecież na jego cześć Dzień Europy obchodzony jest 9 maja, dla upamiętnienia historycznej deklaracji Schumana, będącej początkiem integracji.

Czy Dalli wie, że trwa proces beatyfikacyjny Roberta Schumana? Papież Franciszek uznał dekret o heroicności jego cnót. „Robert Schuman (1886–1963) był francuskim katolikiem zaangażowanym w politykę rozumianą jako misja i służba, akt posłuszeństwa woli Bożej, przeżywany na modlitwie i karmiony codzienną Eucharystią. Został aresztowany i był uwięziony przez Gestapo od 14 września 1940 r. do 12 kwietnia 1941 r. Udało mu się uciec i do końca wojny żył w ukryciu, szukając schronienia głównie w klasztorach. Po wielu dramatach, jakie przeżyła jego rodzina, chciał zostać księdzem. Przyjaciele jednak odradzali mu to, twierdząc, że »święci XX w. noszą świeckie ubrania i dlatego świat potrzebuje zaangażowanych świeckich«. Był nim jako minister finansów, premier, minister spraw zagranicznych i przewodniczący Parlamentu Europejskiego. Według Schumana »wartość Europy to Europa wartości« – tak pisze o nim portal www.vaticannews.va. Trwa także proces beatyfikacyjny innego z ojców integracji, Alcide De Gasperiego, włoskiego polityka, który był współinicjatorem utworzonej w 1949 r. Rady Europy oraz Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Szaleństwo cancel culture ogarnia cały Zachód i Europę. Jest tylko ryzyko, że w tym szaleństwie w końcu ktoś unicestwi naszą cywilizację. 

Dorota Łosiewicz



Rosja

Zapasy na trudne czasy

Duma Państwowa przyjęła projekt budżetu federalnego na przyszły rok i plan na kolejne dwa lata. Dokument dobrze ilustruje rzeczywiste priorytety Kremla i rosyjskich elit. W celach propagandowych budżet określany jest mianem „socjalnego”, co ma potwierdzać podniesienie o 8,6 proc. oficjalnego pułapu dochodu niezbędnego do przeżycia oraz minimalnego wynagrodzenia. Jednak podwyżki te mogą nie dogonić inflacji w Rosji, którą już osiągnęła 8 proc., a zdaniem niektórych ekonomistów rok może zamknąć się nawet dwucyfrowym wskaźnikiem. O kolejnej indeksacji rent i emerytur w związku z inflacją (przed wyborami przeprowadzono ich podwyżkę o 5,9 proc.) władze zapomniały. Podobnie jest z nakładami na sferę socjalną, które ścięto o 6 proc. Spadają też nakłady na ochronę zdrowia (o 117 mld rubli), mimo że kraj boryka się z kolejną falą pandemii, a liczba wywołanych nią zgonów jest w Rosji jedną z najwyższych na świecie w przeliczeniu na milion mieszkańców.

Wzrosną natomiast, i to w skali nienotowanej od 2012 r., wydatki na resorty siłowe – przede wszystkim na bezpieczeństwo wewnętrzne (skok o 17 proc.) oraz na wojsko (129 mld rubli więcej). Warto pamiętać, że mowa tu tylko o jawnych pozycjach budżetu, a jest jeszcze jego tajna część, obejmująca nawet połowę budżetu armii.

Federacja Rosyjska, korzystając z dobrej koniunktury na rynkach surowców, zaczęła w tym roku energicznie odbudowywać rezerwy w Funduszu Dobrobytu Narodowego, które zostały już podwojone. Ten trend ma być kontynuowany w przyszłym roku. Moskwa będzie gromadzić pieniądze na trudne czasy, a programy rozwojowe i inwestycyjne związane ze stymulowaniem wzrostu gospodarczego, który w 2022 r. zdaniem wielu ekonomistów zwolni do 2 proc., zostały ograniczone. Rosyjski budżet ma mieć nadwyżkę, w przyszłym roku 1,327 bln rubli, która również w całości trafi do rezerwy państwowej. Podobnie zresztą jak nowy dług publiczny, który ma wzrosnąć o 2 bln rubli. To ciekawy przykład polityki polegającej na zaciąganiu długu tylko po to, aby zwiększyć rezerwy, a nie po to, aby sfinansować inwestycje, których Rosja bardzo potrzebuje.

Przyszłoroczny rosyjski budżet to także krok ku dalszej centralizacji finansowej. Regiony dostaną mniej, a podatki mają wzrosnąć. Wzrost gospodarczy nie będzie stymulowany wzrostem konsumpcji wewnętrznej ani inwestycji. Państwo gromadzi pieniądze oraz buduje silną armię i resorty siłowe odpowiadające za porządek w kraju. Takie są dziś bowiem priorytety Kremla.

Marek Budzisz



Grecki szlak

Kuba

Niedawno z polsko-białoruskiej granicy dotarły informacje, że wśród imigrantów próbujących się przedrzeć do Polski znalazła się grupa obywateli Kuby. Okazuje się, że nie jest to przypadek odosobniony. W ciągu ostatnich miesięcy powstał bowiem całkiem spory szlak przerzutowy prowadzący z Kuby przez Moskwę do Europy Zachodniej.

Imigranci kubańscy kierują się najpierw drogą lotniczą do Rosji, z którą Kuba ma ruch bezwizowy, a stamtąd również dzięki ruchowi bezwizowemu docierają samolotami do Belgradu. Niektórzy z nich wybierają tranzyt przez Białoruś. Ich dalsza droga prowadzi zazwyczaj przez Macedonię Północną do Grecji. To stosunkowo łatwy szlak ponieważ Grecy, którzy mają największy problem z imigrantami na granicy z Turcją oraz na wodach przybrzeżnych, nie spodziewają się nielegalnych przekroczeń również od strony północnej. Po dotarciu do Grecji Kubańczycy, znajdując się już wewnątrz strefy Schengen, próbują przejechać do Włoch lub Hiszpanii, która ze względów językowych jest zwykle docelowym miejscem ich imigracji.

Sprawa wyszła na jaw 28 października, gdy duża grupa Kubańczyków próbowała nielegalnie się przedostać z greckiej wyspy Zakintos do Mediolanu, co zwróciło uwagę służb granicznych. „To był przypadek, że tak wielu Kubańczyków spotkało się w tym samym miejscu” – tłumaczył w rozmowie z telewizją Al-Dżazira 28-letni Pedro. „Zazwyczaj staramy się korzystać z wielu różnych lotnisk. Kiedy policja zobaczyła jeden kubański paszport po drugim, umieściła nas wszystkich w osobnym pokoju”. Wszyscy zatrzymani Kubańczycy – łącznie 130 osób – otrzymali nakaz deportacji do kraju, z którego przybyli.

Imigranci nie ukrywają, że główną przyczyną ich desperacji są – obok reżimu politycznego panującego na Kubie – trudności ekonomiczne. Kuba, w której od lat brakuje podstawowych produktów, ciągle się zmagając z ogromnym kryzysem gospodarczym spotęgowanym jeszcze przez pandemię. Doprowadziło to w lipcu do fali protestów, których skutkiem były represje ze strony reżimu. Ruszyła więc kolejna fala ucieczek.

Jak wskazują greckie statystyki, wielu uciekinierów z Kuby – w odróżnieniu od imigrantów z Afryki czy Bliskiego Wschodu – to rzeczywiście ludzie wykształceni. Niekiedy przybywają z rodzinami, jest sporo studentów, inżynierów i prawników, którzy byli w stanie odłożyć pieniądze na tak ryzykowną eskapadę. Uciekają do Europy, ponieważ ich dotychczasowy szlak imigracyjny do USA został przyblokowany. Stało się to po tym, gdy administracja Baracka Obamy w ramach normalizacji stosunków z Kubą cofnęła przepisy, na mocy których każdy Kubańczyk przybywający nielegalnie do Stanów mógł już po roku starać się o zieloną kartę. Niewykluczone jest więc, że dzięki ułatwieniom ze strony Rosji i Białorusi szlak europejski będzie coraz popularniejszy.

Konrad Kołodziejski



Wyspy Salomona to archipelag w Oceanii położony na wschód od Nowej Gwiney i zamieszany przez ok. 700 tys. mieszkańców. Pod koniec listopada przez kilka dni trwały tam zamieszki, z którymi nie mogła sobie poradzić miejscowa policja. W związku z tym rząd w stolicy kraju Honiarze wezwał na pomoc inne państwa regionu. W odpowiedzi kontyngent wojskowo-policyjny wysłała tam Australia, a później dołączyły do niej Papua-Nowa Gwinea, Fidżi i Nowa Zelandia.

To nie pierwszy taki przypadek w historii brytyjskiej kolonii, która w 1978 r. ogłosiła niepodległość. W 2003 r. kraj został sparaliżowany przez rozruchy wewnętrzne. Władze poprosiły wówczas o pomoc międzynarodową. W efekcie na Wyspach Salomona wylądowało 2,2 tys. policjantów z 20 krajów Pacyfiku pod dowództwem Australijczyków i Nowozelandszczyków, którzy zaprowadzili spokój i się wycofali. Do kolejnych napięć dochodziło w latach 2006 i 2019, jednak obyło się wtedy bez interwencji z zewnątrz.

Inaczej jest w tym roku. Przeciw rządowi w Honiarze zbuntowali się mieszkańcy wyspy Malaita, zarzucając mu, że faworyzuje stolicę i lekceważy interesy ich regionu. Istnieje jednak jeszcze druga płaszczyzna sporu. W 2019 r. obecny premier Manasseh Sogavare zerwał stosunki dyplomatyczne z Tajwanem i nawiązał je z komunistycznymi Chinami. Decyzja wywołała niezadowolenie mieszkańców Malaity, którzy tradycyjnie są bardziej antykomunistyczni i mocniej związani z Tajpej. Zarzucają oni władzom, że te chcą sprzedać archipelag Chińczykom. Ci ostatni prosili już zresztą dwa lata temu rząd w Honiarze o możliwość korzystania z wyspy Tulagi jako swej bazy morskiej. Nic więc dziwnego, że ofiarą ostatnich ataków ze strony demonstrantów padły zwłaszcza budynki w chińskiej dzielnicy.

W tej sytuacji media w Pekinie oskarżają o wywołanie zamieszek Amerykanów, Tajwańczyków i Australijczyków. Ich zdaniem konflikt na Wyspach Salomona jest tzw. wojną proxy (wojną zastępczą), prowadzoną na terenie państwa trzeciego, na szczęście bez rozlewu krwi.

Grzegorz Górny

W obronie wolności

Australia

Rząd Australii przygotował – wbrew panującym dziś ideologicznym modom – projekt ustawy przeciwdziałającej dyskryminacji religijnej. Przedstawił go w parlamencie premier Scott Morrison, który przekonywał, że obywatele kraju szczycącego się liberalnymi wartościami nie mogą być karani za swoje poglądy i zasady religijne. „Nie mogą ukrywać życia, które prowadzą, ani Boga, któremu są wierni, jeśli faktycznie podążają za jego naukami lub jeśli żadnego boga nie uznają” – mówił polityk. Ustawa ma chronić prawo szkół do dobierania sobie personelu w taki sposób, aby odpowiadał on przyjętemu przez te szkoły systemowi wartości. Oznacza to, że placówki edukacyjne o religijnym statucie będą miały prawo odmówić zatrudnienia osobom, które nie przestrzegają zasad moralnych danej religii. Środowiska LGBT już mówią o dyskryminacji i podają przykład katolickich szkół, które będą mogły zwolnić homoseksualnych nauczycieli.

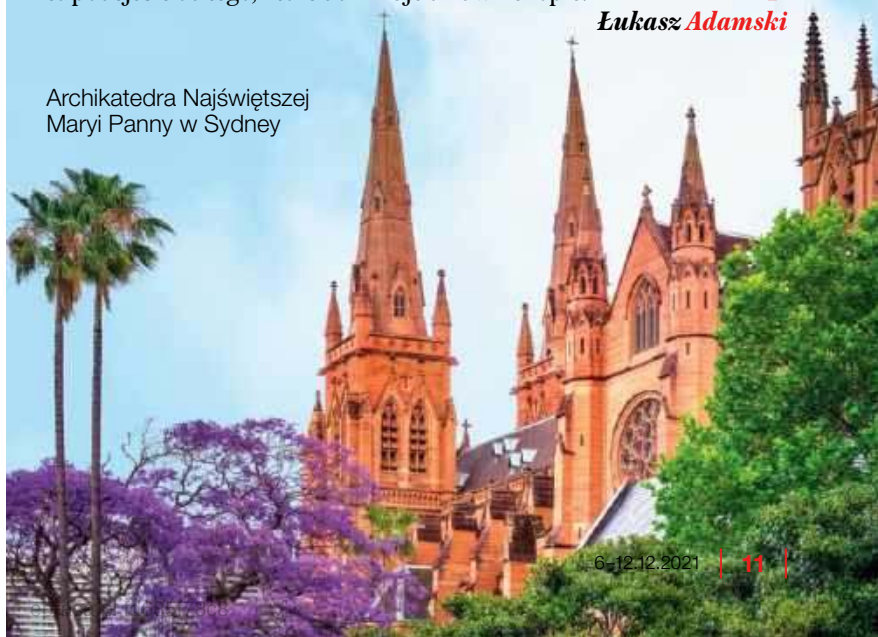
Australijski oddział Human Rights Law Centre sprzeciwia się ustawie, uznając, że nie ma w niej „sprawiedliwego balansu między różnorodnością a wolnością religii” oraz że daje ona większe prawa „bigotom”. Gejowska organizacja Equality Australia twierdzi z kolei, że ustawa pozwoli na głoszenie poglądów krzywdzących innych ludzi. Jako przykład podaje pielęgniarkę, która na mocy ustawy mogłaby jakoby powiedzieć pacjentowi z HIV, że jego choroba jest karą za grzechy. Jednak rządzący bronią ustawy. Prokurator generalna Michaelia Cash powiedziała, że nowe prawo zapewni „równowagę między dyskryminacją religijną a ochroną praw człowieka”.

Kwestia obrony prawa do wyrażania własnych poglądów opartych na wartościach moralnych była już wiele razy elementem debaty. W 2017 r., gdy w Australii legalizowano małżeństwa homoseksualne, głośna była sprawa rugbysty Israela Folau, którego zwolniono z narodowej drużyny za wpis na Instagramie o tym, że homoseksualistów czeka piekło. Podkreślano wówczas, że choć jego słowa są radykalne, to powinien mieć do nich prawo, skoro wynikają z nauczania moralnego Kościoła, do którego przynależy.

Australijski rząd był też niedawno krytykowany za to, że nagroził Orderem Australii tenisistkę Margaret Court, która publicznie krytykowała środowiska homoseksualne. Szef rządu powiedział wówczas, że ataki na tenisistkę są przykładem kultury anulowania (cancel culture). Teraz również przywołał ten problem w kontekście nowej ustawy. „Wielu ludzi wyznających wiele tradycji religijnych niepokoi się brakiem ochrony ich prawa do wyrażania własnych poglądów” – stwierdził. Jakże odmienne to podejście od tego, które dominuje dziś w Europie.

Łukasz Adamski

Archikatedra Najświętszej
Maryi Panny w Sydney



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Jakiś omikron...

Pojawił się w przyrodzie i znowu fala lęku przetacza się nad umęczonymi mieszkańcami czwartej planety pod Słońcem. Obyśmy nie musieli poznać całego greckiego alfabetu! Zaraza ma talent do mutacji, a my biedaki nie możemy za nią nadążyć rządowymi „obostrzeniami”. Co się jedno obostrzenia stępią, to nowe się zaostrzą, i tak w koło Macieju. Taki mnie dopadł niefort na stare lata!

Miałem w ubiegłym roku grać jubileuszowe imprezy „60 lat w trasie”. Muszę czekać na kolejną okrągłą liczbę, bo na afiszach lepiej wygląda 60 niż 62. Wyrzuciłem jakiś czas temu ostatnie maseczki, a tu nowe trzeba kupować i zakrywać męską urodę z brodą i wąsami. Pewien gangster, zwany „Pysio”, powiedział, że wielu polityków zyskało na urodzie, zasłaniając twarze. Żartowniś, choć zbir.

Co do groźnego ZBiR-a zza wschodniej granicy, wyraźnie szuka zwady! Podobno lada tydzień ma rozpętać zbrojną akcję przeciw Ukrainie. Mój Boże, czy władcom Kremla nigdy się nie znudzi mordowanie sąsiadów?! Czy nie mają nic ciekawszego do zrobienia na swym ogromnym terytorium? Dawno temu



**Jan
Pietrzak**

proponowałem im, żeby zajęli się budową autostrady do Władywostoku. To kupa roboty, dla wszystkich starczy! Carat przed stu laty potrafił zbudować żelazną linię transsyberyjską. Wy zróbcie drogę asfaltową! O dziwo, nie posłuchali mnie! Więc w obecnej napiętej sytuacji powtarzam namolnie: zajmijcie się Rosjanie jakąś pożyteczną robotą. Zróbcie coś dobrego dla swego kraju i jego mieszkańców, zamiast niszczyć inne kraje. Posłuchajcie starych piosenek Bułata Okudźawy i Wołodii Wysockiego o tych żołdaczach, którzy nie wrócili z boju. Zadumajcie się nad ich wymową.

W Polsce też śpiewaliśmy te piosenki. Brzmiały uczciwie. Można było uwierzyć w ich pacyfistyczne przesłanie. Jeżeli dobro ma kiedyś pokonać zło, należy z uporem do tego dążyć. Nie tak dawno temu świat nazywał wasze państwo Imperium Zła. Czy znowu chcecie zasłużyć sobie na to miano? Niczego dobrego nie potraficie zrobić dla ludzi, tylko kolejne, coraz większe bomby i armaty? Covid, delta, omikron i inne diabelstwa to dla was za mało? Opamiętajcie się, rebiata...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Pato

Kiedyś rekordy popularności biło słowo pseudokibice. Miało oznaczać tych bywalców stadionów, którzy wykazywali się nadzwyczajną agresją. Problem polegał na tym, że na polskich stadionach często liczba pseudokibiców przewyższa liczbę pozostałych, więc raczej postawa pseudo jest normą.

W Wielkiej Brytanii mieli z tym kłopot, ale mieli też atut: ogromne zainteresowanie oglądaniem futbolu na żywo. Po wprowadzeniu monitoringu, numerowanych miejsc wyprzedawanych głównie na sezonowe – bardzo drogie – karnety, margines społeczny sam się usunął z meczów. U nas to by nie przeszło, bo po wypłenieniu pseudokibiców stadiony by opustoszały.

Piszę o pseudokibicach, bo dziś karierę robią słowa z przedrostkiem pato- i gdyby zjawisko burd stadionowych rozkwitło dopiero teraz, to pisałibyśmy o patokibicach. Są już patoyoutuberzy, czyli tacy youtuberzy, którzy na swoich filmikach pokazują zachowania społecznie nieakceptowalne. Teraz pojawiło się idiotyczne określenie patodeweloper. Ma ono oznaczać inwestora budującego domy, w których są niewielkie mieszkania. Od jakiegoś już czasu na rynku sprzedawano lokale



**Dominik
Zdort**

kilkunastometrowe, ostatnio padł rekord: deweloper zaproponował mieszkanie o wielkości 2,5 mkw., w którym miejsce do spania jest na antresoli, a na parterze są kuchnia i łazienka.

Działacze miejscy i inne lewackie pięknoduchy z Wilanowa i Białoleki (zasiedlone w stolicy od dawna) już na budowniczych minimieszkanek rzucili się z zębami i pazurami, atakując, że to niezgodna z prawem patodeweloperka i urąganie ludzkiej godności. Rzeczywiście, polskie prawo mówi, że mieszkanie musi mieć przynajmniej 25 mkw. Co w Warszawie oznacza obecnie wydatek rzędu 300 tys. zł, a nie każdy młody człowiek pracujący na śmieciowej umowie taki kredyt dostanie. Dlatego deweloperzy, omijając przepisy, określają małe lokale jako usługowe – dzięki czemu dopasowują się do potrzeb społecznych, oczekiwani rynku i zdrowego rozsądku.

A co do urągania godności, to będę się upierał, że bardziej godne jest mieszkanie na własnych dwóch metrach w dużym mieście (koszt: pewnie poniżej 30 tys. zł), gdzie łatwo o porządną pracę, niż życie na wynajmowanych 25 mkw., za które nie ma czym zapłacić, gdy jest się bezrobotnym w małym mieście.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Faszyzm bezobjawowy

Trudno nie przyznać racji Markowi Jurkowi, który jeden ze swoich ostatnich tekstów w „Magazynie Kontra” zatytułował „Bolszewizacja opozycji”. Przelomowym momentem, jego zdaniem, były zeszłoroczne manifestacje Strajku Kobiet, których program sprowadzał się do hasła „Wypierdalać!”. Towarzyszył im aplauz opozycji i salonu III RP. To jej ośrodki opiniotwórcze przygotowały grunt pod te wystąpienia, a „Wyborcza” miesiąc wcześniej stała się trybuną ideowego ojca Marty Lempart, Jerzego Urbana, który wzywał z jej łamów: „Dopierdalajcie katolikom! Dopierdalajcie nacjonalistom! Dopierdalajcie biało-czerwonym!”.

„Gwałt na języku” – to określenie Jurka – ujawnia zasadniczą zmianę politycznej postawy. Oznacza rezygnację z hipokryzji, tego holdu, który występki składa cnotcie. Przemoc odrzuca maski. Od teraz paradowała będzie z odkrytą przyłbicą i domagać się będzie likwidacji przeciwników bez dodatkowych uzasadnień. Wystarczy, że zostaną oni uznani za reprezentację zła wcielonego, jakim w imaginariu współczesnym jest faszyzm. To przeciwiczona już przez bolszewików strategia z czasów stalinizmu, kiedy stanęli oni do walki z nazizmem i faszyzmem o Europę, w której, jak uważano wówczas, definitywnie załamał się tradycyjny porządek. Kluczowym pomysłem bolszewików było stworzenie kontrolowanego przez siebie Frontu Ludowego i zapisanie wszystkich, którzy nie chcieli do niego przystąpić do obozu „faszystów”. Tak stygmatyzowani byli nawet socjaldemokraci.

Po ujawnieniu, czym był komunizm, można było sądzić, że nie sposób powtórzyć tego, dość topornego w sumie, zabiegu. Okazało się jednak, że dziś stosowany jest on równie bezwstydnie jak w pierwszej połowie XX w.

Ideologiczna walka narasta, nie trzeba więc uzasadniać już epitetu „faszysta”, jakim obrzuca się przeciwników. Operują nim tępą wyrobnicy liberalnego frontu propagandy i postacie o profesorskich tytułach, które budują intelektualne rusztowania dla frontu nienawiści. Publikują książki tłumaczone przez „Krytykę Polityczną” w rodzaju „Jak działa faszyzm”, aby uzasadnić, że jego adherentami są wszyscy, którzy nie mieszczą się w liberalnej ortodoksji. Argumentacja ich autorów nie różni się od tautologii, jak cepy stosowane przez trzodę Żakowskiego, i polega na zasadzie równi pochyłej. Jeśli dostrzegamy wartość własnej wspólnoty, to odczłowieczamy tych, którzy do niej nie należą; jeśli dostrzegamy różnice między kulturami i problemy związane z ich koegzystencją, nawołujemy do eksterminacji tych, którzy reprezentują cywilizację odmienną itp.



Ale nawet takie tłumaczenia okazują się już niepotrzebne. Jan Gross deklaruje, że PiS buduje swoją pozycję na antysemityzmie. W „Newsweeku”, w którym wygłasza swoje insynuacje, nikt nie poprosi go o uzasadnienie czy choćby o przykład.

„Kaczyński i jego ekipa to ludzie, którzy wyciągają z nas najgorsze rzeczy, uruchamiają najniższe instynkty. To banal, co powiem, ale gdy spojrzeć, co dzieje się z tym krajem od 2015 r., to pod każdym względem następuje cofnięcie polityczno-cywilizacyjne. To jest kraj, który przestaje znaczyć w międzynarodowej społeczności, kraj, który jest zostawiony sam sobie, osłabiony, w którym życie polityczne zaczęło być całkowicie alienujące. Kraj, z którego młodzi ludzie, ci najlepsi, wyjeżdżają”.

Ten nienawistny bełkot przytaczam wyłącznie dlatego, że nie różni się on od setek podobnych elukubracji sygnowanych profesorskimi tytułami czy nazwiskami celebrytów, które wypełniają dziś media w Polsce i za granicą. Jeśli przytaczane są w nich fakty, to zdeformowane, jeśli pojawia się argumentacja, to urąga zdrowemu rozsądkowi. Stężenie kłamstw, insynuacji i oszczerstw wymierzonych w PiS powodować winno reakcję sprzeciwu ze strony każdego uczciwego człowieka. Wypowiedzenie go jednak naraża na zaliczenie do obozu faszystów.

W wypadku Grossa szczególnie odrażające jest to, że karierę swoją buduje on wyłącznie na antysemityzmie, tzn. na przypisywaniu go Polakom. To strategia, którą środowisko „Wyborczej” praktykuje od początku swojego istnienia. Nie bez pewnych sukcesów, bo w części społeczeństwa udało się zasiać na nowo antysemityczne odruchy. Nie jest to jeszcze na miarę ich marzeń, ale początki są już zrobione.

Swoją działalność w Stanach Zjednoczonych Gross rozpoczął od paru sensownych książek na temat komunistycznego terroru w Polsce. Mało kto się nimi interesował. Dopiero kiedy zaczął uprawiać pornografię historyczną, która epatuje udziałem Polaków w Holokauście, zrobił międzynarodową karierę. Należy mu się ona za amunicję przeciw tożsamości polskiej.

W Związku Sowieckim przeciwników systemu zamykano do szpitali psychiatrycznych z diagnozą „schizofrenia bezobjawowa”. W liberalnej demokracji zalicza się ich do faszyzmu. Również bezobjawowego.

Fot. Andrzej Wiktor



Walizka Sandry Meunier

dziennikarki i prezenterki

Podróżowanie zaczęłam bardzo wcześnie, bo jeszcze w brzuchu mamy, która zwiedziła całe Stany Zjednoczone. Tam zresztą przyszedł na świat. W Stanach mieszkalam do piątego roku życia. Jako dziecko sporo czasu spędziłam również we Francji, m.in. w Paryżu i Grenoble. Później przeprowadziliśmy się do Polski. Podróżowanie, obok tańca, jest moją największą pasją. Dlatego wolny czas najczęściej przeznaczam na zwiedzanie nowych miejsc. Zazwyczaj robię wstępny plan i bukuję kilka noclegów, choć rzadko kiedy trzymam się sztywno scenariusza. Stawiam raczej na spontaniczność i przygodę.

ZDJĘCIA

Najlepszą pamiątką z podróży są zdjęcia. Zamiłowanie do fotografii odziedziczyłam po mamie.

- Kambodża – kraj o niezwyklej kulturze i jednocześnie mrocznej historii. W ciągu zaledwie czterech lat rządów Czerwoni Khmerzy wymordowali 1/4 społeczeństwa. Pan Bou Meng (zdjęcie nr 1) jest jedną z trzech żyjących do dziś osób, które przetrwały tortury w niesławnym więzieniu S-21 (dziś Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng).

- Na tym zdjęciu z kolei widać tzw. Białą Świątynię w tajskiej prowincji Chiang Rai. Buddyjski kompleks jest przykładem niekonwencjonalnego podejścia do architektury świątynnej.

- To również Tajlandia. A dokładnie sanktuarium słoni w Chiang Mai, które powstało w celu ich ochrony i zapewnienia im godnych warunków życia. Większość podopiecznych była wcześniej wykorzystywana w cyrku. Na miejscu przeszedłam specjalne kilkugodzinne szkolenie: od karmienia słoni po zabawę z nimi.



MAPA, NOTATKI

Zazwyczaj, kiedy ruszam do któregoś z europejskich państw, staram się tak zaplanować swój pobyt, żeby nie marnować czasu na miejscu.

Inaczej jest, kiedy wyjeżdżam do egzotycznego kraju. Wtedy poległam raczej na informacjach lokalnych mieszkańców.





TOREBKA

Najczęściej sięgam po klasyczne modele lub vintage w czarnym kolorze. Taki dodatek sprawia, że nawet prosta stylizacja nabiera animuszu.

BIŻUTERIA

Również w przypadku biżuterii stawiam na klasykę. Wybieram proste i delikatne złote dodatki, które pasują do wszystkiego.



DRES

Kolejny podróży klasyk. Nie wyobrażam sobie wspinaczki czy zwiedzania w sukience i szpilkach. Dlatego zawsze mam pod ręką dres. Zresztą wsiałam w nim już do samolotu.



ZAPACH

Gdziekolwiek się wybieram, zabieram z sobą perfumy. Mam sporą kolekcję, ale jestem wierna, słodkim i ciężkim zapachom, w których dominują piżmo, cynamon i wanilia.



KOSMETYKI

Przede wszystkim te do pielęgnacji. Wyjątek stanowi maskara do rzęs. Nieodłącznym elementem jest krem z filtrem 50, który stosuję przez cały rok, również

zimą. Warto bowiem pamiętać, że skórę należy chronić nie tylko przed słońcem, ale i „niebieskim światłem” emitowanym przez ekran smartfona czy laptopa.



KSIĄŻKI

Jeszcze nigdy nie pojechałam na wakacje bez książki. Do Europy zabieram te w wersji papierowej, ale w dalsze podróże pakuję czytnik, który waży zdecydowanie mniej. Ostatnio w Hiszpanii towarzyszył mi album ze zdjęciami Tadeusza Rolkego, który dostałam w prezencie od samego mistrza.



PRZYPRAWY

Z podróży, poza zdjęciami, przywożę zazwyczaj tylko produkty, z których korzystam w kuchni: dobrej jakości oliwy czy przyprawy. Z Tajlandii przywiozłam np. przyprawy do pad thai. Podobno wyszedł mi całkiem niezły.



PODUSZKA

Obowiązkowy gadżet podczas wielogodzinnych podróży, ułatwiający zaśnięcie w każdej pozycji.



SŁUCHAWKI

W każdym wolnym momencie słucham muzyki. W podróży, drodze do pracy czy podczas biegania. Na mojej playliście króluje Lana Del Rey. Jest też sporo kawałków Pink Floyd, Depeche Mode i Queen, ale lubię też klasykę. Szczególnie Erika Satiego czy muzykę filmową Hansa Zimmera.



ZEGAREK

Kupiony cztery lata temu podczas mojej ostatniej wizyty za oceanem. Zjechałam wtedy całą Kalifornię. Od Los Angeles przez Santa Monica, Venice Beach czy Malibu po najbardziej europejskie z amerykańskich miast, czyli San Francisco.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Pamięci kaprala Wojtka



Matt Walsh, amerykański publicysta portalu The Daily Wire, jest w USA jednym z bardziej znanych konserwatywnych krytyków feminizmu, aborcji i transpłciowości. Właśnie wydał książkę dla dzieci o Jasiu, małym chłopcu o dużej wyobraźni. W kółko fantazjuje, że chciałby być przerażającym dinozaurem, następnego dnia rycerzem w lśniącej zbroi albo swawolnym pieskiem lub morsem. Mały Jasio ma niestety „postępową” matkę. Próbuje zrobić z niego „morsa, jako rodzaj transmorsizmu, szanując jego poczucie własnej odrębności”. Rozważana jest tzw. tranzycja medyczna, która będzie wymagać budzącej grozę operacji, by zamienić małego Jasia w morsa. Matka z opowiadki „w końcu zaczyna się uczyć, że ponieważ dziecko udaje, iż czymś jest, nie oznacza to, że faktycznie jest tą rzeczą” – mówi autor. I dodaje sarkastycznie: „Można także wysnuć inne porównania. Może takie, że jeśli chłopiec mówi, iż jest dziewczynką, to nie oznacza to, iż nią faktycznie jest”. Zdaniem autora jego książeczka ma być antidotum na szaleństwo, jakim jest pranie mózgu maluchom przez dziesiątki książeczek dla dzieci propagujących „kult tożsamości płciowej”. Książka cieszy się sporym uznaniem i jej cały nakład został wyprzedany w ciągu kilku dni.

Natomiaś Mark Brzezinski, syn słynnego Zbigniewa i kandydat na ambasadora USA w Polsce, jest już po wysłuchaniu w amerykańskim Senacie. Zadeklarował tam, że będzie naciskał na polskie władze w sprawie poszanowania praw osób LGBT (i coś tam). Uznał też, że w Polsce powinno dojść do odnowy demokratycznej. „W szczególności będę nadal podkreślał w kontaktach

z polskimi władzami wagę bezstronnego sądownictwa, niezależnych mediów i poszanowania praw człowieka dla wszystkich, w tym osób LGBTQI+ i członków innych mniejszości”. Uwaga! Szykuje się kolejny mądry, który będzie nas pouczał.

Łukaszenka straszy Polskę m.in. „twardymi działaniami”, pokaże nam, „co to są sankcje” i „że nie drgnie nam ręka”. Jednym słowem, każda ręka podniesiona na Białoruś albo zostanie odrąbana, albo uschnie. Czym dysponuje sąsiad satrapa, że tak nam przed nosem pomachuje kulakiem? Defence24.pl pokusił się o sprawdzenie, jak wyglądają siły powietrzne Łukaszenki. Wychodzi na to, że najsilniejszym elementem lotnictwa bojowego są rozmieszczone w 61. Bazie w Baranowiczach dwie eskadry samolotów MiG-29. Zgodnie z oficjalnymi doniesieniami na początku br. Białorusini mieli jeszcze 39 tych samolotów. Co najmniej 13 z nich zostało zmodernizowanych. Oprócz tego w bazie w Baranowiczach formowana jest eskadra bojowa, która ma się docelowo składać z 12 Su-30SM. Obecnie Mińsk odebrał z Rosji 4–8 tych maszyn. Kolejne dwie czynne eskadry bojowe znajdują się w 116. Bazie Lotnictwa Uderzeniowego w Lidzie. Operują stamtąd dwie eskadry samolotów pola walki Su-25 posiadające łącznie 20–30 gotowych operacyjnie maszyn. Towarzyszy im tam eskadra szkolno-bojowa wykorzystująca 11 nowoczesnych samolotów Jak-130 i pewna liczba, prawdopodobnie 10, wycofywanych obecnie L-39 Albatros. Z kolei w 50. Bazie w Mińsku stacjonuje lotnictwo transportowe, złożone z dwóch ciężkich transportowych Ilów-76 i 2–6 lekkich An-26. Stoi tam też flota samolotów VIP. Choć, jak

widać, siły powietrzne są formacją doinwestowaną, jak na możliwości państwa o niewielkim PKB, to na dłuższą metę Białoruś coraz bardziej będzie skazana na pomoc Moskwy, która już teraz proponuje Mińskowi stałe rozlokowanie tam swoich eskadr bojowych. Sami z nami nie mają większych szans.

2 grudnia minęła 48. rocznica śmierci kaprala Wojtka, który odszedł do Krainy Wiecznych Łowów w wieku lat 22. O jego śmierci poinformowały wówczas brytyjskie stacje radiowe. Kapral Wojtek był niedźwiedziem, który w wieku dojrzałym ważył blisko 500 funtów (ok. 250 kg) i mierzył ponad 6 stóp (ponad 180 cm). Zwierzę zostało kupione od przygodnego kupca i adoptowane w Iranie przez żołnierzy 22. Kompanii Zaopatrywania Artylerii w 2. Korpusie Polskim dowodzonym przez gen. Władysława Andersa. Niedźwiedź już w randze szeregowca otrzymał własną książeczkę wojskową oraz żółd w postaci owoców, słodkich syropów, marmolady, miodu oraz piwa. Miś został maskotką oddziału, a logo z jego wizerunkiem stało się znakiem rozpoznawczym 22. Kompanii Zaopatrywania. Było malowane na wszystkich pojazdach kompanii oraz ozdabiało mundury żołnierzy. Według wspomnień towarzyszy Wojtka niedźwiedź miał nosić skrzynki z amunicją pod Monte Cassino. Po wojnie wraz z żołnierzami został przewieziony do Szkocji, a po demobilizacji oddany do zoo w Edynburgu, gdzie spędził resztę swoich dni. Teraz najprawdopodobniej bryka sobie po niebieskich pastwiskach, pije piwo z towarzyszymi broni, jak bywało to w szkockim zoo podczas odwiedzin. ✓

Andrzej Rafał Potocki

Seriale – narzędzie soft power

Ważnym składnikiem wspólnoty kulturowej jest znajomość tych samych opowieści, które nas interesują, emocjonują i pozwalają się wcielić w nową rolę albo przeciwnie – pomagają znaleźć potwierdzenie dla obranej przez nas drogi. Sztuka masowa zaspokaja tę socjopsychologiczną potrzebę. Współczesne seriale zajęły miejsce powieści realistycznych, które zastąpiły wcześniejsze moralitety i mity reprezentowane przez religie, kultury, cywilizacje.

W ostatnich latach, w związku z postępującą globalizacją i szybkim rozwojem nowych technologii, oglądanie seriali stało się powszechne. Ich widzowie łączą się często w wirtualne grupy, identyfikując się jako fani i członkowie większej społeczności. Przekazy serialowe pełnią funkcje: poznawczą, integracyjną i tę najistotniejszą – wzorcową, odnoszącą się nie tylko do spraw przyziemnych, np. na poziomie mody, ale nawet do kształtowania postaw moralnych i etycznych. Francuski cyberteoretyk Pierre Lévy wskazuje, że suma wiedzy posiadanej przez ogół odbiorców kultury masowej tworzy inteligencję zbiorową.

Przykładem opisanego oddziaływania mogą być seriale składające się na zasadniczy element tzw. koreańskiej fali – Hallyu. Zjawisko to polega na coraz szerszym rozpowszechnieniu na świecie koreańskich seriali, filmów, muzyki, gier, a także mody i kuchni tego kraju. Już w 2005 r. Samsung Economic Research Institute przeprowadził badanie, z którego wynika, że oddziaływanie koreańskiej fali może być kwalifikowane jako element soft power. Pierwszym etapem wywoływanym przez wspomniane środki przekazu jest konsumpcja produktów popkulturowych przez zagranicznych fanów, a także podróżowanie do Korei do miejsc związanych z daną dramą, aktorem (przed pandemią). Trzeci etap polega na wprowadzeniu stylu życia zaobserwowanego np. w koreańskich serialach. Ostatni etap to przeświadczenie o tym, że Korea Południowa jest dobrym, wręcz idyllicznym miejscem do życia. Socjologowie mówią nawet o powstaniu nowego typu wspólnotowości opartego na konsumpcji i guście.

Większość popularnych seriali traktuje o codzienności, ale największym hitem w historii platformy Netflix okazała się w ostatnich miesiącach południowokoreańska drama „Squid Game”. Według danych z połowy października serial obejrzało co najmniej 111 mln widzów. Film jest pełen okrucieństwa i z pewnością nie powinien być oglądany przez małoletnich. Drastyczne treści silnie wpływają na psychikę dziecka i mogą skutkować zaburzeniami osobowości, autoagresywnymi i agresywnymi zachowaniami oraz zaburzeniami lękowymi.

„Squid Game” był szeroko dyskutowany podczas jesiennych targów MIPCOM (franc. Marché International des Programmes de Communication) w Cannes, w których od wielu lat bierze udział wielu przedstawicieli najbardziej liczących się na rynku nadawców telewizyjnych. Zdaniem uczestników paneli, abstrahując od kontrowersyjnej fabuły, sukces południowoko-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

reańskiej produkcji odzwierciedla rosnący trend światowy polegający na zwiększającej się popularności programów nieanglojęzycznych. W 2020 r. na platformach streamingowych pojawiły się aż 72 nieanglojęzyczne seriale, tj. o ponad połowę więcej niż rok wcześniej. W tym miejscu warto zwrócić uwagę na upowszechnienie korzystania z platform streamingowych. Młodzi odbiorcy rzadko kiedy włączają tradycyjną telewizję. W przedziale wiekowym 18–34 wybierają zaledwie jeden na dziesięciu z nich, a i telewizor służy zazwyczaj do oglądania treści na wspomnianych platformach.

Zarysowane wyżej zjawisko jest wyraźnie widoczne. Rezygnujemy z telewizji na rzecz platform streamingowych. Oglądamy seriale, w których dominującej roli nie odgrywają już produkcje anglosaskie. Postępująca detronizacja kultury anglosaskiej w świecie filmowej rozrywki stwarza lukę, którą wielu specjalistów od soft power z pewnością zamierza zagospodarować, by stworzyć kolejną narrację. Canneńskie MIPCOM jest okazją do premiery nowych filmów i platform streamingowych. W trakcie ostatnich targów doskonale prezentowały się podobno produkcje i projekty rosyjskie. 

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 20 listopada 2021 r. zmarła w Markach k. Warszawy
przeżywszy 103 lata*

ŚP

**S. BEATA REGINA MIZGIER RM
PS. „KAMA”**

*urodzona 18 kwietnia 1918 r. w Rosji
podczas drogi powrotnej do Polski
rodziców zesłanych do Kazachstanu.*

*W czasie II wojny światowej łączniczka
szefa sztabu Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej
ppłk. Stanisława Jerzego Sędziaka „Warty”.*

*Uczestniczka walk w obwodach AK Nowogródek i Lida.
Dwukrotnie więziona przez Niemców.*

*W lipcu 1945 r. wstąpiła w Warszawie do Zgromadzenia
Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi.*

6 lipca 1954 roku w Płudach złożyła profesję wieczystą.

*Zasłużona nauczycielka oraz wychowawczyni,
pracowała z oddaniem i poświęceniem
w wielu placówkach oświatowych Zgromadzenia.*

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jej Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

78/121/F

Berlin ważniejszy niż polskie dzieci

Gdy czytałem o torturach i zbrodniach na polskich dzieciach z niemieckiego obozu w Łodzi i niedawno, po obejrzeniu filmu „Nauczono nas płakać bez łez”, nie dawała mi spokoju myśl: czy rzeczywiście sprawiedliwości stało się zadość, skoro nawet w Polsce niektórzy zrobią wszystko, by w imię dobrych stosunków z Berlinem o tych dzieciach nie pamiętać?

„Światła w wagonie nie zapalili. Te malutkie dzieci w wagonie płakały, aż jęczały” – wspomina w filmie Muzeum Dzieci Polskich – Ofiar Totalitaryzmu jeden z ocalałych. Relacje tych małych wtedy istot przerażają do tego stopnia, że czytając i oglądając o tym kosztmarze, jaki na polskich ziemiach zorganizował okupant, musiałem robić przerwy, żeby złapać oddech. Potrzeba było blisko wieku (79 lat), żeby pamięć o polskich ofiarach niemieckiej rzezi zaczęła się odradzać, ale i teraz nie brakuje problemów. Ocalali więźniowie obozu przy ul. Przemysłowej niedawno musieli zaapelować nawet do prezydent Łodzi Hanny Zdanowskiej o jak najszybsze przekazanie terenu na rzecz powstającego muzeum, bo miasto zielonego światła jeszcze nie dało.



**Samuel
Pereira**

W grę wchodzi polityka bliskiego jej obozu politycznego, który najchętniej zamknąłby historię w szafie, a klucze przekazał komuś z zagranicy. Podobnie było w sytuacji, gdy ambasador Andrzej Przylebski rozpoczął zabiegi na rzecz budowy pomnika polskich ofiar w Berlinie, a w odpowiedzi spotkały go ataki... w Polsce. „Większość Niemców nie ma pojęcia, jak potworne represje były stosowane w Polsce” – zauważa Götz Aly, który od kilkudziesięciu lat zajmuje się Holocaustem, antysemityzmem i historią Niemiec w XIX i XX w. Czy dlatego, że terror w Polsce był ekstremalny, możliwości działania i pomocy ze strony pojedynczych ludzi i administracji państwa podziemnego ograniczone, a kara za pomoc Żydom najwyższa, a przecież o tym dziś ukąszeni polonofobią politycy mówić nie chcą? A sprawa jest poważna. Niemiecki terror wobec naszego kraju i kontynentu to straszne dziedzictwo europejskie, które dotknęło praktycznie każdą polską rodzinę i my, Europejczycy – wobec ogromnej ofiary krwi – jesteśmy tym ludziom tę pamięć winni.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Moją pasją jest muzyka

Z Kają Paschalską rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Można powiedzieć, że wychowała się pani na planie serialu. Jaki był tamten czas?

Kaja Paschalska: Miałam 11 lat, kiedy stałam się członkiem „Klanu”. Pamiętam, że była to dla mnie ogromna przygoda i duża radość, ale też nowe możliwości, perspektywy, rozwój, poszerzenie horyzontów... Niemal same superlatywy... chociaż czasem nie było łatwo pogodzić szkołę z pracą. Bo przecież była to praca. Ogólnie rzecz biorąc, bardzo się jednak cieszę, że tak potoczyło się moje życie.

Czym „Klan” jest dla pani teraz?

Przede wszystkim pracą. Oczywiście znamy się wszyscy od lat [emisja pierwszego odcinka odbyła się 22 września 1997 r. – przyp. red.], co jest „wartością dodaną”, natomiast w dalszym ciągu jest to rodzina fikcyjna. Nie jest tak, że spędzamy z sobą święta czy jeździmy razem

na wakacje, ale się szanujemy. Wspólna praca nadal sprawia nam satysfakcję. To chyba jest najważniejsze.

Co się dzieje w życiu bohaterki?

Najmocniejszy jest teraz wątek mojej serialowej siostry. Ola jest w nim postacią „dochodzącą”. Poza tym u mojej bohaterki cały czas coś się dzieje i bardzo dobrze, bo daje to możliwość fajnej, kreatywnej pracy.

A co w muzyce?

Teraz powstaje materiał, który przekładałam dość długo z różnych życiowych przyczyn. Zależało mi, żeby to było moje, zarówno od strony wykonawczej, jak i samego pisania, komponowania itd. W tym względzie nic się nie zmieniło: muzyka jest moją największą pasją. 



Fot. Alpa

37 846 611

tylu mieszkańców
liczy Polska
(wg danych z 2020 r.)

W POLSCE.PL

151 000

tylu subskrybentów ma
w serwisie YouTube
telewizja wPolsce.pl.
Zapraszamy!

100 000

około tylu żołnierzy
zgrupowała Rosja przy
granicach z Ukrainą



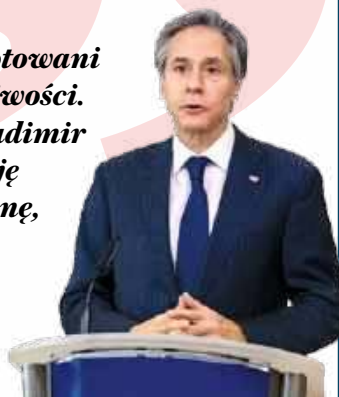
**Zastanawiam się, czy
kandydat na ambasa-
sadora nie myli swojej
roli z reprezento-
waniem jakiejś
organizacji**

**pozarządowej i czy pamięta, do jakiego
kraju miałby jechać** – Witold Waszczykowski o nowym
ambasadorze USA, który zapowiedział troskę o mniejszości seksu-
alne w Polsce

**Musimy być przygotowani
na wszystkie możliwości.**

**Nie wiemy, czy Władimir
Putin podjął decyzję
o inwazji na Ukrainę,
ale gromadzi siły,
które mogą do tego
posłużyć**

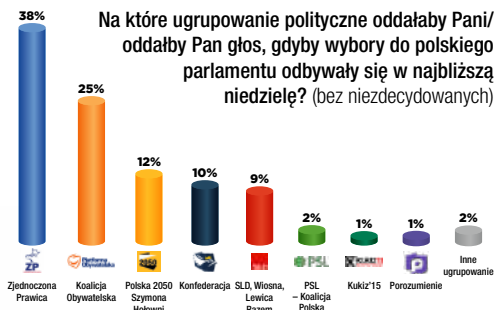
– Antony Blinken, sekretarz
stanu USA



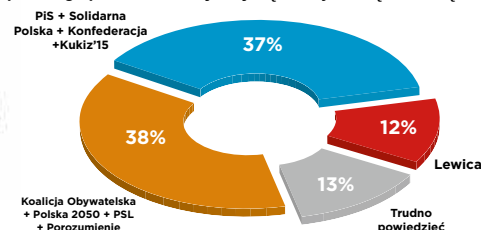
Zebrał Jakub Maciejewski



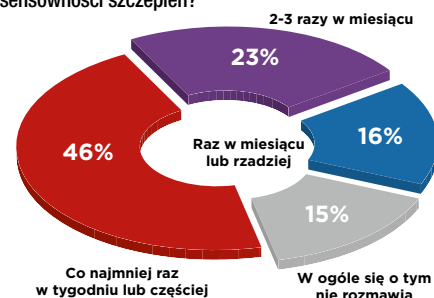
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



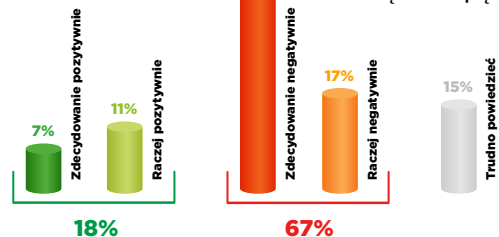
Proszę wyobrazić sobie, że w wyborach stratają tylko trzy poniższe ugrupowania polityczne. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddalby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?



Jak często w Pani/Pana najbliższym otoczeniu (np. wśród rodziny, przyjaciół albo w pracy) rozmawia się o skuteczności i sensowności szczepień?



Jak ocenia Pani/Pan pomysł, aby osobom, które dotąd się nie zaszczepiły, zaferować 600 zł, jeśli się zaszczepią?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1054.

Zakres czasowy badania 26-29 listopada 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CECYLA KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIAŁ: ANNA ŁABĘCKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; PNUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZES RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDSZTET, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PNUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNIE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZES WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR 2, JULIA SZCZĘCZYŃ, PIOTR MOLEKOWSKI NEWS,
SHUTTERSTOCK/LEIGHTSPRING, WERONICA



W najbliższym wydaniu tygodnika **SIECI**

Kolędowanie z Janem Pawłem II

Bracia Golec wiele razy udowodnili, że w kolędowaniu są prawdziwymi mistrzami, jednak album „Kolędowanie z Janem Pawłem II” jest czymś zupełnie unikatowym. To nie tylko zbiór najbardziej lubianych bożonarodzeniowych kolęd i pastorałek, lecz także brawurowy projekt, w którym, dzięki technologii, udział bierze Ojciec święty Jan Paweł II. W efekcie słuchacze odnoszą wrażenie, jakby święty Jan Paweł II kolędował z Golec ^UOrkiestrą.

*Przeżyj tegoroczne święta w wyjątkowej atmosferze
wspólnego kolędowania*

Płyta dołączona do części nakładu tygodnika „Sieci”.
Egzemplarze z płytą dostępne
w największych sieciach sprzedaży prasy.



**13
grudnia**

unikatowa płyta z najpiękniejszymi kolędami

Partnerzy wydania z płytą:



Pogubiony



MAREK PYZA **MARCIN WIKŁO**

Był pierwszoplanową postacią polskiej polityki. Dziś nie wiadomo, kiedy do niej wróci. I czy w ogóle. Jarosław Gowin przebywa na szpitalnym oddziale psychiatrycznym. Co doprowadziło go do głębokiej depresji? I co naprawdę wydarzyło się 20 listopada w Krakowie?

To opowieść o wielkiej ambicji i równie wielkiej samotności, ale też o złych wyborach, które ważnego gracza doprowadziły niemal do politycznego bankructwa. I do życiowego zakrętu, z którego będzie wychodził miesiącami.

Nic dziwnego, że ludzie interesują się tą sprawą, że dopytują, że wzbudza ona sensację. Ale choć w kręgach polityczno-dziennikarskich szepcze się o tym po kątach, to nie ma chętnych, by wyjaśnić, co naprawdę przydarzyło się Jarosławowi Gowinowi. Decydujemy się, by o tym napisać, mimo że mamy świadomość, iż ta historia dotyka spraw bardzo osobistych. Mówimy jednak o człowieku, który do niedawna był jednym z architektów rządowej większości i miał wpływ na ważne sektory gospodarcze państwa. I, jak jeszcze niedawno zapowiadał, nadal chciałby odgrywać ważną rolę w życiu publicznym.

PÓŁPRAWDY I KŁAMSTWA

„Były wicepremier znalazł się w szpitalu kilka dni temu. Jak się dowiedział nieoficjalnie »Newsweek«, chodzi o objawy depresji” – tak brzmiała pierwsza informacja na ten temat opublikowana 24 listopada. I to prawda, bo wówczas Jarosław Gowin od czterech dni rzeczywiście był w krakowskim szpitalu. Reszta artykułu to już mgła, która ma go zapewne w jakimś sensie ochronić. Tygodnik *Lisa* cytuje bowiem „anonimowych działaczy Porozumienia”: „W czasie zeszlotygodniowego posiedzenia Sejmu zauważyliśmy, że zachowuje się inaczej. Jak nie on. Przekonaliśmy go, żeby zgłosił się do szpitala. To lekarze zdecydowali, że powinien zostać” – czytamy. Są też spekulacje: „Jego stan ma mieć związek z ciągłymi, skoordynowanymi trwającymi od wielu miesięcy atakami na Gowina”.

Szybko opublikowano także oświadczenie partii Porozumienie: „Od kilku dni Jarosław Gowin, w związku z rekomendacjami lekarzy, przebywa w szpitalu, gdzie przechodzi badania. Wiosną tego roku ciężko przeszedł chorobę COVID-19. Wówczas przez blisko trzy tygodnie przebywał w szpitalu MSWiA w Warszawie” – czytamy w piśmie, które, jak rozumiemy, ma uspokajać sytuację. Jest też prośba o uszanowanie prywatności i poczekanie na komentarz samego Gowina. A skoro go nie ma, wciąż padają – i jest to

zrozumiałe – pytania o prawdziwy powód pogorszenia się stanu zdrowia byłego wicepremiera. I jego posłowie odpowiadają: „Głównie oczywiście bardzo ciężki przebieg covid, ale nie jest pewnie tajemnicą, że skoordynowany atak medialny, zdrada współpracowników, mogły się na nim odcisnąć” – mówi w rozmowie z „Rzeczpospolitą” Michał Wypij, jeden z niewielu posłów, którzy przy Gowinie zostali.

Czy to już cała prawda? Otóż nie. Prawdziwą bombę odpalił na swoim wideoblogu dziennikarz Rafał Otoka-Frąckiewicz, który stwierdził wprost, że ma informacje o samobójczej próbie Jarosława Gowina. Film obejrzało już kilkadziesiąt tysięcy ludzi i w środowisku politycznym zaważyło. Okazuje się, że w ten sposób przerwana została pewna zmowa milczenia. Owszem, rozmawia się o tym, i to z pasją oraz ze szczegółami, ale tylko anonimowo. A w mediach i nielicznych wypowiedziach publicznych pojawiają się tylko półprawdy albo wręcz kłamstwa.

MÓWI SIĘ W KRAKOWIE

Jarosław Gowin nie odpowiedział na pytania tygodnika „Sieci”, które wysłaliśmy mu już po tym, jak skomentował na Twitterze skandal związany z zaledwie drugim miejscem Roberta Lewandowskiego w plebiscycie „Złotej Piłki”. Zasięgnęliśmy więc języka w Krakowie, z którym od lat jest związany. Jeden z posłów koalicji rządzącej – Trafił na psychiatrię do Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie 20 listopada. Sporo osób w mieście doskonale o tym wiedziało, zanim jeszcze prasa to podała.

Początkowo Jarosław Gowin miał być wpisany do dokumentów szpitalnych jako „NN” (nazwisko nieznane), by nie figurować w systemie. Miało się to zmienić, gdy informacja o jego kłopotach pojawiła się już w przestrzeni publicznej.

– Nie musiałem o nic pytać, informacje krążyły w piorunującym tempie i przychodziły same. Zadzwonilo do mnie w krótkim czasie kilka osób, każda „w zaufaniu” przekazała mi informację o Gowinie i każda poprosiła o dyskrecję – opowiada nam jeden z byłych współpracowników szefa Porozumienia. – Niektóre wersje się pokrywały, niektóre wykluczały. Przyjechał do szpitala sam. Przywiozła go żona z asystentem. Trafił na oddział ogólny. Zamknęli go

w izolacie. To była poważna próba samobójcza, podcięcie żył. Nie było zagrożenia życia, wszystko wyglądało na rozpaczyliwy krzyk człowieka załamane go.

Bez względu na detale mamy do czynienia z dramatem, który należałoby raczej przeanalizować na chłodno, niż szukać sensacji. Co sprawiło, że jeden z najważniejszych polityków w Polsce konsekwentnie tracił wpływy i rozmiękał swoją wartość na drobne? Czy wspomniana już „zdrada współpracowników” na pewno była przyczyną jego zejścia z politycznego topu? A może był to efekt nieczystych zagrań, które miały zmienić sejmową większość?

– Poczuli, że jest wszechwładny, że może wszystko, że był jedną z nielicznych osób, które złamały Jarka Kaczyńskiego. Nie docenił lidera PiS, który zdołał zbudować inną większość, mimo że teoretycznie było to niemożliwe – słyszymy w jego otoczeniu.

RODZINA I POLITYKA

Specjaliści twierdzą, że w przypadku prób samobójczych zwykle trudno mówić o jednej przyczynie, dla której ktoś decyduje się targnąć na swoje życie. W tym przypadku, jak wskazują nasi rozmówcy, może być podobnie. Na kłopoty zawodowe mogła się nałożyć bowiem sytuacja osobista.

– Polityka zawsze była u niego na pierwszym miejscu, co zresztą powiedziała jego żona wiele lat temu w wywiadzie. A jeżeli nie zachowujesz balansu, nie masz tej odskoczni w postaci domu, do którego wracasz, ktoś w nim na ciebie czeka, możesz się wygadać, zjeść domowe pierogi, to się rozlecisz – słyszymy od jednego z współpracowników Gowina w Ministerstwie Rozwoju, Pracy i Technologii. Nawiązuje on do rozmowy, która ukazała się w „Gazecie Krakowskiej” w 2011 r. „Nasze światy są w dużej mierze równoległe. I tak powinno być. Mamy bardzo różne usposobienia, środowiska, w których żyjemy. Moim otoczeniem naturalnym jest rodzina, a jego od paru lat Warszawa. [...] Kiedy mi się oświadczał, powiedział, że dwie najważniejsze rzeczy w jego życiu to filozofia i polityka. Wcale nie jestem pewna, czy w tej kolejności. I powiedział jeszcze, że to ważniejsze ode mnie” – mówiła wówczas Anna Gowin.

W polityce Jarosław Gowin wdrapał się niemal na szczyt. Gdy został wyrzucony

z Rady Ministrów przez Donalda Tuska, niewielu przypuszczało, że tak się odbędzie. Po czterech latach współtworzył koalicję rządową, w której został wice-premierem. Swoją stan posiadania jeszcze bardziej zwiększył po wyborach w 2019 r. – Ku niezadowoleniu naszych posłów ludzie Porozumienia zyskali olbrzymie wpływy, nieadekwatne do ich realnej siły, choćby liczby sejmowych szabel. Nie docenił tego, co miał i przeliczył. Od półtora roku prowadził grę, w której się pogubił – mówi nam krakowski parlamentarzysta PiS.

POCZĄTEK KOŃCA

Jako moment, w którym zaczęły się kłopoty Gowina, nasi rozmówcy konsekwentnie wskazują wiosnę zeszłego roku. Polityk, który do niedawna był w Porozumieniu, praprzyczynę niszczącego Gowina konfliktu w Zjednoczonej Prawicy widzi w ambicjach Wojciecha Maksymowicza, dziś parlamentarzysty koła Polska 2050: – Gowin obawiał się, że Maksymowicz przejdzie do PiS za tekę ministra zdrowia. On marzył o tym, by zastąpić Szumowskiego. Ale przyszła pandemia i Łukasz nie mógł zrezygnować. Wtedy Maksymowicz namówił Gowina, by podjąć narrację o śmiertelnym niebezpieczeństwie i konieczności zamknięcia gospodarki. Jednak Szumowski wciąż pozostawał na stanowisku. Zaczęli więc atakować wybory korespondencyjne, które co prawda dotyczyły prezydenta, ale przegrana Andrzeja Dudy wywołałaby przecież kryzys w całym obozie. I spowodowałaby najprawdopodobniej szybki powrót do władzy znanego układu III RP.

Do tego momentu Porozumienie bardzo mocno wspierało szefa rządu. W tamtym czasie Gowin miał jednak uznać, że szansą dla niego jest obalenie Mateusza Morawieckiego. – Podjął grę: jeśli PiS nie zgodzi się na jego premiershipwo, przejdzie z partią do opozycji. Był tydzień przed Wielkanocą. Gowin był przekonany, że zerwie sejmową większość. Ale gdy przyszło do głosowania wśród naszych posłów, okazało się, że przegrywa w stosunku 8:10. Plan mu się posypał, a prowadził już bardzo za-

awansowane rozmowy z drugą stroną. Oni chcieli mu dać marszałka Sejmu, ale jego interesowało tylko stanowisko premiera. Jeśli zastanawialiście się kiedyś, co miał na myśli Giertych, mówiąc, że „Gowin chciał za dużo”, to już wiecie, o co chodziło – wspomina osoba z rządu.

Jej zdaniem, Gowin już wtedy miał objawy depresji: – Mówił, że jest zmęczony, że wszystko na nim wisi, był apatyczny, wycofany. Coraz mniej się uśmiechał. Był przytłoczony jakąś presją, którą sam na siebie nakładał.

Zapewne wiedział wtedy, że nie dokończy drugiej kadencji w Zjednoczonej Prawicy, bo przy takich zagrywkach i kompletnym braku zaufania w obozie po prostu nie da się wspólnie rządzić.

Trafił do szpitala na oddział ogólny. Zamknęli go w izolatce. Wszystko wyglądało na rozpaczliwy krzyk człowieka załamanego – opowiada jeden z byłych współpracowników szefa Porozumienia

BEZ LUKSUSU

Ale czy mógł przewidzieć, że rozsypie mu się partia? Dawni współpracownicy bez satysfakcji podsumowują: – Zostawili go niemal wszyscy. Nawet Anna Kornecka, którą zrobił wiceministrem, pod koniec listopada skończyła z polityką i została szefową w stowarzyszeniu Zygmunta Solorza. Urwał się też jego kontakt z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, a przecież spotykali się regularnie od wiosny 2020 r.

Dopóki miał kilkunastu posłów, mógł się jeszcze o coś bić. Ale z każdym kolejnym odchodzącym parlamentarzystą, gdy stało się jasne, że nie obali rządu, były wicepremier coraz wyraźniej widział, że przesuwa się na polityczny margines.

– Mocno go zabolalo odejście Jadwigi Emilewicz czy Kamila Bortniczuka, ale zupełnie się rozsypał, gdy nie poszedł

za nim Marcin Ociepa. Gdyby nie to, ta historia mogłaby potoczyć się zupełnie inaczej. Żal mi Jarka, bo znam go od lat. To biedny człowiek, który nie wytrzymał reguł politycznej gry – smuci się jeden z jego bliskich współpracowników.

Inny wskazuje, że swoje piętno odciśnęły na nim również rzeczy z pozoru drobne: – Pozbawiono go ochrony SOP, zabrano służbowy samochód, rzadziej zapraszano do mediów. Niektórzy się z tego śmieją, ale według mnie to miało spore znaczenie, bo wtedy realnie odczuł, że wypadł z karuzeli, na której utrzymywał się ponad dekadę. W czasie ostatniego forum ekonomicznego w Karpaczu mało kto z nim rozmawiał, dreptał gdzieś z boku, z telefonem przy uchu albo ze współpracownikami. Zobaczył, że przestano się z nim liczyć. Ale nigdy bym nie podejrzewał, że jest człowiekiem o tak kruchej psychice. Miałem poczucie, że to raczej bezwzględny twardziel.

Słyszemy skrajnie różne przewidywania co do przyszłości Jarosława Gowina. Opinia pierwsza: – Dziś już nie może liczyć na nic i chyba ma tego świadomość. Jak tu myśleć o starcie w przyszłych wyborach, skoro już w poprzednich jego osobisty wynik był dramatyczny, niemal trzy razy niższy niż w poprzedniej elekcji, a teraz wpadł w taki dołek, z którego niełatwo się wydostać.

Niestety będzie się mierzył nie tylko z wizerunkiem chorągiewki zmieniającej strony politycznego sporu, ale jeszcze z ostatnimi wydarzeniami. Obawiam się, że w kampanii wyborczej nikt nie miałby skrupułów, by przypomnieć jego słabość.

Opinia druga: – Może po jakimś czasie i przede wszystkim po zmianie władzy „wychodzi sobie” stanowisko jakiegoś ambasadora albo przedstawiciela przy Unii Europejskiej? Może gdzieś na uczelni, może za kilka lat w europarlamencie?

Opinia trzecia: – Nie zrezygnuje z polityki, jeszcze zawalczy. Spróbuje odbudować partię, z której niewiele już zostało. Aby osiągnąć ten cel, musiałby otoczyć się poważniejszymi ludźmi niż dzisiejsi efekciarze, którzy tylko z nazwy tworzą „drużynę Gowina”. Ale przede wszystkim najpierw powinien pomyśleć o sobie. Odnaleźć siebie. Bo na razie jest cholernie pogubiony.



Co Niemcy szykują Europie

SPD, Zieloni i FDP przedstawiły w umowie koalicyjnej wytyczne dla swoich przyszłych działań rządowych. Rezultatem jest katalog ambitnych, często ideologicznie zmotywowanych oraz kosztownych – finansowo i politycznie – zamiarów. Nie tylko dla Niemiec

Dwa miesiące trwały negocjacje między SPD, Zielonymi i FDP w celu utworzenia tzw. koalicji sygnalizacji świetlnej (Ampelkoalition). Ich wynikiem jest licząca 177 stron umowa koalicyjna pod tytułem: „Odważyć się na więcej postępu. Sojusz dla wolności, sprawiedliwości i zrównoważonego rozwoju”. Socjaldemokratyczny kanclerz Willy Brandt posłużył tu najwyraźniej za wzór, który w odpowiedzi na wydarzenia roku 1968 chciał odważyć się na „więcej demokracji”. Nie poszło mu najlepiej, w każdym razie w polityce wewnętrznej. Nie zdołał uporządkować problemów gospodarczych ani finansowych Niemiec, a następnie potknął się o ernerdowskiego szpiega w urzędzie kanclerskim. Przyszli koalicyjanci mają nadzieję, że im pójdzie lepiej, choć ich ambicje sięgają o wiele dalej niż tylko odmalowanie demokratycznej fasady.

ZJEDNOCZONE W RÓŻNORODNOŚCI

Tytułowy postęp ma nastąpić w wielu dziedzinach: od gospodarki, po energię, rodzinę i politykę zagraniczną. Niemcy, od dawna tolerancyjne i otwarte, mają zrobić kolejny krok do przodu w dziedzinie inżynierii społecznej. W umowie koalicyjnej jest plan obniżenia wieku wyborczego do 16 lat, legalizacji marihuany, uznania



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

dwóch kobiet mających dziecko za jego prawne matki, większej ochrony osób queer, zniesienia zakazu krwiodawstwa dla mężczyzn homoseksualnych i osób transseksualnych oraz zakaz protestowania przeciwko aborcji. „Możliwość bezpłatnych aborcji jest częścią niezawodnej opieki zdrowotnej. Podejmiemy skuteczne środki prawne, aby przeciwdziałać tzw. molestowaniu osób na chodnikach przez przeciwników aborcji” – głosi dokument.

Usuwanie ciąży ma być darmowe, zakaz reklamowania usług usuwania ciąży przez gabinety ginekologiczne zniesiony, a lekarze szkoleni w przeprowadzaniu zabiegów. „Aborcje powinny być częścią edukacji medycznej i szkoleń dla lekarzy” – czytamy. Rozważana jest także legalizacja surogatów i wprowadzenie ideologii LGBT do planów nauczania w szkołach. Państwo ma finansować in vitro oraz (pełnoletnim) osobom trans operacje zmiany płci, a w Bundestagu ma obowiązywać parytet w ramach zwalczania dyskry-

minacji kobiet. 70 mln euro ma zostać wydane na międzyresortowy krajowy plan działania na rzecz ochrony mniejszości seksualnych i płciowych. Płeć determinowana biologicznie? Przeżytek. Pod rządami SPD, Zielonych i FDP każdy będzie mógł sam decydować, do której z (wielu) płci przynależy.

Spore fundusze mają także popłynąć na walkę z wszelkiej maści izmami, z rasizmem oraz islamofobią na czele. Zwalczany ma być także ekstremizm, głównie ten prawicowy. To akurat jest kontynuacją polityki rządu Angeli Merkel, który sowicie opłacał różne fundacje walczące z „mową nienawiści” w sieci i które celowały głównie w treści prawicowe. „Prawicowy ekstremizm jest obecnie największym zagrożeniem dla naszej demokracji” – czytamy w umowie koalicyjnej. Słowo „islamizm” pojawia się w dokumencie tylko raz. Za to słowa „transformacja”, „różnorodność”, „queer”, „tolerancja” i „klimat” ciągną się przez niego niczym czerwona nić. Dziwny mariaż (związanych z przemysłem) liberałów i lewicy – jak określają go chadecy – zaowocował także planem liberalizacji polityki azylowej. Jest to coś, o co Zieloni walczyli od lat. Łatwiej będzie uzyskać obywatelstwo (po pięciu zamiaszt ośmiu latach pobytu), dzieci obcokrajowców urodzone w Niemczech automatycznie uzyskają niemieckie obywatelstwo, gdy przynajmniej



jedno z rodziców będzie od pięciu lat mieszkało w Niemczech. Zniesione zostaną ograniczenia łączenia rodzin, a także przepisy dotyczące podejmowania pracy przez osoby bez prawa do azylu, które tym samym z nielegalnych migrantów zamienią się w migrantów zarobkowych. Dostosowanie się migrantów do panujących w Niemczech warunków życia nie będzie już wymagane. Za to, jak czytamy w dokumencie, „zostanie przeprowadzona kampania reklamująca uzyskanie obywatelstwa niemieckiego”. Niemcy są krajem migracji, przekonują nas koalicjanci, „zjednoczone w różnorodności”.

ZIELONA GOSPODARKA SOCJALNA

Kolejnym priorytetem koalicji ma być wdrażanie ambitnych celów polityki klimatycznej, odziedziczonych po ustępującym rządzie Merkel. Tam, gdzie pani kanclerz prowadziła politykę „małych kroków”, nowy rząd chce stawiać „kroki milowe”. Transformacja energetyczna ma się odbyć szybciej, niż zakładano. Rozwój odnawialnych źródeł energii ma być promowany poprzez instalacje solarne na nowych budynkach komercyjnych i mieszkalnych oraz turbiny wiatrowe. Do 2030 r. 80 proc. zapotrzebowania na energię elektryczną ma być pokrywane ze źródeł odnawialnych. By tak się stało, co najmniej 2 proc. powierzchni kraju ma zostać przeznaczony na wiatrak. Do 2022 r. Niemcy mają się wycofać z energii atomowej, do 2030 r. z węgla (poprzedni rząd zakładał do 2038 r.), a era silników spalinowych ma dobiec końca. 15 mln samochodów elektrycznych ma w latach 30. XXI w. jeździć po niemieckich drogach. W okresie przejściowym zapotrzebowanie energetyczne Niemiec ma być pokrywane za pomocą elektrowni gazowych, a przebieg ma zostać zdekarbonizowany do 2040 r. m.in. za pomocą gospodarki wodnorodowej. By zapewnić realizację tych ambitnych celów, zostanie stworzone

ministerstwo ds. gospodarki i klimatu, które ma prowadzić współpracę z Zielonymi Robert Habeck.

O zapisy klimatyczne w umowie koalicyjnej toczył się zresztą zacięty spór. Ekolodzy nie są zadowoleni z jej ostatecznego brzmienia. Wytykają brak nowych podatków ekologicznych, m.in. na benzynę, a także brak ograniczeń prędkości na autostradach, które Zieloni obiecywali w kampanii. Skarżą się także, że zabrakło chęci do znacznego zaostrzenia celów klimatycznych, bo większość propozycji skupia się na wdrażaniu celów wyznaczonych przez poprzedni rząd. Ale i tak mogą one nie wytrzymać zderzenia z rzeczywistością. Dominującym źródłem energii elektrycznej w Niemczech w 2021 r. był węgiel kamienny oraz brunatny.

„Opowiadamy się za tym, aby rodziny tęczowe i małżeństwa/związki partnerskie osób tej samej płci zawarte w UE były uznawane we wszystkich państwach członkowskich” – napisano w umowie koalicyjnej

Ogromne środki z budżetu mają także popłynąć na cyfryzację oraz program socjalny autorstwa socjaldemokratów. W 2022 r. minimalna stawka wynagrodzenia wzrośnie do 12 euro za godzinę, a co roku ma powstać 400 tys. nowych mieszkań, w tym 100 tys. mieszkań socjalnych. Zasilek Hartz IV ma zostać zastąpiony świadczeniem obywatelskim, a migranci mają otrzymywać większe finansowe wsparcie od państwa. Biedniejsze domostwa mogą liczyć na dodatkowe świadczenia, by wyrównać straty powodowane wzrostem cen energii. Podwyżki podatków (na razie) nie są planowane. Pierwszym zadaniem nowego rządu będzie zresztą uporanie się z pandemią. W planach jest utwo-

rzenie sztabu kryzysowego z udziałem premierów landów oraz wprowadzenie obowiązku szczepień. Decyzję w tej sprawie ma podjąć Bundestag.

EUROPEJSKIE PLANY

Wiele postępowych pomysłów SPD, Zielonych i FDP będzie dotyczyło nie tylko Niemiec. Jest to coś, na co powinniśmy się już teraz przygotować. Przyszli koalicjanci zamierzają bowiem forsować je na poziomie europejskim. Największym towarem eksportowym Niemiec jest w końcu (lewicowo-liberalna) wyśzość moralna. „Tęczowe rodziny” mają być promowane we wszystkich krajach członkowskich UE. „Opowiadamy się za tym, aby rodziny tęczowe i małżeństwa/związki partnerskie osób tej samej płci zawarte w UE były uznawane we wszystkich państwach członkowskich ze wszystkimi konsekwencjami prawnymi. Akty prawne UE zakazujące dyskryminacji ze względu na rasizm muszą w przyszłości obejmować również homofobię i inne formy dyskryminacji” – głosi umowa koalicyjna.

Nowy rząd będzie także dążył do reformy europejskiego systemu azylowego. „Naszym celem jest sprawiedliwy podział odpowiedzialności i kompetencji związanych z przyjmowaniem (migrantów) w państwach UE. Dążymy do ustanowienia wyższych standardów dla osób ubiegających się o azyl w procedurze azylowej i integracji w krajach UE. Chcemy skutecznie ograniczać nielegalne push-backi i skończyć z cierpieniem na granicach zewnętrznych UE. [...] Na drodze do wspólnego unijnego systemu azylowego chcemy wytyczać drogę z koalicją chętnych państw członkowskich, które chcą przyjmować migrantów i aktywnie przyczyniać się do tego, aby inne państwa UE wzięły na siebie większą odpowiedzialność oraz przestrzegały unijnego prawa. Chcemy wspierać i promować gotowość do przyjmowania ludzi w Niemczech i UE” – czytamy.

Frontex ma się zamienić w „prawdziwą unijną agendę ochrony granic opartą na prawach człowieka” i uczestniczyć w ratowaniu migrantów na morzu. Zapowiedź ta zapewne ucieszy partnerów Niemiec, takich jak Włochy,



Od lewej: Christian Lindner – lider FDP, Olaf Scholz – kandydat na kanclerza, lider SPD, Annalena Baerbock i Robert Habeck – liderzy Zielonych

Malta czy Grecja, którzy zmagają się z napływem migrantów drogą morską. „Naszym obowiązkiem cywilizacyjno-prawnym jest nie dopuścić do tego, by ludzie tonęli. Cywilne wysiłki ratowania migrantów na morzu nie mogą być utrudniane” – głosi dokument.

W planach nowego rządu bardzo ważną rolę wspomagającą transformację energetyczną odgrywa przyspieszenie procesu dekarbonizacji w UE. Berlin chce wspierać KE w forsowaniu ambitnych zmian w ramach pakietu Fit for 55. Będzie to oznaczać zwiększenie presji na państwa zapóźnione w tej dziedzinie, jak choćby Polska. Taka presja będzie wywierana na Warszawę także w kwestii atomu. „Będziemy działać na rzecz wyłączenia niebezpiecznych reaktorów znajdujących się w pobliżu granic. Prowadzimy rozmowy, by połączyć kompetencje w tym obszarze” – czytamy. Jest to sprzeczne z planami jądrowymi sąsiadów Niemiec, w tym Francji, która chce budować nowe reaktory jądrowe. Jednocześnie jest to kontynuacja polityki prowadzonej przez rząd Merkel, która podjęła po katastrofie w Fukushima w 2011 r. decyzję o wyjściu Niemiec z atomu.

UE JAKO IMPERIUM

Ambitne plany ma nowy niemiecki rząd także w dziedzinie polityki europejskiej. W umowie jest mowa o odpowiedzialności Niemiec jako największego państwa UE za Europę oraz świat. Sojusze, które Niemcy będą zawierać bądź zgłębiać, mają być w przyszłości oparte na wartościach, takich jak wolność, demokracja i prawa człowieka. „Opowiadamy się za UE, która wewnętrznie i zewnętrznie chroni swoje wartości oraz praworządność. Stworzymy rząd, który będzie określał niemieckie interesy w świetle interesów europejskich. Jako największe państwo członkowskie przyjmujemy na siebie szczególną odpowiedzialność za całą UE, której chcemy służyć” – czytamy.

Europa ma się stać „suwerenna strategicznie”. „Bardziej stabilna demokratycznie, bardziej aktywna i strategicznie suwerenna Unia Europejska jest podstawą naszego pokoju, dobrobytu i wolności” – głosi dokument. Koalicjanci chcą występować bardziej zdecydowanie w obronie praworządności (zgoda Berlina na wypłatę środków z funduszu odbudowy UE ma być udzielona tylko

w przypadku „gwarancji niezależności sądownictwa”). „Wzywamy Komisję Europejską do bardziej konsekwentnego i terminowego korzystania z istniejących instrumentów dotyczących praworządności” – czytamy.

Toczącą się obecnie konferencję o przyszłości Europy SPD, Zieloni i FDP chcą wykorzystać do stworzenia europejskiego państwa federalnego. Mamy tu powrót do Stanów Zjednoczonych Europy, koncepcji, którą forsował swojego czasu polityk SPD i kandydat na kanclerza Martin Schulz. „Wykorzystamy konferencję o przyszłości Europy do reform. Wspieramy niezbędne zmiany traktatów. Konferencja powinna prowadzić do zwołania konwencji założycielskiej i prowadzić do dalszego rozwoju europejskiego państwa federalnego, zorganizowanego w sposób zdecentralizowany zgodnie z zasadami pomocniczości i proporcjonalności oraz Karty praw podstawowych” – piszą koalicjanci.

Parlament Europejski ma być wzmocniony wprowadzaniem ponadnarodowych list wyborczych, a decyzje w Radzie Europejskiej mają „następować kwalifikowaną większością”. „Chcemy



zastąpić zasadę jednomyślności w Radzie Ministrów UE we wspólnej polityce zagranicznej i bezpieczeństwa większością kwalifikowaną i wypracować w tym celu mechanizm z naszymi partnerami, aby miały w tym udział również mniejsze państwa członkowskie” – głosi dokument. W umowie koalicyjnej znajdujemy także odniesienia do kompetencji Trybunału Sprawiedliwości UE, które zdaniem nowego niemieckiego rządu powinny być rozszerzone na podstawie Karty praw podstawowych UE, a kadencja sędziów TSUE przedłużona do 12 lat. „Chcemy, aby prawa wynikające z Karty praw podstawowych Unii Europejskiej podlegały w przyszłości pod ETS, nawet wtedy jeśli dane państwo członkowskie działa w ramach swojego narodowego prawa” – czytamy.

Nowy rząd w Berlinie jest też otwarty na poluzowanie reguł fiskalnych, choć w umowie nie ma bezpośredniej zgody na uwspółnotowanie długu.

STARA PRZYJAŹŃ NIE RDZEWIEJE

Polska z nazwy jest wymieniona w dokumencie – w związku z upamiętnieniem polskich ofiar niemieckiej okupacji w Berlinie (projekt jest wspierany przez nową koalicję) oraz w wymiarze dobrosąsiedzkim. Ale także tu czyha pułapka. „Niemcy i Polskę łączy głęboka przyjaźń. Wzmacniamy pracę podmiotów społeczeństwa obywatelskiego (np. Polsko-Niemieckiej Wymiany Młodzieży). Usprawniamy współpracę na terenach przygranicznych” – czytamy.

Współpraca z podmiotami społeczeństwa obywatelskiego, czyli inaczej wzmocnienie liberalnych sił w Polsce. Najwyraźniej przyszli koalicjanci liczą na to, że rząd w Polsce się zmieni. Nasza rodzima opozycja nadal będzie więc mogła liczyć na pomoc Berlina. W umowie koalicyjnej jest w końcu mowa o „urban diplomacy”, czyli wzmocnieniu „więzi między miastami” w Europie w obronie „zagrożonych naukowców, prawników, artystów i studentów”. Wspomagani (finansowo) mają być także dziennikarze oraz „obrońcy wolności słowa”. A takich mamy nad Wisłą na pęczki.

Polityka zagraniczna zajmuje ogólnie dużo miejsca w umowie koalicyjnej.

Chiny uznano za rywala systemowego, któremu należy, jak wszystkim państwom autorytarnym, przeciwdziałać wspólnie z UE i USA, ale współpraca z nim ma być jednocześnie kontynuowana, także w dziedzinie polityki klimatycznej i handlowej. Tu widać więc wyraźną kontynuację dotychczasowej polityki Berlina, nawet jeżeli retoryka jest nieco ostrzejsza. Rosja także się w dokumencie pojawia. Po pierwsze, w kontekście nuklearnego rozbrojenia, które jest jednym z głównych celów nowego rządu, a po drugie, w kontekście obecnej sytuacji na Ukrainie i Białym

Toczącą się obecnie konferencję o przyszłości Europy SPD, Zieloni i FDP chcą wykorzystać do stworzenia europejskiego państwa federalnego. Mamy tu powrót do idei Stanów Zjednoczonych Europy

rusi. Stosunki Berlina z Moskwą zostały określone jako „głębokie i zróżnicowane”. „Rosja jest ważnym graczem międzynarodowym. Rozumiemy znaczenie solidnych i stabilnych relacji i wciąż do nich dążymy. Jesteśmy gotowi do konstruktywnego dialogu. [...] Szanujemy interesy naszych europejskich sąsiadów, zwłaszcza naszych partnerów w Europie Środkowo-Wschodniej. Uwzględnimy różne postrzeganie zagrożeń i skupimy się na wspólnej i spójnej polityce UE wobec Rosji” – głosi dokument.

Koalicjanci wyrazili także wsparcie dla przywrócenia integralności terytorialnej Ukrainy i prodemokratycznych dążeń Białorusinów. Jednocześnie współpraca z Rosją ma się dalej rozwijać w dziedzinie rozwiązywania konfliktów oraz zwalczania zmian klimatu. Tu wymieniony jest wodór jako temat przyszłości. Nord Stream 2 w umowie

koalicyjnej próżno szukać. Nie jest tajemnicą, że SPD projekt od początku wspierała, także liberałowie w zdecydowanej większości opowiadali się za uruchomieniem gazociągu. Co dalej będzie się działo w tej kwestii, łatwo wyczytać z akapitów dotyczących transformacji energetycznej. Jest tam mowa o konieczności korzystania w ramach tego procesu z elektrowni gazowych, a w przyszłości wodorowych. Ukrainie jako nagroda pocieszenia jest oferowana współpraca energetyczna. Biorąc pod uwagę ujawniony przez portal Axios dokument ambasady niemieckiej

w Waszyngtonie, w którym Berlin usiłuje Kongresowi USA wyperswadować sankcje za Nord Stream 2 i zamiast tego proponuje zagrożonym rosyjskim szantażem gazowym państwom pomoc w transformacji energetycznej, czyli sprzedaż niemieckiej technologii, nietrudno się domyślić, w jakim kierunku pójdzie polityka nowego rządu. Trudno sobie bowiem wyobrazić, że wysłanie takiego dokumentu trzy tygodnie przed zmianą rządu w Berlinie nie było z nowymi koalicjantami uzgodnione.

EPILOG

Ile z tej umowy koalicyjnej zostanie rzeczywiście zrealizowane? To będzie zapewne zależało od sytuacji pandemicznej w Niemczech, woli współpracy europejskich partnerów oraz zdolności do kompromisu koalicjantów. SPD, Zielonych i FDP wiele różni. Na przykład liberałowie, twardo broniący zasady stabilności finansowej Niemiec, mogą wetować jako zbyt kosztowne, ambitne cele klimatyczne, które znalazły się w umowie pod naciskiem Zielonych. Albo trzy partie się zrównoważą, albo szybko w koalicji dojdzie do konfliktów i paraliżu. Takiej konstelacji rządowej nie było w Niemczech w końcu od chwili powstania Republiki Federalnej. Pierwszą wizytę zagraniczną Olaf Scholz (w każdym razie na chwilę obecną) złoży 16 grudnia w Brukseli, gdzie odbędzie się szczyt unijny.

Zerwać z pragmatyzmem Merkel

(czyli o niemieckiej umowie koalicyjnej)

Niemcy mają „odważyć się zrobić większy postęp”, wszystkie przeszkody zaś do takiego celu mają być „usunięte z drogi”. Taki ofensywny plan polityczny, formułowany przy tym bardzo energetycznym językiem, przedstawia nowa niemiecka umowa rządowa, zawarta przez socjalliberalno-zieloną koalicję



JAN ROKITA

Plan rządzenia liczący 180 stron został wypracowany w dość krótkim czasie jak na niemieckie standardy, przez 22 trójstronne grupy robocze, przy udziale ok. 300 uczestników. Ów „większy postęp” i wola „usuwania przeszkód z drogi” ma oczywiście stano-

wić kontrast do długoletnich, mających sporo zalet, ale z pewnością słabo reformatorskich rządów Angeli Merkel. Więc nowy rząd kanclerza Olafa Scholza próbuje, na razie przynajmniej deklaracyjnie, postawić przed niemiecką polityką maksymalistyczne cele.



Dziś Niemcy są potęgą polityczną i gospodarczą, stojącą jednak w obliczu stagnacji. Niemiecki biznes stracił swoją reputację, a firmy, takie jak Deutsche Bank, Volkswagen czy Bayer, stały się symbolami złego zarządzania, krętaństw i płaconych przymusowo kar. Niemiecka armia jest słabo zdolna do działania na wypadek prawdziwej wojny. Całkiem niedawno Europa obserwowała ze zdumieniem, jak nieporadnie Niemcy zarządzają kryzysem wywołanym przez powódź. Niemcy przyjęły miliony imigrantów, ale niezbyt radzą sobie ze skutkami ich przybycia. Niemiecka infrastruktura jest stara i zużyta. A pochopne zamykanie elektrowni jądrowych wymusiło nie tylko wzrost cen energii, lecz również (ku zgrozie Zielonych) utrzymywanie niszczonego środowiska przemysłu węgla brunatnego. Nawet wzorcowe do niedawna niemieckie finanse nie są aż takim źródłem siły: w tym roku nowy niemiecki dług sięgnie kwoty 240 mld euro.

Maksymalistycznie stawiane cele mają być zatem odpowiedzią socjalliberalno-zielonego rządu na taki stan niemieckich spraw. Umowa koalicyjna zapowiada atak głównie na dwóch frontach.

ZIELONO-CYFROWA REWOLUCJA

Pierwszym frontem, tak na dobrą sprawę skupiającym w sobie kluczowe ambicje rządu – jest zielono-cyfrowa rewolucja, która w ciągu mniej niż jednego pokolenia miałaby gruntownie przeorać zarówno niemieckie państwo, niemieckie społeczeństwo, jak i niemiecką gospodarkę. Wszystko ma tu się dziać natychmiast, gwałtownie i z „usuwaniami z drogi” wszelkich przeszkód. Węgiel brunatny ma zniknąć w ciągu ośmiu lat, a nie jak żmudnie wynegocjował z biznesem rząd Merkel – do roku 2038. Rygorystyczna polityka przemysłowa ma zablokować każdą postać rozwoju niespełniającą standardów klimatycznych. Liberalizacja zagospodarowania przestrzennego, na wzór anglosaski, ma uwolnić szybkie zielone inwestycje, bez oglądania się na tradycyjną

pedantyczność niemieckiego prawa administracyjnego. System socjalny państwa ma przejść pod kontrolę sztuczna inteligencja, więc jeśli zapowiada się nowe zasłiki na dzieci, to mają one być już „zautomatyzowane”. „Za cofanie cyfrowe” zostaje bowiem proklamowane, obok ocieplenia klimatu, głównym wrogiem, któremu ma teraz zostać wypowiedziana wojna.

Nietrudno zauważyć, że taki maksymalistyczny sposób formułowania zarówno celów, jak i środków polityki może rodzić podejrzenie „papierowości” co niektórych przynajmniej, najbardziej ambitnych projektów. Niemieckie media zauważyły natychmiast, że rewolucyjny plan antywęglowy zawiera niebłahą lukę, jaką jest brak odpowiedzi na pytanie o potencjalny deficyt prądu, jaki nieoczekiwanie może spaść takim sposobem na Niemcy. Panaceum ma stanowić „magiczny lek, czyli zielony wodór” (jak ironicznie pisze „FAZ”), tyle tylko że jego produkcja jeszcze bardziej zwiększa przyszłe zapotrzebowanie kraju na prąd. Nieuchronna zatem staje się konieczność pragmatycznych kompromisów z rzeczywistością. W ten właśnie sposób zwalczany przez klimatystów gaz zostaje w umowie uznany za przejściowe zło konieczne. To z jednej strony dobra wiadomość dla Kremla, bo gazociąg bałtycki staje się niemiecką koniecznością (choć Zieloni zwalczały go dotychczas, a umowa przeźornie milczy na jego temat). Jednak z drugiej także dla Polski, gdyż Berlin nie będzie mógł wywierać presji blokującej na trwający rozwój polskiej infrastruktury gazowej.

NIEMIECKA WIZJA EUROPY

Drugi atak zostaje zapowiedziany na froncie europejskim. Prawdę mówiąc, czytając tę część umowy koalicyjnej, trudno się oprzeć wrażeniu, że ma się do czynienia bardziej z jakimś ideowym manifestem ruchu paneuropejskiego niż z planem rządzenia odnoszącym się do realiów 2021 r. Trwająca w Unii seria imprez (jak dotąd – mających wymiar li tylko propagandowy), organizowanych pod hasłem „Konferencja dla przyszłości

Europy”, miałyby się bowiem przerozdzić w realną „konwencję konstytucyjną”, przygotowującą zmianę traktatów pod kątem „dalszego rozwoju federalnego państwa europejskiego”. Parę lat temu podobną ideę forsował Macron, ale raz – że Merkel ową ideę naonczas zignorowała, a dwa – sam Macron musiał ją porzucić pod presją realiów francuskiej kampanii wyborczej, w której Francuzi nie chcą nawet słyszeć o żadnym „państwie europejskim”. Dziś sztandar nowych traktatów, mających dać podwaliny europaństwowości, próbuje podnieść obejmująca władzę niemiecka lewica. W tekście mowa o jednolitej polityce zagranicznej, którą miałyby przejść Bruksela, oraz o integracji armii, która miałyby się dokonać pomiędzy tymi krajami, które by tego sobie życzyły, o ile nie życzyliby sobie tego wszyscy.

Zdaje się, że sami autorzy umowy (przynajmniej niektórzy) są świadomi tego, iż cała tak opisana europejska wizja musi sprawiać wrażenie blankietowej, tak słabo bowiem przystaje do realiów dzisiejszej unijnej polityki. Toteż krótko po podpisaniu umowy pojawiły się głosy polityków nowego obozu rządowego, iż to plan nie na najbliższą kadencję, ale na dalszą przyszłość. Lecz to, co istotne z polskiej, bynajmniej nie tak dalekosiężnej perspektywy, to praktyczne i całkiem bieżące skutki rozumienia Unii przez nową koalicję. Zaskakująco spory fragment tekstu poświęcony jest bowiem de facto Polsce, bez wymieniania nazwy naszego kraju. Niemiecka koalicja już teraz „wzywa Komisję Europejską do bardziej konsekwentnego i szybkiego korzystania z instrumentów dotyczących praworządności”. Zapowiada zgodę Berlina na wypłaty funduszu odbudowy tylko, „o ile zostaną wypełnione warunki wstępne”. I po numerach artykułów wskazuje przepisy obu europejskich traktatów, na których podstawie Komisja ma karać państwa niewymienione w umowie z nazwy. Pada tu art. 279 (ten o zarządzeniach tymczasowych luksemburskiego trybunału) i art. 260 (ten o karach za niewykonanie wyroków) z drugiego traktatu, i co szczególnie ciekawe – również art. 7 pierwszego traktatu, co zapowiadałoby

poparcie nowego rządu dla wznowienia procedury sankcyjnej w Radzie, uruchomionej już dawno przeciw Polsce i Węgrom, a dotąd blokowanej przez cichy sceptycyzm Merkel.

Wygląda na to, że koalicjanci musieli w toku poufnych negocjacji poświęcić sporo czasu na tak szczegółowe uzgodnienie polityki, w której, jak każdy rozumie, idzie o stosunki z Warszawą i Budapesztem. Pojawiają się tu bowiem jeszcze dwa nowe pomysły, takie, których nie da się żadnym sposobem wyinterpretować z traktatów, więc koalicja postuluje je dopiero na przyszłość. Jeden – żeby traktaty zmieniać tak, by trybunały europejskie mogły sądzić państwo członkowskie nawet wtedy, gdy „działa ono całkowicie na podstawie prawa krajowego”. Drugi – aby Komisja Europejska mogła ustalać dla nie dość praworządnych krajów „indywidualne procedury postępowania”. Jasne jest, że pomysł pierwszy zmierza do nadania sądowi w Luksemburgu prawa do uchylania wszelkich aktów wydawanych przez parlamenty i rządy państw członkowskich; drugi – do stworzenia ekstraterytu, w którym Bruksela przejmowałaby na jakiś przejściowy czas politykę państwa członkowskiego od jego rządu.

Prawdę mówiąc, trudno traktować wprowadzenie tak oderwanych od realiów idei do umowy koalicyjnej inaczej niż jak swego rodzaju manifestację ideologicznego radykalizmu. Nie sposób przecież przypuścić, że poważni niemieccy liderzy serio myślą o uzyskaniu zgody całej Unii na dziwactwa rodem z epoki postkolonialnej.

SCHOLZ JEDNAK JAK MERKEL?

Nie dziwota więc, że w największy entuzjazm z powodu niemieckiej umowy wpadł lider belgijskich liberałów Guy Verhofstadt, czołowy zwolennik polityki wymuszania posłuszeństwa Europy Środkowej metodą par force. Na łamach „Politico” pisze on: „Nowa niemiecka koalicja może być tym ostatnim brakującym elementem, potrzebnym do odwrócenia kierunku na konty-

nencie”. I okazuje przy tym zachwyt z tego, że skończyła się właśnie epoka „wielkiej hamulcowej” Merkel, nigdy nieokazującej prawdziwego europejskiego entuzjazmu, a nastawionej na ochranianie opornych i szukanie z nimi jakiegoś modus vivendi. Tak ostre deprecjonowanie dorobku Merkel, nim jeszcze formalnie zakończyła swe urządowanie, idzie w poprzek panującej w Europie atmosferze szacunku wobec odchodzącej kanclerz.

Ale Verhofstadt ma w gruncie rzeczy rację, i to nie tylko gdy idzie o sposób rozumienia Unii przez Merkel, ale znacznie szerzej – co do całego stylu uprawianej przez nią polityki. Jak zresztą kanclerz mówi celnie o samej sobie w jednym z ostatnich wywiadów:

Zaskakująco spory fragment tekstu umowy poświęcony jest Polsce, bez wymieniania nazwy naszego kraju. Niemiecka koalicja już teraz „wzywa Komisję Europejską do bardziej konsekwentnego i szybkiego korzystania z instrumentów dotyczących praworządności”

„Nie robiłam niczego szczególnego, tylko starałam się rozwiązywać konflikty niesione przez rzeczywistość”. Nowa niemiecka umowa koalicyjna spektakularnie unaocznia kontrast wobec takiego rozumienia polityki. O ile Merkel za misję polityki uważała nieustanny wysiłek obniżania ryzyka i przewyżczania, a co najmniej kłajstrowania, awantur wywoływanych przez innych, więc skazana była na kunktatorstwo oraz ideologiczną miłośność, o tyle socjalliberalno-zielona koalicja obiecuje w umowie, iż awantur i ryzyka się nie boi, bo zamierza maksymalistycznie „usuwać przeszkody z drogi”.

Przyznam, że choć się spodziewałem, iż wcześniej czy później będziemy mieć powód, aby docenić erę Merkel z perspektywy polskich interesów, nie sądziłem jednak, że może się to stać aż w tak krótkim czasie. Ale też trzeba z naciskiem zauważyć, że tak naprawdę to mało wiemy na razie, jak wyglądać będzie teraz niemiecka polityka. To, co jest jasne i co widać po treści umowy koalicyjnej, to fakt, iż nowa niemiecka koalicja chciałaby zerwać z pragmatyzmem Merkel, gdyż jest dziś mocno rozgrzana ideologicznie. To przede wszystkim przychodzący do władzy Zieloni odcisnęli piętno na takim kształcie uzgodnionego planu rządzenia. Jednak już za moment kanclerz Scholz stanie w obliczu politycznych i ekonomicznych realiów. I dopiero wtedy się rozstrzygnie, ile z Merkel pozostanie nadal w niemieckiej polityce, a ile uda się do niej wnieść rozgrzanym ideologicznie Zielonym.

Jeśli gabinet Scholza, w imię ideologicznego maksymalizmu, zacznie mnożyć konflikty zarówno w Europie, jak i wewnątrz samych Niemiec, to Berlin szybko straci wypracowaną przez Merkel rolę politycznego arbitra i hegemonu, mającego z reguły prawo ostatniego zdania. Tak się stanie najprawdopodobniej, jeśli realna niemiecka polityka miałaby się okazać taka jak nowa umowa koalicyjna. W Niemczech krąży jednak powiedzonko, iż tak naprawdę Merkel wcale nie prze-

staje rządzić, tyle tylko że teraz będzie nazywać się Scholz. Nie od dziś wiadomo, że nowy kanclerz jest charakterologicznie typem podobnym do pragmatyczki Merkel. W końcu przez lata był jej zastępcą i ministrem finansów, a wcześniej, jeszcze dłużej, burmistrzem słynącego z zamykania do pragmatyzmu hanzeatyckiego Hamburga – miasta milionerów. Jeśli jednak Niemcy miałyby teraz naprawdę pójść tropem ideologicznego entuzjazmu Zielonych, wkrótce się okaże, że nie tylko stały się w Europie sprawcą dodatkowych kłopotów i sporów, ale przede wszystkim, że są politycznie słabsze, niż zwykle się dotąd sądzić. ▀



Covid sam w domu. I to nie jest komedia

Wcześniej czy później to musiało się zdarzyć. Dopadło i mnie. Mam COVID-19. Liczę, że gdy czytają państwo ten tekst, nie jestem w gorszej formie, niż kiedy go pisałam. To nieprzewidywalna choroba. Jako pacjent nabyłam jednak już garść refleksji, którymi chcę się z państwem podzielić



DOROTA ŁOSIEWICZ

Warto się szczepić. Ale nie dla innych, jak słyszeliśmy w kampanii promocyjnej szczepień, tylko dla siebie. W większości znanych mi przypadków osoby zaszczepione przechodzą infekcję zdecydowanie łagodniej lub w ogóle jej nie zauważają. Szczepionka to coś jak kamizelka kuloodporna, którą zakładasz, by się chronić. Jednak ta kamizelka nie jest tak świetna, jak zapewniali eksperci rok temu. Wiemy już, że nieprawdziwe jest twierdzenie prof. Andrzeja Horbana sprzed niemal roku, że „zaszczepieni na COVID-19 nie będą zarażali, bo nie

będą zakażeni”. Fakty są takie, że mogą być zakażeni i mogą zarażać. Szczepienie nie zapewnia też nieśmiertelności. Na COVID-19 umierają także osoby zaszczepione. Spójrzmy tylko na jeden dzień: 30 listopada br. zmarło 526 osób. 386 stanowiły osoby niezaszczepione, ale aż 140 to były osoby w pełni zaszczepione. To niecałe 30 proc. Gorzej jednak wygląda statystyka zakażeń. Gdy prześledzimy dane Ministerstwa Zdrowia, np. tydzień pomiędzy 19 a 26 listopada br., to okaże się, że liczba zakażonych po pełnym cyklu szczepień wzrosła ze 156 238 do 225 076, czyli o 68 838. To już ponad 40 proc. wszystkich zakażonych w tym okresie.

Szczepieniem dajemy sobie jednak szansę na łżejsze przechorowanie. Ktoś powie, że także na niepożądane objawy poszczepienne, dlatego nie uważam, żeby należało wprowadzać przymus szczepień. Poza tym znam osoby, które chorowały lekko bez szczepienia, i ta-

kie, które chorowały ciężko po szczepieniu. Tu po części rację mają obie strony dyskursu: i ta pro-, i ta antyszczepionkowa. Z jednej strony szczepionki nie są tak skuteczne, jak zapowiadali ich producenci i naukowcy – początkowo mówiono przecież o niemal stuprocentowej ochronie przed zakażeniem, a następnie o wysokiej ochronie przed hospitalizacją i ciężkim przebiegiem. Wciąż jednak szczepionki zdecydowanie zwiększają szansę na łagodny przebieg choroby. Według Ministerstwa Zdrowia dane z USA pokazują, że osoby niezaszczepione są 14 razy bardziej narażone na zgon z powodu COVID-19, 5,8 razy bardziej narażone na samą infekcję.

Brakuje jednak otwartej debaty na ten temat, a przyjmowanie jednej narracji za wyłącznie obowiązującą, z wy-ciszaniem argumentów drugiej strony, tylko wszystkich usztywnia, bez szansy na wymianę argumentów.



LECZYĆ, ZAMIAST STRASZYĆ

Pacjent z covidem jest pozostawiony sam sobie. Gdy dostaje pozytywny wynik testu, ma szansę na telefon z sanepidu, zostanie poinformowany, że nie może opuszczać miejsca zamieszkania, a jak mu się pogorszy, to ma wezwać pogotowie. Jak dobrze pójdzie, to podczas teleporady dostanie rutinoscorbin i paracetamol. I takiemu pacjentowi pozostają tylko strach i wyczekiwanie, wsłuchiwanie się we własny oddech, wpatrywanie w pulsoksymetr i termometr oraz oczekiwanie na powikłania (czyli np. zapalenie płuc) lub powrót do zdrowia. A przecież wiemy, jak ważna w rekonwalescencji jest psychika. Były przypadki, że wzywano karetkę do osoby, która myślała, że się dusi, a osłuchowo była czysta. Pacjent po prostu wpadł w panikę.

Poza tym, nawet jeśli pozostawimy bez leczenia pacjenta z grypą, to jednemu pewnie przejdzie, a u innego wystąpią powikłania i może dojść do zgonu. A w przypadku COVID-19 powikłania występują bardzo szybko. Dlatego tak ważne jest, by pacjent miał opiekę od początku. Tymczasem tylko nieliczni lekarze chcą badać pacjentów z covidem, pozytywny wynik testu zamyka drzwi niemal wszystkich

By ograniczyć śmiertelność na COVID-19, trzeba natychmiast zapewnić chorym dostęp do lekarza. Skoro dało się uruchomić szpitale tymczasowe, to może da się zorganizować tymczasowe przychodnie?

przychodni, a pacjentowi pozostaje jedynie teleporada. Przez telefon raczej nie da się usłyszeć zmian w płucach. A potem w mediach słychać lament profesorów, że Polacy trafiają do lekarza zbyt późno i (o zgrozo!) próbowali się leczyć na własną rękę. A cóż im pozostaje?

AMANTADYNA?

To z pewnością dlatego oficjalna sprzedaż amantadyny w Polsce w br. już przekroczyła 400 tys. opakowań, podczas gdy w całym roku 2019 sprzedaż wyniosła 118 tys. sztuk tego leku. O amantadynie jest

głośno z powodu terapii dr. Włodzimierza Bodnara oraz naukowej publikacji i badania klinicznego prof. Konrada Rejdaka, który przeprowadza naukowy dowód na skuteczność (lub nie) amantadyny w leczeniu COVID-19. Z amantadyną jest jednak tak, że nawet jeśli jest pomocna w leczeniu (tego nie rozstrzygam, to ma rozstrzygnąć badanie kliniczne, choć Polacy mają swoje własne, prowadzone wśród znajomych, a jego wynik roznosi się pocztą pantoflową), to jej zażywanie powinno się odbywać pod ścisłym nadzorem lekarza, który jeśli zajdzie taka potrzeba, wprowadzi jeszcze antybiotyki. Jak wiadomo, wirusy są autostradą dla bakterii, które szybko mogą poczynić spustoszenie.

– Jeśli pacjent nie ma spektakularnej poprawy po dwóch–trzech dobach i jeszcze nie ma pełnej stabilizacji, można podejrzewać, że może mieć już powikłania, np. zapalenie płuc. Trzeba go zbadać i bezwzględnie osłuchać płuca (w przypadkach wątpliwych wykonać tomografię komputerową lub przynajmniej RTG, które mogą wykazać zmiany zapalne – niesłyszalne na słuchawkach). Słyszalne osłuchowo zmiany bezwzględnie wymagają antybiotykoterapii – informuje



pulmonolog dr Włodzimierz Bodnar, który jest przekonany, że amantadyna jest skuteczna w leczeniu COVID-19. Pacjent, który leczy się sam, może ten moment przegapić.

Na wynik badania czekam z zainteresowaniem. Znam wiele osób, którym amantadyna pomogła, ale znam też jednego wspaniałego człowieka, któremu nie pomogły ani amantadyna, ani natychmiast podany antybiotyk, ani steryd. Zapalenie płuc było błyskawiczne i bezwzględne (spoczywaj w pokoju, panie Lechu).

Jednak amantadyna to niejedyny środek, który przepisują lekarze. W różnych częściach kraju próbują różnych sposobów. Najważniejsze, by pacjent nie został sam i by odpowiednio wcześniej wkroczyć z antybiotykiem.

MÓJ PRZYPADEK

Ja osobiście, pod opieką wspaniałych fachowców, skorzystałam z amantadyny, jednocześnie stosowałam steryd wziewny, suplementowałam witaminy D3, C oraz cynk. Konieczne było także podanie po czterech dniach od wystąpienia objawów antybiotyku. Gdy piszę ten tekst, jestem w szóstej dobie od pierwszych objawów i w trzeciej od pozytywnego wyniku testu. Nie mam gorączki, tylko lekki kaszel. Ale ta choroba jest zmienna i nieprzewidywalna.

Mam świadomość, że wszystko może się zdarzyć. Na pewno nie bez znaczenia jest także to, że zdążyłam przyjąć pierwszą dawkę szczepionki Moderna. Ze szczepieniem zwlekałam w obawie o powikłanie związane z genetycznym, dziedzicznym uwarunkowaniem, nad którym nie będę się szczegółowo rozwodzić. Konsultowałam swoje wątpliwości z wieloma lekarzami. Część je podzieliła, tylko jeden był pewny, że sprawa jest bez związku i zalecił konkretną szczepionkę, z której ostatecznie skorzystałam. Jednak podczas choroby kilkakrotnie pożałowałam, że nie zdążyłam przyjąć drugiej dawki.

Piszę szczegółowo o okolicznościach, bo one wszystkie zebrane razem (jak i cały nasz genotyp) mogły przesądzić o stosunkowo lekkim (jak na razie przypominającym grype) przebiegu choroby.

Na pewno jednak pomogło mi to, że leczenie zostało wdrożone od pierwszych objawów, cały czas byłam w kontakcie z fachowcami, mogłam też liczyć na osłuchanie przez wspaniałego lekarza, którego nazwiska nie podam, bo bywa, że lekarze, którzy pomagają pacjentom, są ścigani przez Rzecznika Praw Pacjenta. Mogłam usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, że chorobę się leczy. Tego, oprócz leku, najbardziej potrzebuje chory.

JAK TO ZROBIĆ?

Niestety dziś dostęp do lekarza mają tylko nieliczni chorzy. Wciąż dostaję od widzów i czytelników informacje o tym, że trzeba stanąć na głowie, by chorego ktoś zbadał. Zdarza się, że wizyta domowa

Szczepionka to coś, jak kamizelka kuloodporna, którą zakładasz, by się chronić.

Jednak ta kamizelka nie jest tak świetna, jak zapewniali eksperci rok temu

kosztuje nawet 500 zł. Tymczasem, w mojej ocenie, by ograniczyć śmiertelność na COVID-19, trzeba natychmiast zapewnić chorym dostęp do lekarza. I nie jest to raczej epokowe odkrycie. Tylko jak to zrobić?

Skoro dało się uruchomić szpitale tymczasowe, to może da się zorganizować tymczasowe przychodnie? Np. w ogrzewanych kontenerach lub namiotach. Tak naprawdę potrzebne są: stetoskop, komputer i lekarz, który nie boi się leczyć. Może dałoby się uruchomić specjalny dyżur dla pacjentów covidowych po godzinach przyjęcia pacjentów niezakażonych w zwykłej przychodni (z koniecznością późniejszej dezynfekcji), może przy szpitalach covidowych można stworzyć poradnię dla pacjentów covid plus (transport własny lub pomoc wolontariuszy, którzy już przecho-

wali, lub wojska)? Wszystko oczywiście ze specjalnymi dodatkami dla pracującego tam personelu. Wiem od lekarzy, że ci, którzy przechorowali COVID-19, nie boją się pacjentów zakaźnych, są tacy, u których poziom przeciwciał jest teraz wyższy niż bezpośrednio po infekcji. Wszystko jest lepsze niż zostawienie pacjentów w oczekiwaniu na śmierć lub poprawę zdrowia. Nie wiem, które z tych pomysłów są możliwe do zrealizowania. Wiem, że to lepsze niż czekanie, aż potrzebny będzie respirator.

DO PRZEMYŚLENIA

To, co w jednym miejscu jest zaletą, w innym miejscu wydaje się sporą komplikacją. Bardzo zdradliwe okazało się zwolnienie z kwarantanny osób w pełni zaszczepionych. Przepisy projektowano, gdy naukowcy się spodziewali, że osoby zaszczepione nie będą się zarażać, więc nie będą zakażać innych. Rzeczywistość nie okazała się aż tak różowa. Dziś już ponad wszelką wątpliwość wiemy, że osoby zaszczepione przeciw COVID-19 też mogą chorować i zakażać innych. Jednak osoba zaszczepiona dwiema dawkami po kontakcie z chorym domownikiem może zupełnie spokojnie pójść do pracy, robić zakupy i nic jej nie ogranicza. Osoba niezaszczepiona lub nie w pełni zaszczepiona trafia na długą kwarantannę i może się spodziewać, że w każdej chwili zapuka do niej policja, by sprawdzić, czy jest w domu. W pilnowanie jednych państwo wkłada sporo wysiłku, a drugich nie ogranicza. Ograniczają ich tylko własna odpowiedzialność i rozsądek, a z tym niestety różnie bywa.

Minister zdrowia Adam Niedzielski zapytany na jednej z konferencji, czy planowana jest kwarantanna dla osób zaszczepionych, przyznał, że to bardzo dobre pytanie, ale planowana nie jest. Trudno się dziwić tej deklaracji, można sobie bowiem wyobrazić irytację ponad 20 mln ludzi, gdyby zmieniono zasady. Ale z drugiej strony dziwi to ciągłe domaganie się przywilejów ze strony osób zaszczepionych. Czy nie jest wystarczającym przywilejem szansa na dłuższe życie?

Strach powrócił

Obecna światowa panika związana z omikronem, nową mutacją koronawirusa, przypomina do pewnego stopnia pierwszą fazę pandemii, kiedy niewiele jeszcze było wiadomo na temat tego, jak z nią walczyć

Rzucamy wszystko, co mamy na tego wirusa, analizując go pod każdym kątem” – powiedział prezydent Joe Biden podczas wystąpienia w Białym Domu po informacjach o pojawieniu się nowej mutacji koronawirusa powodującego COVID-19, nazwanej omikronem, zgodnie z zasadą, w myśl której nowe jego odmiany nazywane są kolejnymi literami greckiego alfabetu. Amerykański prezydent dodał, że niewiele na jego temat jeszcze wiemy i nie ma powodów do paniki, ale ta ostatnia uwaga była zdecydowanie próbą studzenia nastrojów, które zaczęły przypominać historię z początków pandemii.



MAREK BUDZISZ

ŚWIAT ZNÓW SIĘ ZAMYKA

Na wieść o pojawieniu się najpierw w Botswanie, a następnie w Afryce Południowej nowego wariantu wirusa, który mutuje

znacznie szybciej niż jego poprzednie odmiany, a w związku z tym może być nie tylko bardziej zaraźliwy, ale i bardziej odporny na szczepionki, na świecie już wybuchła panika, a rządy wielu krajów odwołały się do dobrze znanych rozwiązań. I tak Japonia oraz Australia zrezygnowały z luzowania restrykcji covidowych i niemal całkowicie zamknęły się przed przybyszami, wprowadzając ogra-

niczenia w ruchu lotniczym. Kraje europejskie wstrzymały loty z Afryki, szczególnie z południowej części kontynentu, po tym jak badania potwierdziły, że większość przybywających jest zarażona, niektórzy nawet kilkoma mutacjami koronawirusa. Inne państwa, takie jak Izrael, Maroko, całkowicie się zamknęły.

Według ostatnich danych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) występowanie nowej odmiany koronawirusa odnotowano już w przeszło 20 krajach świata, ale liczba ta zmienia się praktycznie każdego dnia, co skłania wielu badaczy do



twierdzenia, że rozprzestrzenił się on w sposób niezauważony już znacznie wcześniej, tym bardziej iż przebieg wywołanej nim choroby jest, zwłaszcza wśród osób zaszczepionych, lżejszy, często bez typowych objawów w postaci utraty węchu i smaku. Dobrym przykładem jest Holandia, gdzie władze medyczne ogłosiły, że po ponownym przeanalizowaniu próbek pobranych wcześniej niż oficjalna data pojawienia się omikronu stwierdzono, iż dotarł on kilkanaście dni wcześniej, co oznacza, że infekcje nim wywołane są w Holandii powszechniejsze, niż dotąd uważano. Co gorsza, wśród pasażerów samolotów z południowej Afryki, które zdążyły wylądować w Holandii, zanim zakaz lotów wszedł w życie, więcej niż 10 proc. było zainfekowanych nową odmianą koronawirusa. Naukowcy boją się też, że szybko mutujący wirus będzie trudno wykrywany tradycyjnymi metodami. Wśród 14 zarażonych COVID-19 pasażerów jednego z samolotów już stwierdzono kilkanaście różnych mutacji tej odmiany koronawirusa. Eksperci z amerykańskiego Centrum Kontroli i Prewencji Chorób (CDC), którzy tygodniowo wyodrębniają 80 tys. mutacji genetycznych koronawirusa, są przekonani, że stosowane dotychczas metody jego wykrywania okazały się skuteczne, jednak należy zwiększyć częstotliwość testów, które powinny być przeprowadzone nie później niż 24 godziny przed wejściem podróżnych na pokład samolotu. Amerykańskie władze lotnicze już wprowadziły wymogi tego rodzaju, które dotyczą wszystkich, również osób zaszczepionych.

OBOWIĄZKOWE SZCZEPIENIA

W podobnym kierunku podążają inne kraje, przywracając ograniczenia i zasady dystansu społecznego. Konstantin Mitsotakis, premier Grecji, już oświadczył, że najbardziej zagrożone ciężkim przebiegiem COVID-19 osoby powyżej 60. roku życia będą musiały obowiązkowo się zaszczepić, a ci, którzy nie zdążą z tym do 19 stycznia, będą podlegać wysokim karom pieniężnym. Władze Austrii poszły nawet jeszcze dalej, po tym jak pod koniec listopada rząd Alexandra Schallenbergera wprowadził czwarty 10-dniowy lockdown. Rząd zapowiedział, że pracuje nad regulacjami, które mają wejść w życie od 1 lutego przyszłego roku i przewidują powszechne obowiązkowe szczepienia przeciw COVID-19, z których mają być zwolnieni jedynie mający przeciwwskazania medyczne. Władze Austrii, gdzie jest bardzo silny ruch antyszczepionkowy, którego przedstawiciele zdobyli nawet dwa mandaty w ostatnich wyborach parlamentarnych, a większe miasta były areną żywiołowych demonstracji, zapowiedziały wysokie kary dla tych, którzy nie będą się chcieli poddać szczepieniu, a jeżeli ich egzekucja nie będzie skuteczna, to odmawiający wakcynacji mają nawet trafić do więzienia.

Rząd Austrii zapowiedział, że pracuje nad regulacjami, które mają wejść w życie od 1 lutego 2022 r. i przewidują powszechne obowiązkowe szczepienia przeciw COVID-19

Inne rządy nie są tak radykalne i chcą wprowadzić – na co zdecydowały się już władze afrykańskiej Ghany – obowiązek szczepień wśród pracowników służb publicznych, w resortach siłowych i w administracji, ale także wśród studentów. Nawet w krajach najbardziej sceptycznych wobec ograniczeń, np. w Wielkiej Brytanii, przywraca się niektóre ograniczenia i zasady dystansu społecznego. Dzieje się tak, bo bogate kraje Zachodu wolą nie ryzykować i odwołują się do rozwiązań z pierwszej fali pandemii. W Izraelu rząd zgodził się ponownie na to, aby służby specjalne miały dostęp do danych sieci komórkowych, po to by śledzić przemieszczanie się ludności, co jest kluczem do skutecznej polityki mającej na celu

wykrycie i izolowanie wszystkich chorych. We Włoszech, w których wysoki poziom szczepień doprowadził do stosunkowo łagodnego przebiegu czwartej fali pandemii, konferencja burmistrzów wezwała rząd do przywrócenia ostrzejszych rygorów. Nowy rząd Niemiec w porozumieniu z landami już zapowiedział zaostrzenie zasad przemieszczania się, szczególnie jeśli chodzi o niezaszczepionych, konieczność legitymowania się certyfikatem covidowym przed wejściem do sklepu, a także nasilenie kampanii mających skłonić sceptycznie

stawionych obywateli do zaszczepienia się. Michael Kretschmer, premier Saksonii, zapowiedział też przywrócenie zakazu wstępu dla kibiców na stadiony Bundesligi zarówno w związku z obecną czwartą falą pandemii, jak i obawami związanymi z nową mutacją wirusa. Nowe ograniczenia wprowadziły też już Polska, Ukraina czy Portugalia.

Zdaniem specjalistów mamy w gruncie rzeczy w świecie do czynienia z chaotyczną reakcją przypominającą działania rządów na początku pandemii, kiedy niewiele jeszcze było wiadomo na temat tego, jak z nią walczyć. Ta w wielu przypadkach panikarska i przesadzona reakcja wywołała konsternację w Światowej Organizacji Zdrowia, która zwołała specjalną trzydniową sesję ekspertów poświęconą wyłącznie nowej mutacji koronawirusa i walce z nią w skali globalnej. „Brak spójnego i uzgodnionego globalnego podejścia doprowadził do chaotycznej reakcji, powodującej nieporozumienia, dezinformację i nieufność” – powiedział mediom po zakończeniu posiedzenia Tedros Adhanom Ghebreyesus, kierujący WHO.

Przedstawiciele RPA, kraju, który pierwszy odkrył omikron, nie skrywali swej wściekłości w związku z reakcjami krajów bogatego Zachodu ograniczającymi się do wstrzymania ruchu lotniczego z państwami afrykańskimi. Ich zdaniem nowa fala pandemii wywołana wirusem związana jest nie tyle z tym, że podlega on szybkiej mutacji i jest bardziej zaraźliwy – co zresztą jest niebudzącym jak dotąd w środowiskach naukowych faktem – ale niedostępnością zaszczepionych, których pozbawione są ubogie kraje Afryki. W państwach bogatej Północy już ponad połowa populacji otrzymała dwie albo trzy dawki szczepionki, podczas gdy na obszarach afrykańskich można mówić jedynie

o kilku procentach populacji, która przyjęła jeden z akceptowanych w świecie preparatów. W efekcie nowa fala pandemii wywołana mutacją omikron szaleje wśród niezaszczepionych, co gorsza, w większej części przypadków, zwłaszcza wśród młodzieży, w sposób bezobjawowy. Utrudnia to jakąkolwiek politykę, której celem miałyby być zatrzymanie pandemii. RPA, jak informują dziennikarze „The New York Times”, ma wystarczającą liczbę szczepionek, ale nie może poradzić sobie z ich dystrybucją, trudno też przełamać niechęć ludności do przyjęcia preparatów. W innych państwach szwankuje wszystko, brak jest szczepionek, nie funkcjonuje system ich dystrybucji, wreszcie panują niedostatki w zakresie personelu medycznego. Jedy-
nym rezultatem obecnej paniki związanej z mutacją omikron, jak argumentuje dr Angelique Coetzee, która przewodniczy Południowoafrykańskiemu Towarzystwu Medycznemu, będzie nie tyle zahamowanie rozprzestrzeniania się nowej mutacji koronawirusa, ile raczej trudności z wyodrębnieniem wszystkich przypadków, bo ludzie będą się bali zgłaszać. Tego rodzaju zachowanie się chorych jest tym bardziej prawdopodobne, że szpitale w RPA nie zostały przytłoczone przez pacjentów zarażonych nową odmianą. Co więcej, większość pacjentów, których widziała Coetzee, przechodziła COVID-19 w lekkiej postaci, nie traciła zmysłu smaku i węchu i miała tylko kaszel.

KORONAWIRUS I POLITYKA

Obecna światowa panika związana z nową mutacją koronawirusa przypomina do pewnego stopnia pierwszą fazę pandemii również z tego powodu, że wywołała utarczki i dyskusje o charakterze politycznym. Xi Jinping, chiński lider, już zapowiedział przekazanie krajom afrykańskim miliarda sztuk szczepionek. A „Global Times”, organ twardogłowego skrzydła Komunistycznej Partii Chin, rozpoczął kampanię, w której argumentuje, że wybuch kolejnej fali pandemii, związanej z szybko mutującym omikronem, jest wynikiem egoistycznej polityki państw bogatego Zachodu, które chciały w pierwszym rzędzie zaszczepić swoich obywateli, nie oglądając się na potrzeby uboższego Południa, w którym po prostu szczepionki są niedostępne. „Kraje zachodnie kontrolują większość zasobów potrzebnych do walki z pandemią COVID-19” – napisał „Global Times” w artykule redakcyjnym. „Ale nie udało im się powstrzymać jego rozprzestrzeniania się i narazili coraz więcej krajów rozwijających się na wirusa”. Ta egoistyczna i krótkowzroczna polityka miała doprowadzić w efekcie do swobodnego przemieszczania się nowej postaci wirusa i powrotu do starych rozwiązań, związanych z zamykaniem się przed zagrożeniem. Ma też być, w opinii chińskich komunistów, dowodem na to, że Zachód nie jest już zdolny sprostać zadaniom związanym ze światowym przywództwem i preferuje wyłącznie rozwiązania korzystne dla siebie.

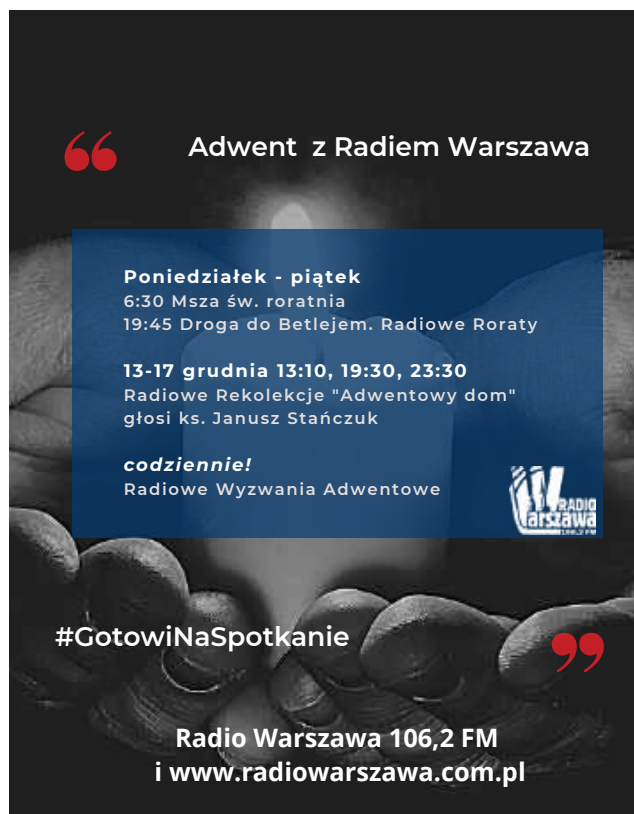
BADANIE OMIKRONU

Tymczasem naukowcy – zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w państwach europejskich – argumentują, że trudno mówić o tym, iż wiemy cokolwiek zarówno o sposobie rozprzestrzeniania się omikronu, tempie, w jakim pojawiają się nowe

mutacje, a tym bardziej nie znamy odpowiedzi na pytanie, czy jest on groźniejszy od poprzednich wariantów. Może tak być, bo naukowcy w RPA odkryli w organizmach chorych osób nawet 30 mutacji białka S (nazwa angielska Spike). Ta glikoproteina wyrasta z powierzchni wirusa i tworzy wokół niego specyficzny wieniec przypominający w obrazie mikroskopowym koronę, stąd wzięła się nazwa koronawirusa. Zdaniem ekspertów to ono odpowiedzialne jest za chorobotwórcze oddziaływanie wirusa, w tym m.in. uszkodzenia serca i z nim należy walczyć. Większa liczba jego mutacji, a w Botswanie odkryto w organizmie jednego pacjenta nawet ich 50, może oznaczać, że stosowane metody leczenia mogą się okazać nieskuteczne. Ale tego jeszcze nie wiadomo i naukowcy argumentują, że aby to stwierdzić, potrzeba jeszcze co najmniej kilku tygodni.

Na razie mamy do czynienia z paniką, reakcją, która w świetle dostępnych danych na temat niebezpieczeństwa, które zwiastuje pojawienie się omikronu, może się okazać przesadzona i przedwcześnie. Tym niemniej czwarta fala pandemii, zmęczenie społeczeństw i rządów przedłużającym się restrykcjami, które w ostatnich miesiącach zaczęto luzować, czyni podatny grunt dla reakcji przesadzonych, nieadekwatnych do sytuacji, nawet panikarskich. To, jak świat zareagował na nową mutację koronawirusa, jest nie tyle spowodowane tym, że mamy do czynienia ze znacznie większym niż na początku pandemii zagrożeniem, ile z tym, iż jesteśmy już nią bardzo zmęczeni, co oznacza, że bardziej skłonni do reakcji irracjonalnych, nieobliczalnych i przesadzonych.

REKLAMA



Adwent z Radiem Warszawa

Poniedziałek - piątek
6:30 Msza św. roratnia
19:45 Droga do Betlejem. Radiowe Roraty

13-17 grudnia 13:10, 19:30, 23:30
Radiowe Rekolekcje "Adwentowy dom"
głosi ks. Janusz Stańczuk

codziennie!
Radiowe Wyzwania Adwentowe

#GotowiNaSpotkanie

Radio Warszawa 106,2 FM
i www.radiowarszawa.com.pl

A photograph of General Wiesław Kukula, a man with short grey hair, wearing a camouflage military uniform with Polish insignia. He is gesturing with his hands while speaking. The background is slightly blurred, showing a flag.

Gramy w drużynie Polska

*O żelaznej konsekwencji, z jaką trzeba bronić polskich granic, przekuwaniu hejtu na żołnierzy w motywację oraz istotnej roli mediów w czasie konfliktu hybrydowego mówi gen. **Wiesław Kukula**, dowódca Wojsk Obrony Terytorialnej, w rozmowie z Markiem Pyzą i Marcinem Wikłą*

Czy według pana to, co dzieje się teraz na granicy polsko-białoruskiej, można już nazwać deeskalacją konfliktu?

Wiesław Kukula: To raczej przegrupowanie.

Co to znaczy?

Pamiętajmy, że dziś konflikty są kreowane przez oficerów służb specjalnych, a oni mają zupełnie inne podejście niż wojskowi. W tym, co się wydarzyło, mają szukać szans, reagować na bieżąco, niekoniecznie według z góry założonego planu. I w dalszym ciągu elastycznie wyzwać pewne zdarzenia, których efekty mogą być korzystne dla

ich interesu. Liczy się tylko cel, który zamierzają osiągnąć.

Czy możemy powiedzieć, że ten pierwszy frontalny atak na polską granicę Łukaszenko się nie udał i teraz szuka innych sposobów?

Moim zdaniem skala oporu z naszej strony mocno zaskoczyła architektów tego konfliktu. Na tym etapie w kategoriach wojny hybrydowej trudno jednoznacznie wskazywać zwycięzców i przegranych. Ale mówiąc o ochronie naszego interesu narodowego, to z pewnością chronimy go skutecznie. I to nie tylko w najbliższym otoczeniu, czyli na własnej granicy, lecz także patrząc

szerszej na interes całej Unii Europejskiej i NATO. Teraz najważniejsze jest, by nie okazać słabości, bo zostanie ona bezwzględnie wykorzystana.

Co jest dziś naszą szansą?

Z pewnością naszą jedność i żelazna konsekwencja. Na ten moment podstawowym zadaniem jest nieustępliwe trwanie przy obronie naszej granicy. Musimy pokazać, że przez Polskę nie da się przejść. Od wielu oficerów amerykańskich słyszałem, że polskie działania są jak najbardziej prawidłowe i budzą ich respekt. Polacy pokazali, jaką wartość mają granice i jak z determinacją należy ich bronić. Paradoksalnie nie jest

to postrzegane wyłącznie w kategoriach granic na mapie.

Czy zbudowanie trwałej bariery wciąż jest konieczne?

Moim zdaniem tak. Nawet błyskawicznie ułożona przez Wojsko Polskie tymczasowa bariera graniczna wywołała pozytywny skutek. Trwała bariera czyni naszą granicę silniejszą. Zauważa przeciwnikowi skalę działań, które może podjąć w ramach projektowania konfliktów hybrydowych. Bez wątpienia jej budowa to inwestycja w nasze bezpieczeństwo.

Wciąż jesteśmy atakowani opowieściami o biednych osobach, które szukają ratunku dla siebie i swoich rodzin, lepszego życia w Europie. Kim są ludzie, którzy na linii granicy stają naprzeciwko polskich żołnierzy i funkcjonariuszy?

Główny nurt stanowią imigranci zarobkowi, którzy nie uciekają przed żadną wojną. Postanowili nie budować bezpieczeństwa w miejscu, w którym żyli, tylko skorzystać z dobrodziejstw Zachodu. Niestety pośród nich są tacy, którzy mają przeszkolenie wojskowe bądź parawojskowe. My, ludzie w mundurach, weterani misji w Iraku i Afganistanie, dość łatwo ich rozpoznajemy. Są też tacy, których charakteryzujemy jako podatnych do radykalizowania. To, że ktoś dziś nielegalnie przekracza granicę bez pistoletu w plecaku, nie oznacza, że nie jest przygotowany do wykorzystania innych środków, np. samochodu ciężarowego, by wykonać w określonym czasie zadanie postawione przez swoich mocodawców.

To nie przesada?

Jako żołnierze musimy na pewne sprawy patrzeć bardziej wnikliwie, choć dla zwykłego obywatela może się to wydać przesadne. Ludzie oczekują od nas widzenia pełnego spektrum zagrożeń, przewidywania ich. Dlatego tak ważna jest dogłębna weryfikacja tych, którzy przechodzą. Konieczna jest też świadomość konsekwencji prawnych. Jeśli ktokolwiek przekracza polską granicę w miejscu niedozwolonym, popełnia przestępstwo. Jeśli ktoś – przeszkolony lub nie, uzbrojony lub

nie – rusza na polskiego żołnierza i jest agresywny, popełnia przestępstwo. Jeśli atakuje i niszczy polskie instalacje graniczne, też jest przestępcą. Koniec, kropka. Nie ma tutaj żadnego marginesu, nie możemy się w tych kwestiach cofnąć ani o krok.

Nasza wschodnia granica jest skomplikowana o tyle, że dużą jej część stanowi rzeka. Jaka jest szansa obrony przed imigrantami na Bugu?

Jeśli chodzi o możliwości ochrony linii biegnącej po rzece, to są one naprawdę spore, choć nie mogę mówić o szczegółach taktycznych. Sama rzeka jest naturalną barierą. Większe zagrożenie widzimy w niebezpieczeństwie, które reżim Łukaszenki może sprowadzić na samych migrantów. Bo przekroczenie Bugu w obecnych temperaturach jest po prostu niebezpieczne. Jesteśmy przygotowani, by podejmować tam błyskawiczne działania zapobiegające wychłodzeniu tych ludzi, ratować ich życie. Gdyby doszło do ataku w tamtym miejscu, to byłby to kolejny szczebel w tzw. drabinie eskalacyjnej konfliktu, ale też już otwarte zasygnalizowanie, że dla Mińska życie tych ludzi kompletnie się nie liczy.

Dzisiejszy konflikt to także walka obrazami, emocjami, wręcz szantażem emocjonalnym. Przekierowanie uwagi z tego, co najważniejsze, na tzw. kryzys humanitarny. Jak wiele elementów składa się na wojnę hybrydową?

Jesteśmy zakładnikami myślenia, które dzieli nam rzeczywistość na trzy stany, w których funkcjonujemy: czas pokoju, kryzysu i wojny. Tymczasem projektanci konfliktów hybrydowych – celowo nie używam słowa „wojna” – poruszają się poza tą skalą. Lepiej odzwierciedla to amerykańska doktryna, która wprowadza podział na czas współpracy, czas rywalizacji i czas otwartej wojny. Stany te mogą w pewnych domenach również się przenikać i funkcjonować równolegle. Idąc za tą terminologią, jesteśmy dziś w wybranych obszarach w stanie ostrej rywalizacji, która jest udziałem całego państwa, większości jego systemów. To dlatego obecna polska strategia obronna tak dobitnie mówi o potrzebie rozwijania całościowej odporności pań-

stwa. Siły zbrojne są tylko jednym z jej elementów.

Czy media też się w nich mieszczą?

Jak najbardziej. Konflikt hybrydowy ma przede wszystkim uderzyć w świadomość. Jego zasadniczym celem jest zasianie podziałów i niepewności. W idealnym przypadku architektki konfliktów hybrydowych dążą do tego, aby atakowane państwo zawaliło się pod własnym ciężarem. Rola mediów jest tutaj szalenie istotna. Nie chcę dokonywać zbyt ostrej oceny, ale bardzo ważne jest, by dziennikarze mieli świadomość swojej roli. Odpowiedzialność za słowo jest ogromna. W wojsku retorycznie pytamy: przewoźniesz czy demotywujesz? Różnica czasem jest minimalna, ale liczy się efekt twojej pracy. Albo poprawiasz spójność państwa i wzmacniasz jego siłę, albo ją osłabiasz, dając szansę komuś, kto z niej skorzysta.

Na ile w ostatnich tygodniach media wzmacniały państwo, a na ile je osłabiały?

My, żołnierze, robimy swoje, zawsze jesteśmy pro państwu, a jednak czasem przypisywane są nam intencje niegodne. Czytamy o tym i odbieramy to jako próbę podważenia zaufania do munduru. A proszę mi wierzyć, że jesteśmy w stanie nawet poświęcić swoje życie w imię interesu naszego państwa, obrony życia obywateli i wartości, które spajają naszą narodową wspólnotę.

Które zarzuty najbardziej pana dotknęły?

Takie, które miały żołnierzy skompromitować. Zarzucono nam np. działania niezgodne z prawem, podczas rzekomo bezpodstawnego zatrzymania aktywisty organizacji pomagającej imigrantom. Przekazywano wówczas w mediach opinie o łamaniu prawa przez żołnierzy, a nawet brutalności. By podkreślić opowieść, epatowano obrazkami mundurowych z długą bronią nacierających na kogoś, kto chce czynić dobro. A nic takiego nie zaszło. Żołnierze na obszarze przygranicznym mają uprawnienia Straży Granicznej, należy się więc stosować do ich wezwań. Gdyby wówczas ta osoba się wylegitymowała i po prostu wytłumaczyła swoje zachowanie,

sprawa zakończyłaby się błyskawicznie, zamiast trwać ponad godzinę, którą mogliśmy spożytkować na obecność w miejscu, gdzie bylibyśmy bardziej potrzebni.

Jeden z tabloidów napisał, że „WOT łapie tych, którzy uciekli Straży Granicznej”. Cemu to służy?

Właśnie, dobry przykład. Krzykliwe tytuły mają, jak sądzę, służyć sprzedaży, ale w tym wypadku wywołują też wrażenie, że WOT wykonuje pracę, której nie była w stanie wykonać Straż Graniczna, że coś nie działa. To oczywiście nieprawda i wie to każdy, kto choć trochę interesuje się tym, jak wygląda praca przy granicy. Podam przykład, widzimy z drona grupę ludzi na terenie bagiennym, idą wolno, ścieżkami, znają trasę, są poinstruowani przez służby białoruskie. Obserwujemy ich z powietrza, w kontrolowany sposób wpuszczamy ich głębiej, bo w przypadku interwencji natychmiastowej mogliby wpaść w bagna, próbując w panice uciekać. Czekamy, aż przejdą na teren bezpieczny, dopiero tam ich izolujemy, weryfikujemy ich stan zdrowia, karmimy i wzywamy straż graniczną, która dokonuje tzw. dalszych czynności procesowych, czyli sprawdza np., czy oni rzeczywiście zabiegają o azyl w Polsce. Na pierwszym miejscu jest troska o ludzi. Nasze drony przeczesują szeroki teren, przy obecnych temperaturach szukamy po prostu jasnych punktów ciepła na ciemnej plamie zimnego lasu. Mamy świadomość, że ludzie w lesie mogą nie dożyć do rana, musimy do nich dotrzeć i ich uratować. Do tego mamy specjalnie wyposażone grupy poszukiwawczo-ratownicze. Myślicie, że ktoś nas o to pyta? Że interesuje kogoś mechanizm, który wypracowaliśmy, by chronić granicę, a jednocześnie nieść pomoc?

Sytuacja trochę się poprawia, choć ogromny hejt spadł na funkcjonariuszy Straży Granicznej. Ale i Wojska Obrony Terytorialnej nie były oszczędzane. Jakie jest dziś morale żołnierzy, którzy czytają o sobie te niestworzone rzeczy?

Jako żołnierze WOT mamy duże doświadczenie w walce z takim hejtem. Stykamy się z nim od początku istnienia naszej formacji. Wiem, ile to kosztowało moich podwładnych, jak źle to znosili. Wrócili przecież do rodzin, które nafaszerowane medialnymi kłamstwami dopytywały ich o różne rzeczy, które nie miały nic wspólnego z prawdą. Robili rzeczy szlachetne, a przedstawiani byli jako złoczyńcy. Wywodzę się z wojsk specjalnych, tam w bardzo zaawansowany sposób buduje się indywidualną odporność psychiczną żołnierzy, staram się to zaszczepiać i u nas. Kluczem jest umiejętność przekuwania hejtu w motywację, to jest możliwe. Może zmartwie niektórych, ale dziś najbardziej motywują mnie do pracy hejterskie teksty

Moim zdaniem skala oporu z naszej strony mocno zaskoczyła architektów tego konfliktu. Od wielu oficerów amerykańskich słyszałem, że polskie działania na granicy są jak najbardziej prawidłowe i budzą ich respekt

niektórych byłych generałów. Jeden z nich – mający na punkcie WOT obsesję – najpierw ustawił pułap naszych możliwości na poziomie 800 żołnierzy, później twierdził, że nie będzie nas więcej niż 7 tys., ostatnio przekonywał, że kres naszych możliwości to 24 tys. żołnierzy. A my niebawem będziemy informować o przekroczeniu liczby 32 tys. żołnierzy WOT.

Jak wyglądają relacje WOT ze Strażą Graniczną?

To są nasi towarzysze broni. Obecna misja mocno nas zbliżyła i jest źródłem cennych doświadczeń. Gdy są atakowani, zwyczajnie mówimy: „Bracie, stoję przy tobie! Jestem z tobą na granicy i nikt tego nie zmieni!”. To jest wspólne budowanie

naszej mundurowej odporności. A co do hejtu, trzeba sobie zadać pytanie, jak on jest dzisiaj odbierany. Ludzie obserwują to, co się dzieje, coraz częściej przestają już myśleć naiwnie. Interes narodowy łączą z interesem własnym, są w stanie samodzielnie i bez pośredników ocenić naszą służbę. Jest coraz mniej zrozumienia dla hejtu wobec obrońców granic i te proporcje będą się zmieniać na naszą korzyść. To już się zresztą dzieje. Miłym zaskoczeniem jest identyfikacja społeczeństwa z tym, co robią służby mundurowe. To dodaje nam skrzydeł. W naszych szeregach są również mundurowi „niewierzący” – noszą mundur, ale brakuje im „powołania”. W takich momentach to powołanie często się rodzi. Poddani presji takich doświadczeń, ale i dzięki wsparciu Polaków, budujemy niezwykle silną identyfikację ze swoją misją.

Co pan czuje, gdy widzi kartki, rysowane przez dzieci, laurki i życzenia płynące z całej Polski dla obrońców granic?

Żołnierze też mają rodziny i dzieci, więc takie kartki dają im sporo radości i siły. Mnóstwo prezentów przychodzi też do dowództwa. Jadąc ostatnio na jedną z bardziej wysuniętych placówek, wziąłem kilka pudeł do swojego samochodu. Na miejscu mówię, że mam niespodziankę od wdzięcznych Polaków. W odpowiedzi pokazano mi wielką górę pudeł, które nadesłano im bezpośrednio. To jest wspaniale! Bardzo za to dziękuję.

Polacy nie pozwolą, by czegokolwiek żołnierzom zabrakło?

Niczego nie brakuje, naprawdę, ale zdarzają się sytuacje zabawne. Podczas tej podróży zaproponowano mi, żebym zjadł z żołnierzami kolację. Oczywiście chętnie się zgodziłem, bo lubię wojskowe jedzenie. A oni mi mówią, że miejscowe koło gospodyń wiejskich nie pozwala im jeść niczego poza tym, co panie same przygotowują, i to w ogromnych ilościach. Próbowałem zaprotestować – jak to, zaraz będą mówić w mediach, że wojsko źle żywi, a przecież żywi dobrze. No i usłyszałem: „Panie generale, jeśli czuje pan



w sobie taką siłę, by stanąć naprzeciwko pań z kół i im to wytłumaczyć, to zapraszamy!”. My w tej kwestii się poddałszy [śmiej]. To jest niesamowicie motywujące, ale powoduje też, że zgłasza się do służby u nas sporo osób z tych miejscowości, w których aktywnie teraz działamy.

To chyba podstawowa idea WOT, by bronić swojej ziemi?

Zdecydowanie tak i bardzo dobrze się to sprawdza, gdy można mieszkać i pełnić służbę w tym samym miejscu. Ale w celu zdobycia praktyki kierujemy na granicę także żołnierzy np. z Warmii i Mazur, Kujaw czy nawet Śląska.

Czy kryzys na granicy sprawił, że kadry WOT poszerzają się także w innych brygadach, w głębi kraju?

Kryzys w tej kwestii jest szansą i czynnikiem motywującym, to na pewno. W dużej mierze powstanie WOT to efekt kryzysu ukraińskiego. A nie było innego pomysłu na wykorzystanie oddolnego zaangażowania obywatelskiego w zakresie obronności.

Wydaje nam się, że były szef MON Tomasz Siemoniak przynajmniej próbował się zmierzyć z takim pomysłem.

Co prawda wiele osób się zgłaszało, a potem się do nich nawet nie odzywano...

Właśnie, liczą się efekty. Albo są, albo ich nie ma. W efekcie wydarzeń na Ukrainie powołaliśmy WOT i dziś mamy ponad 30 tys. żołnierzy. Gdy pogarsza się poczucie bezpieczeństwa, to u Polaków naturalnym odruchem jest chęć stanięcia po stronie państwa, a przez to także swojego najbliższego otoczenia. Dlatego rzeczywiście teraz zwiększa nam się zaciąg żołnierzy i są to rekruci bardzo świadomi celu swojej służby.

Istnieje jakiś limit, szklany sufit, którego WOT nie przekroczy?

Mnie najbliższe jest myślenie, że WOT powinien być formacją powszechną. Bez sufitu. Jeśli się zgłosi 100 tys. osób, to mamy być przygotowani na przyjęcie ich wszystkich. Na dziś nasze zdolności szkoleniowe i logistyczne są projektowane pod 57 tys. żołnierzy. Ale szybko będziemy w stanie tę wartość znacząco podnieść, jeśli zajdzie taka potrzeba.

To w ogóle jest część dyskusji, jakie powinny być polskie siły zbrojne. Według pana lepsza jest mała czy duża armia?

W tym dyskursie pojawia się paradygmat, że jeśli będzie mała, to będzie skuteczna. A duża – droga i nieskuteczna. To fałszywe postawienie sprawy. Spójrzmy na Izrael – 9 mln mieszkańców, 180 tys. żołnierzy pod bronią, prawie pół miliona rezerwistów. Czyli duża armia może być efektywna, a nawet niezbędna. Wielkość i zdolności sił zbrojnych powinny być kształtowane przez zagrożenie. Choćby moment obecny jest świetnym weryfikatorem tego, że mała armia nie zda egzaminu, bo zwyczajnie potrzebujemy fizycznie ludzi w tym wypadku do dozoru linii granicznej. Z nieznanym mi przyczyn wielu ekspertów wypiera fakt, że zdolności są pochodną zasobów. Ich fundamentem zawsze są ludzie. Mała zawodowa, nawet świetnie wyszkolona armia ma również jedną oczywistą wadę – w bardzo ograniczony sposób wpływa na budowanie świadomości obronnej reszty społeczeństwa. Ludzie w mundurach są również jednym ze spoiw państwowości. Państwo takiej wielkości jak Polska, położone w tym miejscu Europy, musi brać to pod uwagę.

Na granicy widzimy straż graniczną, ale też wojsko, policję i nawet straż

pożarną. Jak wygląda współpraca między tymi formacjami?

Gramy wszyscy w jednej drużynie, która nazywa się Polska, i na szczęście udaje nam się zrywać z pokutującym od lat silosowym pojmowaniem rzeczywistości. Jeśli każdy z nas niezależnie od munduru wniesie swoje zdolności i kompetencje, to zbudujemy 360 stopni odporności państwa. Dziś granica pokazuje nam, że koniecznością jest trwale myślenie perspektywą dalszą niż własna organizacja, łączenie wysiłku i nieskrępowana współpraca. To, co zauważam dzisiaj, to olbrzymi wzrost zaufania między służbami mundurowymi oraz wzrost zaufania społeczeństwa do ich działań. To świetny wstęp do rozwijania odporności państwa.

Niestety zdarzają się też sytuacje kuriozalne, szczucie mediów na szkoły, które piszą kartki. I wydzwanianie do nauczycieli – dlaczego robią to dla żołnierzy, a nie dla migrantów...

Mam nadzieję, że to jednostkowe przypadki. Nie mam nic przeciwko pomocy migrantom, ale oni nie mogą łamać prawa. Jeśli przychodzą do mojego państwa, chcą żyć pośród nas, pracować tam, gdzie nasi bliscy, muszą zaakceptować wszystkie reguły, które tu obowiązują, włącznie z poszanowaniem prawa. Doświadczenia wielu państw wskazują, jak poważne jest to wyzwanie dla systemów bezpieczeństwa. To jest właśnie jeden z celów konfliktu hybrydowego. Chodzi też o to, by nie było czytelnych reguł ani granic moralnych, prawnych, finansowych itd. By ulegały przesuwaniu, zacieraniu i przekształcaniu. By wszystko było jedną wielką szarą strefą, którą można zewnętrznie kształtować. Wyobraźmy sobie granicę dziurawą jak sito, przez którą dziś przechodzą nielegalni imigranci, ale kto przeszedłby przez nią jutro? Słabość zawsze osmieli. Tylko silni są w stanie dobrze funkcjonować na arenie międzynarodowej, zwłaszcza w czasie rywalizacji mocarstw.

A jak jest ze współpracą w ramach NATO? Co dziś oznacza sojusz woj-

skowy? Wciąż słyszymy rozważania o zastosowaniu art. 4 traktatu północnoatlantyckiego, czyli konsultacjach z sojusznikami.

Nie ulega wątpliwości, że nasza obecność w NATO to kluczowy czynnik naszego bezpieczeństwa. Jestem świadom siły Paktu, uczestniczyłem w misjach. Ale musimy mieć też świadomość pewnych ograniczeń – inercji działania dużych struktur oraz tego, że na siłę NATO składa się siła

Jeszcze parę lat temu często słyszałem, że „w razie czego wejdzie NATO”. Ale jeżeli wojna zacznie się tu, to zacznie się od nas. I to my jesteśmy NATO!

jego członków. Jeszcze parę lat temu często słyszałem, że „w razie czego wejdzie NATO”. Ale jeżeli wojna zacznie się tu, to zacznie się od nas. I to my jesteśmy NATO! Najpierw to my musimy być gotowi stawić czoła zagrożeniu, a dopiero w drugiej kolejności liczyć na sojuszników, którzy mogą potrzebować czasu, by udzielić nam adekwatnej pomocy.

Wracamy do pytania o art. 4 – Polska powinna po niego sięgnąć?

Pewne procedury uruchamia się adekwatnie do oceny zagrożeń. Nie dostrzegam dziś wydarzeń uzasadniających jeszcze dalej idącego zaangażowania NATO. Mamy bliski kontakt z Kwaterą Główną, tam jest pełna wiedza o sytuacji na naszej granicy i poparcie naszej postawy. Działania, które wykonujemy, muszą być adekwatne do tego, jak gra nasz przeciwnik. Muszą również dawać przestrzeń do naszej bezprecedensowej aktywności politycznej i dyplomatycznej, które każdy może dzisiaj zaobserwować.

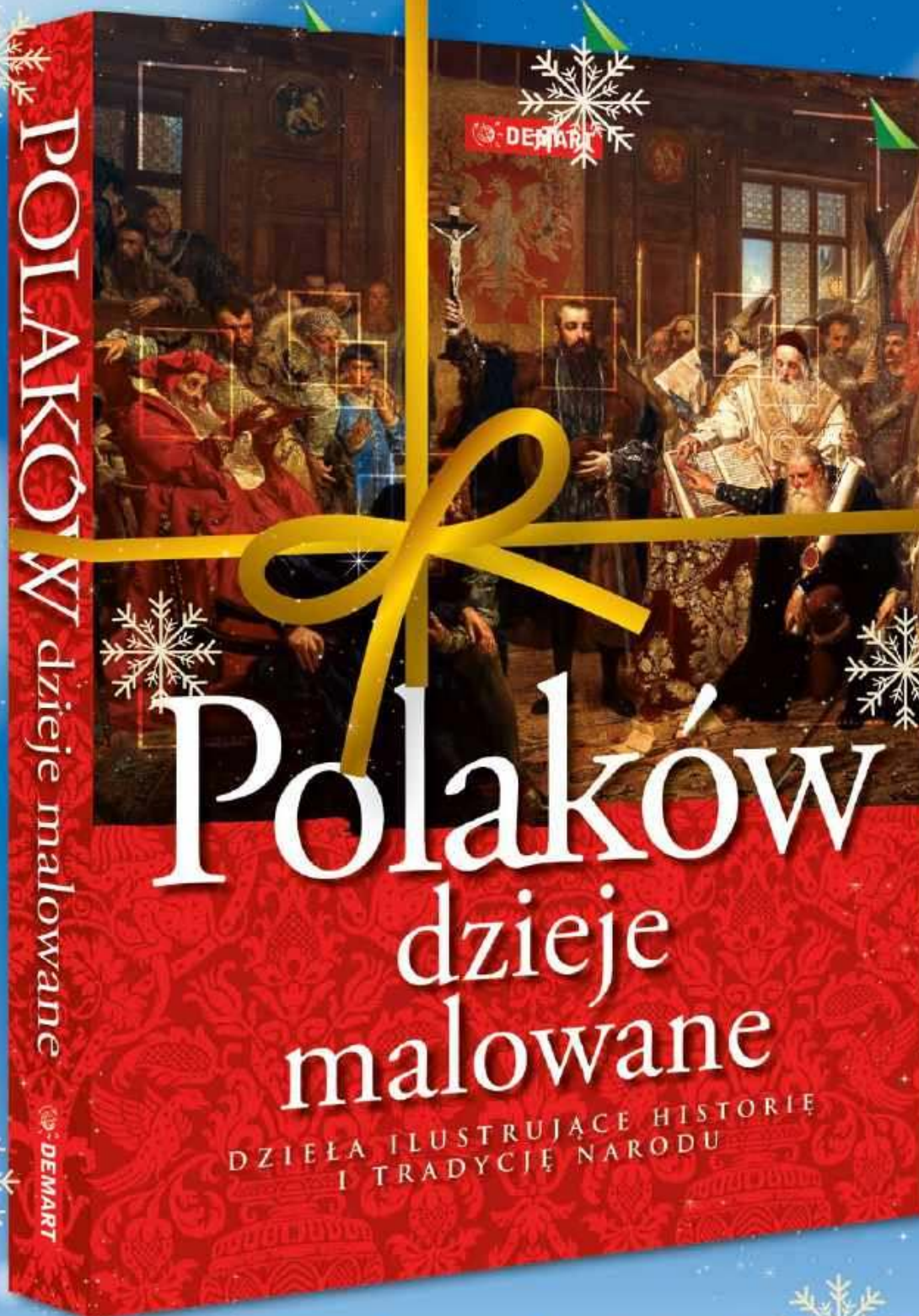
Słyszymy, że prezydent Andrzej Duda co rusz ogłasza solidarną postawę kolejnych przywódców, informuje, że możemy w pełni liczyć na Kwaterę Główną NATO, minister Paweł Sioch mówi o wsparciu z Waszyngtonu. Czy takie deklaracje powodują, że na Kremlu i w Mińsku trzęsą się nogawki?

W czasach ostrej rywalizacji państw ważne jest każde słowo i gest. Nie chodzi o to, by tam zapanował strach, lecz by odnotowano pewne fakty. Ważne jest odstraszenie, czyli uświadomienie drugiej stronie, że potencjalna agresja będzie nieuchronnie oznaczać nieakceptowalne koszty i trudne do oszacowania ryzyka. Nie zapominajmy, że po coś mamy już dziś w Polsce instalacje natowskie czy wojska amerykańskie. NATO jest sojuszem obronnym. Narracja na Wschodzie przedstawia Sojusz jako agresora, co jest kompletnym kłamstwem wykreowanym na użytek wewnętrzny. Nie uczestniczyłem w ani jednym ofensywnym ćwiczeniu Paktu. One zawsze były ukierunkowane na kolektywną obronę jednego lub wielu członków.

Od 11 listopada ma pan na naramiennikach już trzy generalskie gwiazdki. Co to oznacza dla żołnierza? Na jakim jest pan etapie swojej żołnierskiej misji?

Oznacza jeszcze więcej pracy i jeszcze więcej pokory! Oczywiście zadałem sam sobie pytanie, czy rzeczywiście zasłużyłem i czy jestem godny tego zaszczytu. To osobiście ważny dla mnie dylemat, bo misja budowy WOT trwa. Jednak mimo że wkrótce minie dopiero pięć lat od powołania WOT, to już daliśmy świadectwo naszego docelowego potencjału. Wspieraliśmy służbę zdrowia w czasie pandemii, pomagając łagodzić jej negatywne skutki, dziś działamy na granicy. Czyli z jednej strony dalej się rozwijamy, budujemy zdolności, a z drugiej – życie poddaje nas próbie sto razy bardziej wymagającej niż najtrudniejszy poligon. Jesteśmy i będziemy tam, gdzie trzeba zadbać o bezpieczeństwo Polaków.

Książka nie tylko od święta!



DZIEŁA ILUSTRUJĄCE HISTORIĘ
I TRADYCIĘ NARODU

www.demart.com.pl



DEMART

epi@demart.com.pl

Ład Platformy

*Gdyby zamiast PiS rządziła obecnie PO,
nie tylko nie rozwiązałyby żadnego problemu,
ale jeszcze by je pogłębiła*



STANISŁAW JANECKI

Donald Tusk oraz politycy Platformy Obywatelskiej ostro atakują rząd Prawa i Sprawiedliwości za strategię wobec pandemii, wobec inflacji, za sytuację na wschodniej granicy i szerzej politykę zagraniczną. Za to, jak wobec Polski postępują Komisja Europejska i Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. I mówią, że oni robiliby wszystko inaczej, lepiej, szybciej. Problemem jest to, że nie ujawniają jak. Albo odwołują się do swoich rządów, przedstawiając je jako pasmo sukcesów oraz sielankę w kwestiach poziomu życia Polaków czy bezpieczeństwa zewnętrznego. Ale na podstawie tego, jak rządili w latach 2007–2015, jak w tym czasie postępował Donald Tusk oraz co teraz mówi, można prognozować, co by się działo pod rządami PO w kwestiach, którymi obecnie zajmuje się rząd Mateusza Morawieckiego.

PŁACHTA NA PANDEMIE

„Jeśli władza nie zacznie podejmować walki z pandemią, to umrze niepotrzebnie kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy ludzi więcej. [...] Prawie wszystkie narzędzia są w rękach rządu. Rząd nic nie robi. Rząd abdykował. Rząd stchórzył przed pandemią – taki jest obraz ostatnich miesięcy. [...] Jeśli premier

Morawiecki nie przedstawi precyzyjnego planu, to będzie oznaczało, że oni naprawdę zrezygnowali z rządzenia. To jest niedopuszczalne narażanie życia tysięcy Polaków w sposób już absolutnie niedopuszczalny” – powiedział Tusk 24 listopada. Zarzucał rządowi, że „dzisiaj Polska – co się ludziom chyba w głowie nie mieści – jest jedynym krajem w Europie, który w czasie pandemii obniżył ilość środków na ochronę zdrowia”. Ale we wrześniu rząd zwiększył o 1 mld zł środki w budżecie na ochronę zdrowia. Od 2009 r., gdy premierem był Tusk, a wydatki na ochronę zdrowia wyniosły 5,42 proc. PKB, zaczęły one spadać, by w 2014 r. osiągnąć najniższy poziom – 4,57 proc. PKB. Od 2017 r. znowu rosną, osiągając w 2021 r. rekordowe 5,69 proc. PKB.

Receptą Tuska na zdrowie i pandemię jest poleganie wyłącznie na Radzie Medycznej działającej przy premierze. Tusk nawet spotkał się z jej członkami oraz z innymi ekspertami: z prof. Krzysztofem Pyrciem, dr. hab. Tomaszem Dzieciatkowskim, dr. Pawłem Grzesiowskim, dr. Tomaszem Karaudą, prof. Joanną Zajkowską, prof. Robertem Flisiakiem. Podejmowanie decyzji wyłącznie na podstawie opinii medyków oznaczałoby jednak rezygnację z rządzenia i odpowiedzialności. Tusk na pewno by tak zrobił, żeby mieć podkładkę i właśnie unikać odpowiedzialności, czyli zepchnąć ją na członków Rady Medycznej. Tymczasem premier musi brać pod uwagę także wpływ walki z pandemią na cały system ochrony zdrowia – ze skupienia się w pierwszej kolejności na chorych na COVID-19 wynikała przecież nadumieralność w innych

grupach pacjentów – na gospodarkę, życie społeczne, edukację, kondycję psychiczną. Tusk nie wspominał w ogóle o prognozach zespołu matematyków i innych ekspertów, które pokazują tendencje pandemiczne niezależne od doraźnych działań. Tym bardziej że czwartej fali zakażeń nie udało się uniknąć także w państwach o najwyższym poziomie zaszczepienia społeczeństwa.

Po spotkaniach z członkami Rady Medycznej i innymi ekspertami Tusk stwierdził: „Wzywam, żeby rząd zaczął podejmować decyzje i będzie mógł liczyć na nasze wsparcie, jeśli te decyzje będą wspierane przez ekspertów”. Jakie decyzje? O obowiązkowych szczepieniach? O karaniu niezaszczepionych? O przenoszeniu niezaszczepionych do innej pracy? O pełnym uczestnictwie w życiu społecznym wyłącznie dla zaszczepionych? Ale zaszczepieni też się zarażają i zarażają innych, więc to wszystko nie jest takie proste. Ale obostrzenia i swego rodzaju segregacja sanitarna wywołują we Francji, Niemczech czy Holandii protesty, a nawet rozruchy. Tym się nie muszą przejmować za bardzo eksperci, ale premier i rząd powinni. Tusk i politycy PO kompletnie to ignorują, udzielając dobrych rad. A gdy chodzi o konkrety i lider PO jest pytany, co zrobiłby, gdyby „dzisiaj był premierem i miał możliwość wydawania poleceń ministrowi zdrowia”, uchyla się od odpowiedzi. Podczas imprezy Campus Polska Przyszłości Tusk mówił, że nie miałby „nic przeciwko temu, aby osoby zaszczepione cieszyły się większymi przywilejami od tych, które nie przyjęły szczepionki przeciw COVID-19. Musimy rozwiązać wątpliwość w kwestii sanitaryzmu, bo mówienie o nim w tym kontekście to nieporozumienie. [...] Życie i zdrowie nas wszystkich wydaje mi się tutaj ważniejsze niż taki »prawny komfort« tych, którzy są najbardziej sceptyczni wobec tego [zaszczepienia]”. Ale to kompletne ogólniki, a nie rozwiązania. Podobne rady miał Rafał Trzaskowski: „To jest rozsądne, że osoby zaszczepione mają pewne ułatwienia”. Strategia PO wobec pandemii byłaby zapewne taka, że zastosowano by wszelkie obostrzenia, wprowadzono by dostęp do wielu

usług wyłącznie dla osób z paszportami covidowymi, co mogłoby zdusić gospodarkę, a nie zatrzymałoby pandemii, skoro zaszczepieni coraz częściej też się zarażają, choć przeważnie nie chorują ciężko. Zapłacilibyśmy bardzo wysoką cenę za to, co można osiągnąć działaniami punktowymi, nie rujnując gospodarki ani nie pogłębiając skali zakażeń.

WIRTUALNA WOJNA Z INFLACJĄ

„Wróciliśmy do poziomu inflacji sprzed naszego członkostwa w UE, mamy do czynienia z dość dramatyczną perspektywą dla polskiej gospodarki” – mówił 29 października Tusk. A podobno „rządy PiS odziedziczyły gospodarkę w bardzo stabilnym stanie i dlatego trochę czasu im to zajęło, zanim doprowadzili do stanu takiego przedzawałowego. [...] Stajemy w obliczu sytuacji nieznanej od 20 lat, dzisiaj inflacja jest najwyższa w XXI w., wróciliśmy do poziomu inflacji znanego przed wejściem do Unii Europejskiej”. I to wszystko ma być wina PiS, a nie czynników zewnętrznych, przede wszystkim wzrostu cen nośników energii. Tusk nie chce pamiętać, że kiedy rządził i nie było pandemii, nie było ponad 200 dodatkowych mld zł na rynku, żeby ochronić gospodarkę i miejsca pracy, nie było szalonych wzrostów cen nośników energii – głównie przez politykę Rosji i Niemiec, czemu w żaden sposób wcześniej się nie przeciwstawił – wiosną 2008 r. inflacja wyniosła 4,8 proc., wiosną 2011 r. – 5 proc., a w 2012 r. utrzymywała się powyżej 4 proc. Na podobnym poziomie pojawiła się jesienią 2019 r. oraz na początku br. W lutym 2020 r. wyniosła 4,7 proc., a potem spadła do 2,4 proc., by znowu wzrosnąć w maju br. do 4,8 proc., w lipcu do 5 proc., w sierpniu do 5,4 proc., a w październiku do 6,8 proc. Nie jest też prawdą, że inflacja jest najwyższa w XXI w., gdyż w lipcu 2000 r. osiągnęła 11,6 proc., a w listopadzie 2000 r. było to jeszcze 9,3 proc. Według prognoz Komisji Europejskiej z maja br. inflacja miała w 2021 r. wynieść w Polsce średnio 3,5 proc., by w 2022 r. spaść do 2,9 proc., czyli jeszcze pół roku temu nikt nie przewidywał takiej inflacji, jaką mamy obecnie, i to nie tylko w Polsce. Głównie wywołaną wzrostem cen nośników



energii oraz cen uprawnień do emisji dwutlenku węgla. Gwałtowny skok inflacji spędza sen z powiek politykom i ekonomistom w Niemczech, gdzie inflacja była zawsze niska, a obecnie wynosi rekordowe 5,2 proc. Tymczasem Tusk twierdzi, że „inflacja osiągnęła taki poziom przez niekompetencję władzy. To jest ta niepohamowana żądza pieniądza, kradzież środków publicznych przy świetle dziennym i każdego dnia”. Premiera urzędującego przez siedem lat stać tylko na tanią demagogię.

Skonfrontujmy wypowiedzi Tuska z tym, co o inflacji mówi premier Morawiecki: „Państwa, których gospodarka po pandemii przyspiesza, a Polska do takich państw należy, muszą się liczyć ze wzrostem inflacji. Ale inflacja na poziomie 6,5 proc. czy 7 proc., gdyby się utrzymała w dłuższym terminie, zagraża wzrostowi gospodarczemu”. I premier zaapelował do Komisji Europejskiej, by odpowiedziała „na manipulacje cenami gazu”. Pojawił się też rządowy pakiet antyinflacyjny: obniżka VAT na gaz ziemny z 23 do 8 proc., a także na energię elektryczną dla gospodarstw domowych oraz tzw. ciepło systemowe. Obniżki dotyczą też akcyzy na paliwo i prąd. Premier zapowiedział również dodatek osłonowy od 400 zł do 1,1 tys. zł dla rodzin, w zależności od ich liczebności. Łącznie ma skorzystać na tym prawie 7 mln gospodarstw domowych. „Obniżki cen energii, gazu, paliw czy ciepła sieciowego muszą trafić do kieszeni Polaków. One nie mogą służyć przedsiębiorcom do podnoszenia cen” – mówił Morawiecki.

Trzeba przyznać, że w kwestii środków zaradczych wobec inflacji Tusk po raz pierwszy zaproponował jakieś konkrety, choć zejście z VAT za prąd, gaz i paliwa do zera to fantazja, nie do zaakceptowania przez Komisję Europejską. Rządowi PiS Tusk zaproponował cokolwiek, ale gdy był premierem, a inflacja osiągnęła 5 proc., nie zrobił nic. Teraz twierdzi, że to „prezes PiS Jarosław Kaczyński osobiście zabronił podjąć inicjatywę w kwestii obniżek VAT i akcyzy”, choć jest akurat odwrotnie. Gdyby brać pod uwagę wcześniejsze działania Tu-

ska, jego strategia wobec inflacji byłaby taka, że nie wprowadzono by pakietów antyinflacyjnych albo bardzo skromne, tylko podnoszono by stopy procentowe. Miliony kredytobiorców ucierpiałoby, płacąc wyższe raty i odsetki, gospodarka zaczęłaby hamować z powodu trudności w dostępie do kredytów. Pojawiłyby

W sprawie wschodniej granicy PO i Tusk polegaliby wyłącznie na Berlinie oraz instytucjach europejskich, co z powodu opóźnienia w działaniu Niemiec i Komisji Europejskiej zachęcałoby Putina i Łukaszenkę do eskalacji ataków

się cięcia socjalne hamujące wzrost rynku wewnętrznego, czyli głównego czynnika wzrostu PKB i szybkiego rozwoju. Zaczęto by za wszelką cenę bronić kursu złotego, wywołując tylko ataki na polską walutę i topnienie rezerw.

ALTERNATYWA BEZ ALTERNATYWY

W sprawie wschodniej granicy PO i Tusk polegaliby wyłącznie na Berlinie i instytucjach europejskich, co z powodu opóźnienia w działaniu Niemiec i Komisji Europejskiej zachęcałoby Putina i Łukaszenkę do eskalacji ataków. Polska suwerennie nie miałaby nic do gadania, także wtedy gdyby nad naszymi głowami organizowano jakieś międzynarodowe ciała do rozwiązania tego konfliktu, zawsze z Rosją jako podstawowym graczem i uczestnikiem oraz z Niemcami jako adwokatem Polski, co byłoby absurdem. Sam Tusk działałby tak jak obecnie, czyli opowiadał, że rozmawia z „samą górą” i wszystko załatwia, tylko nic by z tego nie wynikało. A gdyby nie było skutecznej obrony wschodniej gra-

nicy polskimi siłami, jak jest obecnie, unijne instytucje narzuciłyby jakieś nieskuteczne półśrodki. Nie byłoby muru na granicy, a wcześniej niż później Tusk zgodziłby się na wypuszczenie na terytorium Polski atakujących granicę imigrantów, żeby mogli składać wnioski o ochronę.

Generalnie w sprawach polityki zagranicznej obowiązywałaby zasada sformułowana przez Radosława Sikorskiego w listopadzie 2011 r., czyli uzależnienie wszystkiego od woli Niemiec. Polska nie przeciwstawiłaby się też planom federalizacji UE, co stało się celem rządu Niemiec, zapisanym w umowie koalicyjnej. Bylibyśmy potulnym członkiem UE, niemającym nawet ambicji uczestniczenia w grupie państw podejmujących decyzje. Niedawna „debatą” europejska w Gdańsku między Tuskiem i Sikorskim dowiodła, że oni chcieliby tylko robić to, co najsilniejsi gracze, a o przyszłości Unii i własnych propozycjach w tej sprawie nie mieli kompletnie nic do powiedzenia.

Gdyby obecnie rządziła PO, spełniałby wszystkie życzenia Komisji Europejskiej, mimo że podejmowane ponad traktatami, co w skutkach byłoby gorsze od niekorzystnych dla Polski orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Rząd PO przyjąłby najostrożniejszą wersję Fit for 55, narażając polską energetykę i gospodarkę na ogromne koszty i kłopoty, na zahamowanie szybkiego rozwoju. Rząd PO dążyłby też do szybkiego wejścia do strefy euro, mimo że w tak niepejoracyjnych czasach posiadanie własnej waluty to podstawowe narzędzie antykrzysowe. Skutkowałoby to (już samo przygotowanie do przyjęcia euro) spadkiem tempa wzrostu. Nie mówiąc o tym, że euro podniosłoby ceny. Rząd PO nie realizowałby oczywiście żadnej wersji Polskiego Ładu, przez co podatki by rosły, realne dochody spadały, a koszty były przerzucane na najbiedniejszych. Rozmontowane zostałyby wszelkie czynniki wzrostu, rosłoby bezrobocie i zmniejszały się realne dochody. Jeśli to jest alternatywa dla rządów PiS, to nie ma żadnej alternatywy.

Kłótnia w rodzinie



Pomimo wysiłków Michnika spór z Agorą na dalszą metę jest dla niego przegrany, nawet jeśli obie strony dojdą w końcu do jakiegoś kompromisu. Pokazuje on bowiem, że zakłęcia Michnika nie robią większego wrażenia na generacji relatywnie młodych korporacyjnych wilczków zarządzających Agorą, że w gruncie rzeczy mają oni gdzieś jego „walkę z reżimem”, jeśli nie przynosi ona wysokich dochodów



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Przyznam, że „Gazety Wyborczej” nie cenię od dawna i nie będę teraz załamywał rąk z powodu

konfliktu, jaki wybuchł między redakcją na Czerskiej a jej wydawcą. Przeciwnie, uważam, że gdyby nie „standardy” wprowadzone do naszej debaty przez „Wyborczą”, to jakość życia publicznego w Polsce byłaby dziś zapewne znacznie wyższa. Skoro jednak tak nie było ani nie jest, to nie widzę powodu, aby teraz łąć fałszywe lzy z powodu rodzinnej kłótni na Czerskiej. „Wyborczą” czytałem regularnie na samym początku jej istnienia i rozstałem się z nią definitywnie w 1992 r., po

tym jak redakcja tej gazety zorganizowała regularny seans nienawiści wobec rządu Jana Olszewskiego. Gazeta, będąca w swoim pierwotnym założeniu głosem całego solidarnościowego ruchu (co wyrażało umieszczone przy winiecie hasło: „Nie ma wolności bez Solidarności”), została zdominowana politycznie przez jedną grupę. Ekipa Adama Michnika szybko uczyniła z pisma instrument swojej władzy i ideologiczny młot na przeciwników,

którym uderzano z całą siłą i bez najmniejszych skrupułów. To m.in. „Wyborczej” zawdzięczamy – moim zdaniem – niską jakość polskiej debaty publicznej, polegającą na dehumanizowaniu drugiej strony i przypisywaniu jej najniższych, najpodlejszych intencji. Dzisiejsze zdżyczenie sporej części opozycji wyrażające się hasłem: „Wyp...ać”, jest więc również smutnym podsumowaniem wieloletnich wysiłków „Wyborczej”, aby obsesje jej redaktorów stały się udziałem jak największej części społeczeństwa. Tracimy na tym wszyscy, bo tak silna polaryzacja nastrojów prowadzi do osłabienia państwa. A to wszystko w imię chorych ambicji politycznych jednej, niemogącej się pogodzić z porażkami grupy.

Gdy więc dzisiaj Michnik zarzuca zarządowi Agory, że ten – ujawniając przyczyny konfliktu z redakcją „Wyborczej” – sięga pochwyt z czarnej propagandy Marca 68, to jest to już jedynie miara upadku Czerskiej. Antysemickie sugestie, którymi szermowano przez wiele lat, dotknęły dziś bowiem nawet wydawcy „Wyborczej”.

NA RÓWNI POCHYLEJ

Oczywiście upadek nie zaczął się dopiero dzisiaj. „Wyborcza” zanotowała pierwsze poważne tąpnięcie u szczytu swojej potęgi, gdy uderzyły w nią skutki afery Rywina. Opublikowane w grudniu 2002 r. na jej łamach „śledztwo” pod tytułem „Przychodzi Rywin do Michnika” zostało ujawnione dopiero po pół roku od propozycji korupcyjnej złożonej w redakcji, co wzbudziło uzasadnione pytania o tak długą zwłokę z publikacją. W wyjaśnieniu tej zagadki nie pomogły potem dość pokrętne tłumaczenia podczas prac sejmowej komisji śledczej. W oczach jakiejś części opinii publicznej wiarygodność gazety została wówczas nadszarpnięta.

W tym czasie „Wyborcza” straciła też swoich głównych sprzymierzeńców politycznych – czy też raczej swoje polityczne skrzydło – w postaci Unii Wolności, która rozpadła się wskutek frondy Donalda Tuska i przejęcia większości jej działaczy do nowo powstałej Platformy Obywatelskiej. Po aferze Rywina nie mogła też już liczyć na wsparcie ze strony SLD, który zresztą został poważnie osłabiony i w 2005 r. stracił władzę. Nowy rząd sformowany przez

PiS i objęcie prezydentury przez Lecha Kaczyńskiego pozwoliły „Wyborczej” wrócić na starą, wypróbowaną drogę walki z „faszystowsko-nacjonalistycznym” zagrożeniem i doprowadziły wkrótce do powstania nowego, taktycznego sojuszu z partią Tuska. Jednak „Wyborcza”, z którą jeszcze nie tak dawno temu konsultowali się czołowi politycy, nie była już w tym sojuszu dominującym partnerem.

Po chwili nastąpiło kolejne uderzenie, tym razem z dość niespodziewanej strony. Niemiecki koncern Axel Springer wypuścił na rynek gazetę „Dziennik” i rozpoczął z Agorą wyniszczającą wojnę cenową, która zmusiła wydawcę „Wyborczej” do drastycznej obniżki kosztów. To właśnie wtedy pojawiło się w środowisku „Wyborczej” pogardliwe określenie „Der Dziennik” mające przypomnieć czytelnikom, że konkurencyjna gazeta należy do Niemców. Teraz należące do Niemców tytuły już nie przeszkadzają miłującej europejską jedność „Wyborczej”. Ale dziś mówią one z „Wyborczą” niemal jednym głosem.

„WYBORCZA” ODLATUJE W KOSMOS

Kłopoty „Wyborczej” – podobnie zresztą jak i innych tytułów – pogłębiły się wraz z zapaścią na rynku prasowym wywołaną kryzysem finansowym 2008 r. oraz stopniowym spadkiem czytelnictwa spowodowanym zmianami cywilizacyjnymi i technologicznymi. I choć gazeta z pewnym sukcesem uruchomiła swoją wersję cyfrową, to z pewnością nie pomogło jej ideologiczne zaangażowanie jej redaktorów, które osiągnęło swoje apogeum po zwycięstwie wyborczym PiS w 2015 r. To wówczas rozpoczęła się szalona kanonada ataków na nowy rząd, jego wyborców oraz wartości, które są im bliskie. „Wyborcza”, na której łamach doszło wcześniej do zmiany generacyjnej (symbolizowanej m.in. przez zajęcie stanowiska pierwszego zastępcy Michnika przez Jarosława Kurskiego), przestała nawet udawać, że po inteligencku dzieli włos na czworo, i zaczęła histerycznie nakręcać nawałankę polityczną w Polsce.

Jednak kolejne „bomby” wymierzone w rządzących nie wywołały antypisowskiej rewolucji, co jeszcze bardziej frustrowało pracowników redakcji na

Czerskiej i wyraźnie skłaniało ich do przekraczania kolejnych granic. Czasy się zmieniły i artykuły „Wyborczej” nie były już w stanie obalić władzy. Redakcja oraz skupieni wokół niej najwierniejsi czytelnicy byli wprawdzie wpływowi, ale zbyt zanurzeni w swojej antypisowskiej bańce, aby zrozumieć, dlaczego zwykli, normalni ludzie nie podzielają ich obsesji.

W rezultacie każdy, kto zachowywał zdrowy dystans wobec nieustających histerii rozpętywanych przez „Wyborczą”, stawał się obiektem z trudem ukrywanej (a niekiedy i nieukrywanej) nienawiści i pogardy. Gazeta najzwyczajniej w świecie odleciała w kosmos, tymczasem większość ludzi – i dotyczyło to nie tylko zwolenników PiS – nie zamierzała tam za nią podążać.

Według najnowszych danych średnie rozpowszechnianie płatne razem „Gazety Wyborczej” wyniosło we wrześniu niecałe 54 tys. egzemplarzy i spadło – miesiąc do miesiąca – aż o 13 proc. A jeszcze kilkanaście lat temu Agora sprzedawała 400 tys. i więcej. Tak wielkiego spadku nie tłumaczy wyłącznie kryzys na rynku.

WYMIANA CIOSÓW

Nic więc dziwnego, że zarząd Agory podjął ryzykowną próbę ingerencji w pracę redakcji. Jej pierwszym akordem miało być zapowiedziane w połowie tego roku połączenie ogólnodostępnego portalu Gazeta.pl z redakcyjnym portalem Wyborcza.pl. Być może przyświecała temu nadzieja, że portal Gazeta.pl, bezpłatny, mniej zafiksowany politycznie i – co za tym idzie – znacznie bardziej popularny, ściągnie redaktorów „Wyborczej” z kosmosu, a przy okazji złapie nowych czytelników, co poprawi ogólne wyniki finansowe.

Redaktorzy „Wyborczej” wyczuli w tym jednak – być może i słusznie – zamach na swoją niezależność i rozpoczęli kontratak. Na ulicach miast pojawiły się reklamy Wyborczej.pl, w których zapewniano, że tylko ten portal zawiera treści dostępne w gazecie. Dla większości ludzi było to zresztą zupełnie nieczytelne, bo Gazeta.pl i tak jest zwykle utożsamiana z „Wyborczą”. Pokazuje to jednak poziom odklejenia pracowników „Wyborczej” od otaczającego ich świata, bo uważają oni najwyraźniej, że struktura Agory i perypetie ich redakcji

są dziś najważniejszym tematem rozmów Polaków. Zresztą niewykluczone, że tak jest, ale tylko wśród wąskiej sekty zagorzałych czytelników „Wyborczej” i różnych antypisowskich fiksatów.

Potem rozpoczęła się regularna wymiana ciosów pomiędzy „Wyborczą” a jej wydawcą. Koncentrowały się one wokół osoby Jerzego Wójcika, dyrektora wydawniczego „Wyborczej”, który – według kierownictwa redakcji – był autorem sukcesu prenumeraty cyfrowej obejmującej ponad 250 tys. subskrybentów. Wójcik – z poparciem redakcji „Wyborczej” – miał sprzeciwiać się połączeniu portali i przekazaniu kontroli nad subskrypcjami Agorze. Ostatecznie zarząd Agory zwolnił dyscyplinarnie Wójcika, czego kierownictwo „Wyborczej” nie przyjęło – jak wynika z kolejnych komunikatów – do wiadomości. Doszło więc do otwartego buntu.

DWIE WERSJE

Niektórzy spekulują, że konflikt ma głównie podłoże personalne, że zasiadające we władzach Agory Wanda Rapaczynska i Helena Łuczywo postanowiły się odwrócić od swojego wieloletniego przyjaciela Michnika i jego redakcji. Świadczyć miałyby o tym apele ze strony „Wyborczej”, w których Michnik i Kurski pytają „matki założycielki” Heleny Łuczywo, dlaczego godzi się ona „powolne niszczenie dzieła swojego życia?” „Czy naprawdę uważasz, że o los »Wyborczej« lepiej zadba korporacja niż sam zespół »Gazety Wyborczej«?” – zwracają się do posiadaczki złotej akcji. Jednak posiadaczka złotej akcji z jakichś powodów nie robi z niej użytku i nie blokuje decyzji Agory.

Kurski i zwolniony Wójcik twierdzą, że pierwotną przyczyną sporu była podjęta jeszcze w lutym próba zwolnienia przez Agorę szefa redakcyjnej Solidarności Wojciecha Orlińskiego, którą zdołali oni zablokować. W zemście szefowie Agory, którzy wcześniej – w ramach oszczędności – pozbyli się z redakcji „Wyborczej” dziesiątków osób, postanowili się rozprawić zarówno ze związkami, jak i z Kurskim oraz Wójcikiem. Obaj utrzymują, że miały do nich dotrzeć nieoficjalne informacje o głównej kadrowej Agory, która miała

ustalać, kiedy „Kurski i Wójcik wchodzi [w] wiek ochronny”. Miały też paść słowa o tym, że „Kurski jest nie do ruszenia, [ale] z Wójcikiem się rozprawimy”.

Miałoby z tego wynikać, że szefostwo Agory – w obliczu słabych wyników finansowych – dążyło do kolejnych cięć, którym sprzeciwiali się zarówno pracownicy i reprezentujące ich związki zawodowe, jak i stojące za nimi murem kierownictwo redakcji. To szlachetna postawa, ale Agora przedstawiła to zgoła inaczej, twierdząc, że podczas pandemii Kurski i Wójcik próbowali wytargować dla siebie wysokie odpawy, służbowe auta i dwunastomiesięczny okres ochronny. W odpowiedzi

„Wyborcza” stała się ofiarą brutalnego korporacyjnego kapitalizmu, który wcześniej tak ochotczo promowała. Tyle że jej pracownicy nigdy nie sądzili, że sami mogą paść jego ofiarą

Kurski z Wójcikiem napisali, że nie będą się zniżać do takiego poziomu i nie ustosunkują się do zawartych w liście zarządu „zatrutych zdań”. A redakcja zaczęła przygotowywać raport dotyczący nieudanych inwestycji Agory, za które „Wyborcza” musiała jakoby płacić cięciami i zwolnieniami. Kto mówi prawdę, tego teraz nie dojdziemy. Faktem jest jednak, że – jak już zauważyło to wielu komentatorów – „Wyborcza” stała się ofiarą brutalnego korporacyjnego kapitalizmu, który wcześniej tak ochotczo promowała. Tyle że jej pracownicy nigdy nie sądzili, że sami mogą paść jego ofiarą.

Można byłoby uznać, że nie świadczy to dobrze o zdolnościach poznawczych szefostwa „Wyborczej”, choć bardziej prawdopodobne jest to, że w „Wyborczej” uważano po prostu, iż nie podlega ona twardym i czasem krzywdzącym regułom obowiązującym większość obywateli. Teraz gdy „Wyborcza” jest już cieniem swojej dawnej potęgi, okazało się, że byli w błędzie.

ZŁA KARMA POWRACA

W wojnie z „Wyborczą” szala zwycięstwa zaczęła najwyraźniej się przechylać na stronę zarządu Agory, skoro na ratunek Jarosławowi Kurskiemu podążył Adam Michnik. W swoim stylu zarzucił on szefostwu koncernu uprawianie marcowej propagandy i we wspólnym z Kurskim tekście złożył „wotum nieufności” wobec zarządu Agory. Uruchomiono też wszystkich możliwych sojuszników, w tym sędziów z Iustitii, którzy stanęli po stronie Michnika i „Wyborczej”, widząc w niej gwaranta swojej „niezawisłości”.

Michnik i Kurski zarzucają Agorze, że zarządzają nią ludzie, „którzy nie mają pojęcia, na czym polega wydawanie nowoczesnej gazety” i są beznadziejni od strony biznesowej, bo zamiast docenić legendę „Wyborczej”, Agora woli być „rozrywkowo-medialnym konglomeratem stawiającym na fast food i popcorn”.

Pomimo wysiłków Michnika spór ten na dalszą metę jest dla niego przegrany, nawet jeśli obie strony dojdą w końcu do jakiegoś kompromisu. Pokazuje on bowiem, że zakłęcia Michnika nie robią większego wrażenia na generacji relatywnie młodych korporacyjnych wilczków zarządzających Agorą, że w gruncie rzeczy mają oni gdzieś jego „walkę z reżimem”, jeśli nie przynosi ona wysokich dochodów. Zamiast tego wolą inwestować w bardziej zyskowne przedsięwzięcia, choćby i w fast food, bo finansując nieskuteczne i niedochodowe wojny Michnika, będą działać na szkodę spółki. Michnik z kolei nie potrafi tego zrozumieć, czymże jest bowiem jakaś spółka, jeśli w grę wchodzi walka z „reżimem”? Nie chce też przyjąć do wiadomości, że jego gazeta nie rozdaje już kart w grze, przynajmniej w takim stopniu, jak to było kiedyś.

Rafał Ziemkiewicz sugeruje, że na „Wyborczej” postawił już krzyżyk nawet George Soros, który za pośrednictwem powiązanej z nim firmy zamierza przejąć pakiet udziałów w „Rzeczpospolitej”. Czy to oznacza koniec „Wyborczej”? Pewnie nie. Pokazuje jednak na pewno, że nadmierne zacietrzewienie może doprowadzić do zupełnego odklejenia od rzeczywistości i stać się problemem zarówno dla potencjalnych odbiorców, jak i dla wydawcy. Jak powiedzieliby buddyści – zła karma kiedyś powraca. ▀



Prezydent docenia kompetentne kobiety

W Kancelarii Prezydenta RP mamy dużo prorodzinnych rozwiązań, potrzebnych tym bardziej, że połowa pracowników to kobiety i połowa kadry kierowniczej to także kobiety. Mamy np. pokój dla rodzica z dzieckiem, można tam pracować, a dziecko może się bawić. Bywają przecież różne awaryjne sytuacje rodzinne

Z Grażyną Ignaczak-Bandyk, szefem Kancelarii Prezydenta RP, rozmawia Dorota Łosiewicz

Dlaczego szef, a nie szefowa Kancelarii Prezydenta?

Grażyna Ignaczak-Bandyk: Jestem szefem Kancelarii Prezydenta, tak mówi bowiem art. 143 Konstytucji RP, dlatego konsekwentnie trzymam się konstytucyjnej formy. Prezydent stoi na straży konstytucji, zatem szef urzędu prezydenckiego powinien przestrzegać ram konstytucyjnych, także w zakresie nazewnictwa.

Jednak dziś toczy się bój o feminytary. Część kobiet będących w polityce walczy o żeńskie formy ich funkcji.

Fot. KPP

Wiele zawodów ma formę żeńską od dawna, bo od dawna kobiety te zawody wykonują. W przyszłości nowe zawody i nowe aktywności kobiet będą nazywane za pomocą żeńskich końcówek. Język będzie się rozwijał. Natomiast zupełnie niepoważne wydaje mi się tworzenie żeńskich form post factum, tam gdzie tych form nie było. Jedną z dziwniejszych form, które ostatnio słyszałam jest określenie kobiety powstańca mianem „powstańczyni”. Te kobiety tak o sobie nie mówiły ani nie myślały, a używanie takiej formy zniekształca język. Warto się wystrzegać śmieszności, próbując tworzyć formy żeńskie na siłę, jak w przypadku słów: premiera, gościni, ministra, nurkini. Czy też w odniesieniu do słów, gdy feminatyw oznacza coś zupełnie innego. Myślę, że dla większości Polek walka na polu języka ma drugo- lub trzeciorzędne znaczenie.

Czy prezydent docenia zawodowo kobiety?

Warto podkreślić, że kobiety, które pełnią w Kancelarii swoje funkcje, nie zostały powołane ze względu na płeć i jakiś parytet, tylko ze względu na swoje wysokie kompetencje, doświadczenie życiowe i zawodowe. Od pierwszej kadencji w Kancelarii trzy bardzo ważne funkcje pełnią właśnie kobiety. Szefem Kancelarii jest kobieta, od początku dyrektorem generalnym jest kobieta, ministrem nadzorującym kwestie prawnokonstytucyjne też jest kobieta. Od niedawna kobieta jest odpowiedzialna także za dialog społeczny. Proporcja kobiet do mężczyzn w kierownictwie Kancelarii wypada całkiem nieźle.

Trzeba mieć grubą skórę do tej pracy?

Ważniejsze w mojej ocenie jest zaangażowanie i wytrwałość. Kancelaria Prezydenta to organ obsługujący głowę państwa. Nie da się tego robić bez wiary w sens pracy i osobistego zaangażowania. Niektóre działania wymagają czasu, bo sukces nie jest widoczny od razu. Zanim zostałam szefem Kancelarii Prezydenta, byłam przez pięć lat dyrektorem generalnym. Po przejęciu urzędu musieliśmy uporządkować wszystko to, co opisaliśmy w raporcie otwarcia, a bałagan był niemały. Chodziło nam o takie uregulowanie spraw, żeby można było

przygotować rzetelny raport zamknięcia w chwili, gdy obecnie urzędujący prezydent będzie zdawał urząd.

Gdy została pani pierwszym w historii dyrektorem generalnym, w jakim stanie zastała pani Kancelarię?

Dotkliwie było widać i czuć, że wcześniej nie było takiej osoby, czyli kogoś, kto pilnowałby jakości funkcjonowania urzędu w oderwaniu od polityki. Okazało się, że nigdy wcześniej nie było jednej osoby, która odpowiadałaby za sprawne funkcjonowanie całej Kancelarii: za kompleksowe zarządzanie: kadry, finanse, administrację, nieruchomości. Brak takiej osoby doprowadził do nieprawidłowości, które zostały opisane w raporcie otwarcia: niegospodarności,

Warto się wystrzegać śmieszności, próbując tworzyć formy żeńskie na siłę, jak w przypadku słów: premiera, gościni, ministra, nurkini. Myślę, że dla większości Polek walka na polu języka ma drugo- lub trzeciorzędne znaczenie

nadmiernego wydatkowania funduszy czy braków w stanie rzeczowym Kancelarii po ustąpieniu prezydenta Komorowskiego. Dziś już można pojechać do Klarysewa, wszystko wygląda tam, jak należy. Niestety nie udało się odzyskać wyniesionych mebli i trzeba było zakupić nowe. Dziś znów mogą się tam spotykać prezydenckie gremia. Mamy uporządkowane kwestie majątkowe. Kancelaria Prezydenta to takie miejsce, gdzie wszystko powinno działać na najwyższym poziomie. Opisałyśmy procesy tak, by zapewnić ciągłość działania organizacji. Tego wcześniej nie było, a tego wymaga powaga i interes instytucji. Zależało nam na pełnej profesjonalizacji zaplecza, które stoi za głową państwa, a którego na co dzień nie widać.

Dlaczego nikt o tym nie pomyślał wcześniej? Dlaczego było możliwe ogołocenie Klarysewa, wyrwanie szafek, wynoszenie obrazów?

Po prostu nie było jednej osoby, która by nad tym czuwała. Meble wyjeżdżały z Klarysewa jeszcze w dniu zaprzysiężenia prezydenta Andrzeja Dudy. Ktoś podpisał protokół, ktoś zamówił transport, a ktoś nie skojarzył całości. Na dokumentach jest kilkanaście podpisów różnych osób. A cała operacja wcale nie jest taka prosta. Ktoś musiał zgłosić, że jakieś sprzęty nie są potrzebne. Nikt nie zareagował na to, że ktoś inny zgłasza, że niepotrzebne są właściwie nowe sprzęty. Ktoś inny jeszcze stwierdził, że nowe rzeczy nadają do likwidacji. Na szczęście udało nam się uporządkować ten bałagan: kwestie finansów, zamówień publicznych. Co roku mamy pozytywną ocenę NIK dotyczącą realizacji budżetu Kancelarii.

Czy w zarządzaniu Kancelarią kieruje się pani ekologią?

Kieruję się przede wszystkim zdrowym rozsądkiem, wiedzą i doświadczeniem. Troska o ochronę środowiska też jest ważna. Mamy ścieżki ekologiczne dla dzieci, pasiekę pszczół, panele fotowoltaiczne, które zasilają oświetlenie ogrodu prezydenckiego. Mamy też samochody elektryczne, które jeżdżą Traktem Królewskim między Pałacem Prezydenckim a Kancelarią Prezydenta przy ul. Wiejskiej. Samochody są tak oznakowane, by promować elektromobilność. Rozwiązania proekologiczne pozwalają zredukować koszty. Odkąd używamy samochodów elektrycznych (i zmniejszyliśmy liczbę samochodów pozostających w dyspozycji Kancelarii), znacznie spadły koszty eksploatacji. W raporcie otwarcia zapisaliśmy, że ograniczymy liczbę samochodów o ok. 20 proc. i to się udało.

Czy prezydent jest prorodzinnym pracodawcą?

Prezydent (w polityce dużej i małej) dba o polskie rodziny, inicjuje i wpiera programy społeczne mające na celu poprawę jakości życia polskich rodzin. Z kolei w Kancelarii mamy dużo

prorodzinnych rozwiązań, potrzebnych tym bardziej, że połowa pracowników to kobiety i połowa kadry kierowniczej to także kobiety. Większość z nich z sukcesem łączy życie zawodowe z życiem rodzinnym. Dbamy o to, by wszyscy pracownicy Kancelarii, nie tylko kobiety, mieli jak najlepsze warunki do łączenia obowiązków rodzinnych i zawodowych. Mamy pokój dla rodzica z dzieckiem, można tam pracować, a dziecko może się bawić. Bywają przecież różne awaryjne sytuacje rodzinne. Stosujemy rozmaite formy zatrudnienia, elastyczne godziny pracy, system ekwiwalentny i zadaniowy. Wdrożyliśmy model pracy zdalnej jeszcze przed pandemią. Mamy zakładowy fundusz świadczeń socjalnych, który jest obowiązkowy w każdej jednostce. Z tego funduszu finansujemy dopłaty do przedszkoli, żłobków i opiekę nad dziećmi. Przystąpiliśmy do programu PracuDawca Zdrowia. Rozpoczęliśmy propagowanie badań profilaktycznych wśród pracowników. W trosce o ich zdrowie zlikwidowaliśmy palarnie wewnątrz budynków.

A to podobno miejsce socjalizacji. Czy w Kancelarii Prezydenta jest miejsce na przyjaźń i głębokie relacje międzyludzkie?

Jak wszędzie. To przecież normalne miejsce pracy, a pan prezydent jest bardzo przyjazny wobec swojego otoczenia. Spotykamy się na gruncie prywatnym, towarzyskim i zdarza się, że głowa państwa wraz z małżonką przychodzi na takie spotkania. Niestety ostatnie lata nie sprzyjają takim kontaktom z uwagi na ograniczenia sanitarne.

Kto panią inspiruje, kogo chciałaby pani naśladować?

Za sprawą pani prof. Anny Sucheni-Grabowskiej zafascynowałam się kobietą polityk. Damą, którą cenię i podziwiam za zdolność poświęcenia się, za mądrość, roztropność, skuteczność – mam na myśli św. Jadwigę. Podziwiam też Ewę Błaszczyk. Cenię ją za determinację, skuteczność, upór, poświęcenie. Jeśli chodzi

o mężczyzn, to najbliższy mi w tym, co robię, jest śp. Władysław Stasiak. Człowiek, który potrafił być urzędnikiem w polityce, potrafił sprawować wiele funkcji i wszędzie zapisał się w pamięci ludzi jako odpowiedzialny, zaangażowany, kompetentny, dobry człowiek i przyjaciel. Do dziś wszyscy mówią o nim z sentymentem, ciepłem, a przede wszystkim z szacunkiem. Zawsze mi imponowało jego opanowanie, mądrość i umiejętność łą-

Zadania małżonki prezydenta nie są nigdzie zapisane, każda pierwsza dama określa pola swojej działalności, ważna jest w tym działaniu wiarygodność. Pani prezydentowa Agata Kornhauser-Duda jest w tym, co robi, bardzo wiarygodna

czenia kompetencji urzędnika i polityka. Urzędnik może tyle, na ile pozwala mu prawo. Polityk ma przed sobą wyzwania. Urzędnik musi wstawić wyzwania w dozwolone ramy. Mam na myśli skuteczną administrację na rzecz rządzenia.

Nie kusi pani duża polityka?

Zdecydowanie nie. Małą polityką zajmowałam się, będąc radną. Lepiej realizuję się w roli osoby zarządzającej. Zajmowałam się tym przez większość swojego życia. Moją ambicją jest to, by Kancelaria funkcjonowała na miarę godności urzędu. Mamy znakomity zespół, którego celem jest skuteczne wspieranie głowy państwa i małżonki prezydenta, która jest niezwykle aktywna i pracowita.

Część mediów zarzuca jej coś dokładniej odwrotnego.

Zadania małżonki prezydenta nie są nigdzie zapisane, każda pierwsza dama określa pola swojej działalności, ważna jest w tym działaniu wiarygodność. Pani prezydentowa Agata Kornhauser-Duda

jest w tym, co robi, bardzo wiarygodna. Zajmuje się kwestią edukacji, którą zna, była przez wiele lat nauczycielką, przez lata – będąc już małżonką prezydenta – jako wolontariuszka prowadziła lekcje niemieckiego w warszawskich szkołach. Drugim tematem, któremu bardzo się poświęca, jest kwestia osób z niepełnosprawnościami – dorosłych i dzieci. Pani prezydentowa chce pokazywać, że takie osoby mogą się realizować, że należy na nie patrzeć nie przez pryzmat ograniczeń, ale przez pryzmat możliwości. Sama to obserwuje, odwiedzając liczne ośrodki terapeutyczne, pracownice zajęć dla dzieci i młodzieży, także dla osób starszych, domy pomocy społecznej. Wszędzie tam wspiera działania, które służą rozwojowi tych osób. Cały czas pierwsza dama bardzo aktywnie wspiera również bezdomnych. W pierwszym etapie pandemii patronowała akcji gotowania przez Kancelarię obiadów dla osób bezdomnych, ugotowano ich 10 tys. Nadal pracuje jako wolontariuszka w jednym z ośrodków dla bezdomnych, gdzie przygotowuje posiłki. Kolejną grupą, która jest bliska jej sercu, są weterani, którym poświęca się z pełnym zaangażowaniem. Weteranom osobiście rozwoziła obiady. Bywało też, że troszczyła się o zdrowie, kondycję tych osób i wspierała we wszystkich możliwych sprawach. Bardzo ważna jest także inicjatywa pomocy Polakom na Wschodzie. Niedawno pani prezydentowa była z darami w Mołdawii, wcześniej na Ukrainie. Wszędzie, gdzie jest za granicą, spotyka się z uczniami i nauczycielami polskich szkół, wspiera środowisko szkół polonijnych, bo sytuacja w wielu miejscach jest coraz trudniejsza. Wsparcie małżonki prezydenta jest o tyle istotne, że to docenienie i podziękowanie dla tych organizacji za utrzymywanie polskości. Jedną z inicjatyw, która wyszła z Kancelarii, były legitymacje szkolne dla dzieci polskiego pochodzenia, aby podczas wizyty w Polsce mogły korzystać z systemu ulg komunikacyjnych. Pani prezydentowa wspiera także aktywnie koła gospodyń wiejskich, integrujące lokalną społeczność i będące niekiedy jedynym obok OSP miejscem inicjatyw obywatelskich. Najnowszą inicjatywą pani prezydentowej to wsparcie dla seniorów. Pierwsza dama jest zaangażowana także w tematykę zdrowotną,

profilaktykę, edukację. Odwiedza dzieci w ośrodkach opiekuńczych, bywa na warsztatach terapii zajęciowej dla osób z niepełnosprawnościami. Odwiedza szpitale, domy dziecka. To jest ogrom działań, które dają radość jej i ludziom, którzy się z nią spotykają. Obecnie pani prezydentowa zaangażowała się w projekt Usłyszeć Dzieci, gdzie rozmawia z fachowcami o problemach dzieci przy wychodzeniu z izolacji pandemicznej. Dzieci przychodzą do Pałacu Prezydenckiego na lekcje historii. To są ciekawe zajęcia, zwłaszcza gdy przewodnikiem jest pani prezydentowa. Zdziwienie budzi zawsze informacja, że to właśnie w obecnym Pałacu Prezydenckim Fryderyk Chopin miał swój pierwszy publiczny koncert jako ośmiolatek. To są także lekcje patriotyzmu. Przed 11 listopada dzieci robiły kotyliony, które pierwsza dama osobiście zawoziła do weteranów. Niosła im ciepło i otuchę, czytała z nimi książki, gdy coś było nie tak ze zdrowiem, pilnowała, żeby przyszedł lekarz. To był ogrom pracy. I tak jest każdego dnia.

Skoro wywołała pani temat pandemii, to w lutym 2021 r. została pani powołana przez prezydenta Dudę na członka Rady ds. Ochrony Zdrowia. Łatwy ten rok chyba nie był...

Pan prezydent przywiązuje wielką wagę do zdrowia Polaków. Dlatego zdecydował o obecności szefa Kancelarii w tej Radzie. W pierwszej kadencji prezydent przygotował trzy projekty ustaw zdrowotnych. Jeden dotyczył zakazu korzystania z solarium przez osoby poniżej 18. roku życia, drugi projekt to strategia onkologiczna, a trzeci – Fundusz Medyczny. Fundusz Medyczny to bardzo ciekawy projekt finansowania usług zdrowotnych w sposób nieschematyczny, można powiedzieć nieobciążony wszystkimi ograniczeniami, nowoczesny. To możliwość szybkiego i skutecznego zorganizowania leczenia dzieci i dorosłych za granicą wtedy, kiedy w Polsce nie można tego zrobić. To leczenie chorób rzadkich, to także finansowanie terapii lekowych, zazwyczaj bardzo kosztownych. 1 grudnia prezydent Andrzej Duda zapoznał się, w obecności premiera Mateusza Morawieckiego i ministra zdrowia Adama Niedzielskiego, ze

stanem realizacji zadań Funduszu, zostały także omówione nowe propozycje, takie jak badania genetyczne. Fundusz Medyczny jest w stanie szybko reagować i umożliwiać chorym dostęp do najnowszych zdobyczy medycyny. Kolejne projekty z pogranicza ochrony zdrowia i pomocy społecznej są w przygotowaniu. W Polsce system ochrony zdrowia służy chorym. Tymczasem mamy dużą liczbę osób wymagających wsparcia na styku pomocy społecznej i zdrowia. Pan prezydent uważa, że należy patrzeć na to holistycznie. Mamy już projekt pilotażu, który dotyczy Centrum Usług Społecznych. Przez COVID-19 projekt nie rozwija się tak szybko, jak byśmy chcieli. Chodzi tu o badanie przez władze samorządowe potrzeb społecznych i dostosowywanie działań do tych potrzeb. Bo w każdej gminie potrzeby są inne. Teraz z inicjatywy prezydenta pracujemy nad

Mamy samochody elektryczne, które jeżdżą Traktem Królewskim między Pałacem Prezydenckim a Kancelarią Prezydenta przy ul. Wiejskiej. Samochody są tak oznakowane, by promować elektromobilność. Rozwiązania proekologiczne pozwalają zredukować koszty

kolejnymi projektami, których wdrożenie poprawi jakość życia osób niesamodzielnych z niepełnosprawnościami. Chodzi o to, żeby umożliwić chorym ludziom funkcjonowanie we własnym środowisku z instytucjonalnie zorganizowanym wsparciem w warunkach domowych. Mamy w planach Centra 75+, które łączą pomoc z zakresu społecznego i medycznego.

A jak będzie wyglądała służba zdrowia po pandemii?

To samo pytanie zadał Radzie ds. Ochrony Zdrowia pan prezydent. Z pandemią walczy rząd, a my mamy się pochylić nad tym, co dalej. Jak będzie wyglądała służba zdrowia, kiedy pandemia ustąpi. Z dotychczasowych analiz i referatów przedstawianych Radzie przez profesorów, konsultantów czy dyrektorów szpitali wynika jednoznacznie, że trzeba postawić na profilaktykę. Profilaktyka wychodzi taniej i lepiej. Tylko profilaktyka uchroni nas przed katastrofalnym spadkiem długości życia Polaków. Wzrost długości życia się zatrzymał, jednocześnie pandemia wiązała się niestety z wysoką śmiertelnością. W Polsce jest wiele bardzo dobrych programów profilaktycznych przygotowanych przez znakomitych specjalistów, praktyków. Problem w tym, że mało kto o nich wie, bo promocja nie jest silną stroną organizacji publicznych. Pracujemy nad włączeniem się w szeroki program promocji zdrowia.

Chcemy zachęcić wszystkich do profilaktyki. Wśród Polaków krąży niestety bardzo wiele mitów, podawanych pocztą pantoflową, firmowanych niby przez lekarzy, którzy przed czymś ostrzegają, co de facto wyrządza szkodę naszemu zdrowiu. To trzeba obalić i przełamać.

I tu dochodzimy do tematu szczepień przeciw COVID-19. Dlaczego tak wielu Polaków nie zdecydowało się zaszczepić?

Sama się zastanawiam, jak to możliwe, że nawet tak wielu lekarzy nie przekonuje nauka

i wiedza medyczna. Być może niechęć do szczepień to wynik kryzysu autorytetów i tego, że dość często zmieniały zdanie. Być może to wynik nieco jednostronnej debaty publicznej. Być może skutek tego, że w sieci można znaleźć wszystko na poparcie każdej tezy i łatwo błędnie zinterpretować dane. Wszystko to składa się na nie najlepszy wynik wyszczepienia Polaków. Liczę jednak, że to jeszcze uda się zmienić. Bo już się zmienia. Pan prezydent jest zwolennikiem zachęcania do szczepień, ale nie przymusu.

Jak sprzątaczką pogoniła Martę Lempart



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Rewolucje ekstremistów zazwyczaj kończą się katastrofą dla większości jej twórców, ale przypadek Marty Lempart zapowiada się jeszcze bardziej groteskowo i tragikomicznie



Wmawianie Polakom nieistniejących problemów jest standardową praktyką obozu antypisu. Gdy do Sejmu wpłynął obywatelski projekt, którego inicjatorem była m.in. Kaja Godek, przewidujący zwiększenie kar za przeprowadzenie aborcji, Marta Lempart ponownie

ruszyła z prowokacjami. Abstrahując od słuszności czy formuły tej propozycji, jest ona po prostu oddolną inicjatywą działaczy pro-life, sygnowaną przez dziesiątki tysięcy ludzi w całej Polsce. Ale Lempart i jej zwolennicy próbują wmówić Polakom, że jest to projekt pod sekretnym patronatem Prawa i Spra-

wiedliwości. Liderka Strajku Kobiet zorganizowała więc małe happeningi z rozlewaniem pod kilkoma warszawskimi budynkami czerwonej farby, która ma symbolizować krew kobiet.

Zwrot akcji nastąpił przed siedzibą Prawa i Sprawiedliwości przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. „Tego właśnie sobie życzą posłowie PiS-u, Konfederacji, pan Wróblewski, Ordo Iuris, polski Kościół i inni fundamentaliści. Żeby było jak najwięcej krwi” – wołała feministka, rozlewając po froncie budynku i po chodniku czerwoną maź. Wyzywała też poszczególnych posłów PiS od faszystów i przekonywała, że następnym krokiem będzie zakaz rozwodów, dyskryminacja osób LGBT i prześladowanie kobiet poprzez monitoring ich stanu zdrowia.

Wielokrotne sprostowania tych kłamstw nie osiągnęły takiego efektu jak reakcja wścieklej sprzątaczk, która podczas pracy zobaczyła Lempart w akcji. Jej naturalna, spontaniczna i dosadna reakcja została uchwycona przez kamery i szybko stała się przedmiotem żartów ze Strajku Kobiet i uznania dla sprzątającej tam pani.

„Co tu zrobione jest? Kto to tak zrobił? Ja tutaj sprzątam! Kto to tak zrobił?” – wołała zdziwiona kobieta. Podniesionym głosem kazała LGBT-owskiej celebrytce po prostu po sobie posprzątać. Wyraźnie zakłopotana Lempart próbowała ją zbywać pouczeniami, na co w odpowiedzi kobieta wystawiła jej przed drzwi wiadro z wodą i mop. Internauci mieli z tego ubaw. Z krytyką Marty Lempart wystąpiła nawet Lewica, której przedstawiciele w mediach społecznościowych podkreślali, że szefowa Strajku Kobiet nie szanuje kobiet ani ich pracy.

JAK DZIAŁAJĄ REWOLUCJONIŚCI

Wielka rewolucjonistka została sprowadzona na ziemię przez pracownicę budynku przy Nowogrodzkiej. Pokazała, jak działają lewicowe rewolucjonistki. Przez całe dekady XX w. kolejne postępowe protesty miały podobny schemat – jeden wąski radykalny kolektyw podsywał się pod wielkie grupy społeczne, działając rzekomo dla ich dobra. To przepis na działalność wszystkich rewolucjonistów. Bolszewicy mianowali się robotnikami chcącymi ulżyć rosyjskim pracownikom, choć sami byli zdegenerowaną inteligencją, często o nierosyjskim (gruzińskim, łotewskim, żydowskim, a nawet polskim) rodowodzie. Wszystkie te burzliwe zamieszki, mające rzekomo ulżyć biednym i pokrzywdzonym, były pomysłem części sfrustrowanych elit, które nie mogły znaleźć dla siebie miejsca w cywilizowanym świecie.

Herbert Marcuse, ideolog studenckiej rewolty w USA z 1968 r., także był przeciwnikiem tych, których chciał „wyzwalać”. Gdy jego zwolennicy wzywali do poligamii, upowszechniania homoseksualizmu, uciekania z rodzinnych domów i tworzenia nowej, zseksualizowanej kultury, on sam był mężem i ojcem kilkorga dzieci, całe życie dbając o zapewnienie im stabilnej i elitarnej przyszłości. Filozof, który tak bardzo przyczynił się do tego, by sztuka masowa epatowała brzydotą, sam kochał piękno, a w domu miał różne dzieła sztuki o klasycznym rodowodzie.

Podobnie dzisiejsi socjaliści z różnych części globu sami są majątynymi ludźmi, a orędownicy drastycznego zmniejszenia emisji dwutlenku węgla latają odrzutowcami po świecie, by opowiadać o zanieczyszczeniu środowiska.

Choć Marta Lempart jest tylko farsą rewolucjonistki, to i tutaj można odnotować żalosny schemat wyalienowania „wodza” od ludzi, dla których rzekomo się poświęca. Sama bezdzietna, związana z kobietą, nazywająca siebie nie tyle kobietą, ile „osobą z macicą”, rzekomo sprzyja płci pięknej, choć owocem jej aktywności są kolejne kompromitacje. To za jej sprawą tysiące młodych dziewczyn ruszyło na ulice z wulgarnymi

okrzykami, stając się załącznikiem ulicznych rozruchów, na których końcu były postulaty wprowadzenia do Polski wielkiego biznesu aborcyjnego.

POGARDA – NAJŁATWIEJSZA BRON

Z lewicowych liderów ten rozdźwięk między nimi a obiektami ich troski prędzej czy później zawsze wychodzi. Dziś orędownicy lewackich przemian co rusz zdradzają niechęć do swojej grupy docelowej, często charakteryzujący się pogardą dla niej.

Przykłady. Bartosz Staszewski ze środowisk LGBT próbuje poniżyć konserwatywnych gejów (m.in. jednego z wysokich urzędników państwowych z jednej strony czy publicystę „Tygodnika Solidarność” Waldka Krysiaka). „Gazeta Wyborcza” zaatakowała jednego z sędziów

Z krytyką Marty Lempart wystąpiła nawet Lewica, której przedstawiciele w mediach społecznościowych podkreślali, że szefowa Strajku Kobiet nie szanuje kobiet ani ich pracy

za jego homoseksualizm. Poseł Lewicy Maciej Konieczny wyrzucił Urszulę Kuczyńską, swojego doradcę, za to, że nie chciała być nazywana „osobą z macicą”.

Żadna z ofiar tych ataków nie zareagowała tak dosadnie jak sprzątaczką z Nowogrodzkiej. Lempart, jako feministka, powinna szczególnie szanować kobiety pracujące fizycznie, bo lewica zawsze krytykowała rządzących za zatrudnianie kobiet w zawodach wymagających nadmiernego wysiłku. W tym przypadku wulgarna działaczka nie tylko zniszczyła pracę kobiety, lecz próbowała ją jeszcze zwyzywać w odpowiedzi na krytykę, przekonując potem w mediach, że sprzątaczką została nasłana przez samego Kaczyńskiego.

Agenda progresyistów naszpikowana jest pomysłami, które ponieważ

rają kobiety. Młode pokolenie LGBT domaga się na przykład „normalizacji sexworkingu”, czyli po prostu zachęca do prostytuowania się. Także „Gazeta Wyborcza” łagodzi wydźwięk najstarszego zawodu świata, opisując, jak to rzekomo dobrze jest kobietom, gdy znajdą sobie „sponsora”. Gazeta przekonywała na przykład, że prostytuująca się dziewczyna jest kimś w rodzaju terapeuty, skoro poza seksem daje też „rozmowę i ukojenie”, a w licznych tekstach przedstawiała taki sposób zarabiania pieniędzy jako powszedni i naturalny. Podobnie obłudna była reakcja na tragiczną śmierć kobiety ze szpitala w Pszczynie, której na czas – mimo obowiązku prawnego – nie usunięto ciąży. Lewica nie przejęła się tym, że w szpitalu doszło do zaniedbań – w zamian za to wyprowadziła ludzi na ulice z napisami: „Ani jednej więcej”.

LEWICA ZŻERA SAMĄ SIEBIE

Te feministki, które chcą pomagać kobietom, są wściekle atakowane przez radykalnych lewaków. Hanka Kulikowska czy Urszula Kuczyńska, kiedyś w partii Razem, były wyzywane publicznie za to, że jako aktywistki chciały się skoncentrować na pomocy kobietom, które są zmuszane do prostytucji czy surogacji, a kwestie nazewnictwa kolejnych płci nie są dla nich priorytetem. Na Zachodzie tężowi działacze ukuli specjalne określenie dla takich kobiet: TERF. Jest to skrót od angielskich słów (trans-exclusionary radical feminism/feminist), które oznacza radykalne feministki, które są transfobami. Na czym polega ten rzekomy „radykalizm”? Otóż normalne feministki chcą nazywania kobiet kobietami, dla ekstremistów zaś kobieta może nie mieć macicy (bo była mężczyzną, ale poczuła się kobietą) i odwrotnie – może mieć macicę, ale być mężczyzną (jeśli ktoś się tak czuje).

I tak oto ofiarami ruchów lewicowych stają się już nie tylko konserwatyści, lecz także sami ich członkowie. Są wyrzucani ze struktur, wyzywani i atakowani. Mają zamilknąć, by nie wydała się największa tajemnica: radykalna lewica wcale nie chce nikomu pomagać. Chyba że sobie i swoim karierom.

Granica miłosierdzia

Wielu Polaków jest nieco zaskoczonych tym, jak część hierarchii Kościoła katolickiego definiuje to, co dzieje się na granicy polsko-białoruskiej. Mówi się wyłącznie o kryzysie humanitarnym. Kontekst wojny hybrydowej, która przecież spowodowała cierpienie tych ludzi, jest zupełnie ignorowany. Czy to logiczne, że etyka katolicka ignoruje ten kontekst?

Dariusz Kowalczyk: Etyka katolicka nie ignoruje kontekstu w sprawie migrantów. Ignorują go natomiast niektórzy katolicy, w tym duchowni. Nie ma żadnego międzynarodowego ani boskiego prawa, które mówiłoby, że ktokolwiek może, bez spełnienia wstępnych warunków, wejść do innego kraju, przekraczając jego granicę gdziekolwiek i kiedykolwiek, i że nikt nie może mu w tym przeszkodzić, co więcej – wszyscy mają mu w tym pomagać. Niemniej jednak wielu takie wymyślane ostatnio „prawo człowieka” głosi. Ale to nie jest etyka katolicka. To jest nowa świecka religia, która używa chrześcijaństwa. Ta nowa religia rozmywa, niuansuje, relatywizuje dziedzictwo Kościoła w imię wolności i tolerancji, np. całą biblijną antropologię, ale w sprawie migrantów jest fanatycznie zdogmatyzowana. Tu nie liczą się fakty i okoliczności. Kto stoi na granicy, powinien być wpuszczony. Wyznawcy tej religii nie chcą widzieć różnicy między kimś, komu zbombardowano dom i kto z niewielkim dobytkiem albo z niczym ucieka, aby przeżyć, a kimś, kto ma dom, pracę, jego życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, ale kuzyn mu powiedział, że w Niemczech żyje się lepiej. A zatem bierze udział w zorganizowa-

Nie ma boskiego prawa, które mówiłoby, że ktokolwiek może, bez spełnienia wstępnych warunków, wejść do innego kraju i że nikt nie może mu w tym przeszkodzić, co więcej – wszyscy mają mu w tym pomagać

Z Dariuszem Kowalczykiem SJ, jezuitą, wykładowcą teologii dogmatycznej na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, rozmawia Goran Andrijanić

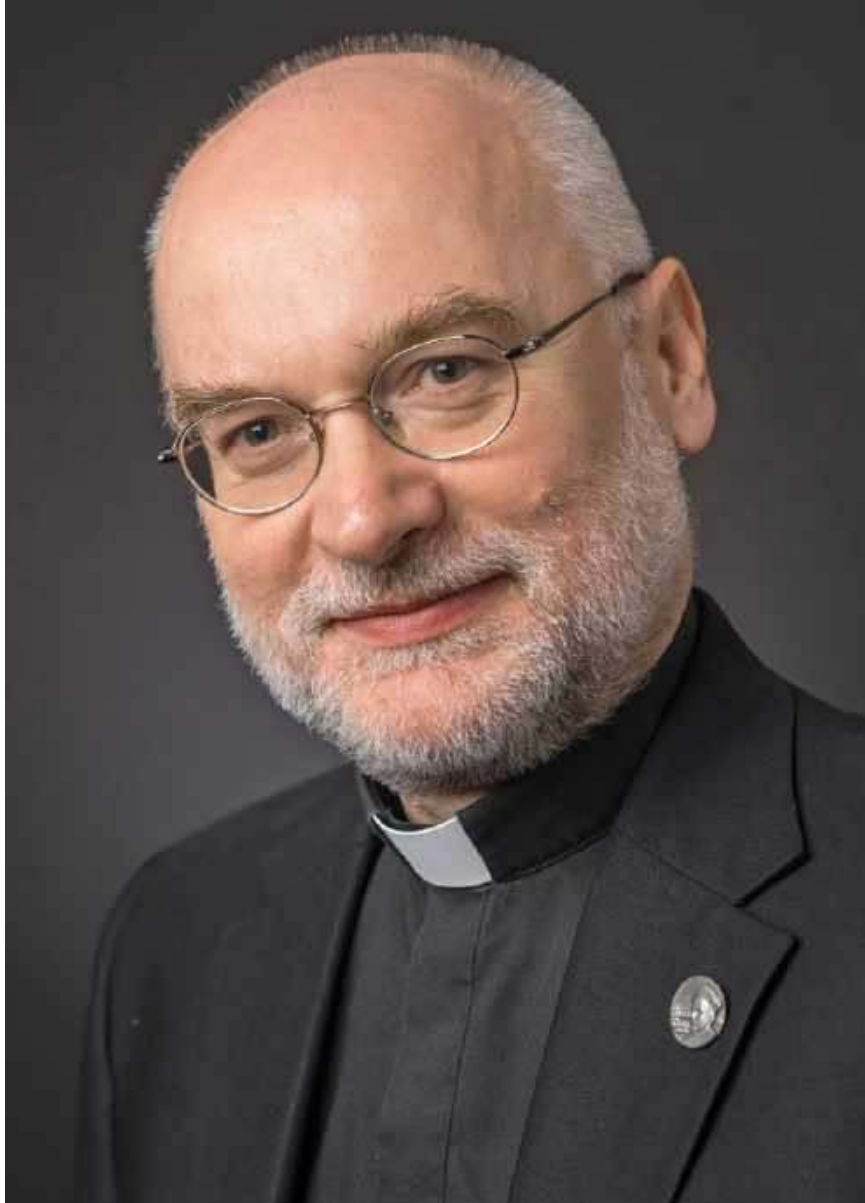
nej przez Łukaszenkę wojnie hybrydowej, aby z Białorusi przez Polskę dostać się do niemieckiego raju. Ludzie mają prawo marzyć o lepszym życiu, ale nie mają prawa realizować swoich marzeń w każdy możliwy z ich punktu widzenia sposób. Nie mogą negocjować i łamać prawa poszczególnych państw do samostanowienia i przyjmowania tych, których uważają za stosowne przyjąć.

Warto tutaj przypomnieć słowa Jana Pawła II: „W obliczu zjawiska migracji pojawia się problem zdolności Europy

do wypracowania form roztropnego przyjmowania i gościnności. [...] Do władz publicznych należy sprawowanie kontroli nad ruchami migracyjnymi, z uwzględnieniem wymogów dobra wspólnego. Przyjmowanie migrantów winno zawsze odbywać się w poszanowaniu prawa, a zatem, gdy to konieczne, towarzyszyć mu musi stanowcze tłumienie nadużyć” (adhortacja apostołska „Ecclesia in Europa”, n. 101). Brakuje nam dziś tego rodzaju wyważonego spojrzenia. Jest za to dużo ideologii i hysterii.

Nie wydaje się ojcu, że ta świecka religia jest coraz bardziej wpływowa w samym Kościele? Przecież każdy katolik, który nie jest gotowy pomagać nielegalnym migrantom, ryzykuje, że zostanie nazwany „niemiłosiernym”.

Natomiast ci, którzy mówią, że aborcja jest zabiciem istoty ludzkiej, a błogosławienie par homoseksualnych w Kościele jest oczywistym zanegowaniem nauki Nowego Testamentu, nazywani są fundamentalistami. W Kościele od dwóch tysięcy lat są herezje i schizmy. To smutne, ale czymś o wiele bardziej niebezpiecznym są próby podminienia Kościoła Chrystusowego jakimś Kościołem wymyślonym przez ludzi. Ale przecież zapowiadał to już sam Jezus: „Powstaną fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy [...], by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych” (Mt 24,24). Jednym z narzędzi służących operacji podminienia Kościoła jest swoiście rozumiane „miłosierdzie”. W imię takiej karykatury miłosierdzia postuluje się zmianę istotnych elementów dotychczasowej nauki Kościoła, żeby nikomu nie było przykro, żeby



nikt nie czuł się odrzucony. Oczywiście „nikomu” jest dosyć umowne, bo to „starsi i mądrzejsi” decydują, komu nie może być przykro, a komu może, a nawet powinno. Jezus okazał grzesznicy miłosierdzie i powiedział: „Idź, a od tej chwili już nie grzesz więcej” (J 8,11). Nowa religia w imię miłosierdzia zdaje się twierdzić: „Idź i rób, co chcesz”. Ale to nie jest takie bezwarunkowe „rób, co chcesz”. Wszak tworzy się nowe prawdy, przykazania i biada tym, którzy się do nich nie dostosują. Powiesz, że tylko kobieta może mieć miesiączkę, to zostaniesz oskarżony o nienawiść wobec osób transseksualnych. Bronisz jako żołnierz polskich granic przed ludźmi rzucającymi w ciebie kamieniami, to nazwą cię mordercą i śmieciem. I proszę zauważyć – to wszystko w imię miłosierdzia i niewykluczania. Czuć w tym przebiegłość antycznego

węża, szatana, który przekręca znaczenia i sensy.

Na ile, w ojcza opinii, przemówienia biskupów i polskiego episkopatu pomogły wiernym wyrobić sobie jasne stanowisko w sytuacji, gdy Polska została zaatakowana w wojnie hybrydowej?

Różnych wypowiedzi ze strony duchownych i biskupów na ten temat nie brakowało. Powiedziałbym, że ich główny nurt sprowadza się do próby połączenia dwóch rzeczy, które nie zawsze dają się połączyć. Z jednej strony wezwania do solidarności z migrantami koczującymi na granicy i niesienia im różnorakiej pomocy, a z drugiej potępienie wykorzystywania przez stronę białoruską migrantów do działań przeciwko suwerenności Polski. Tu zresztą wychodzi pewna słabość doktryny społecznej Kościoła w ogóle, która – chcąc dogodzić

wszystkim – sprowadza się niekiedy do stwierdzenia „aby było dobrze z każdego punktu widzenia”. Tyle że to nie zawsze jest możliwe. Trzeba się zdecydować, czy stoimy za polską Strażą Graniczną, za polskimi żołnierzami, czy też de facto pośrednio ich oskarżamy o to, że nie wpuszczają głodnych i zmarzniętych ludzi do Polski. W tym konkretnym przypadku mamy do czynienia z migrantami, którzy zapłacili sporo pieniędzy, by dostać się samolotami ze swoich krajów do Mińska. Ci ludzie zostali przez służby białoruskie doprowadzeni na granicę z Polską. Co więcej, są instruowani, co robić, jak niszczyć ogrodzenie, jak prowokować polskie służby.

I to robią.

Tak. Niekiedy z wielką agresją. Ci młodzi mężczyźni są odpowiedzialni za przestępstwa, których się dopuszczają. Nie da się tego usprawiedliwić retoryką, że to biedni, wykorzystywani migranci. Wszak musieli podjąć wiele decyzji, by się znaleźć na granicy. I wcale nie byli do tego zmuszeni. Nieliczne kobiety i dzieci są zaś wykorzystywane do różnych ustawek, z których robi się filmiki. Widzę, jak to działa we Włoszech. Biedna kobieta z przerażonym dzieckiem w lesie i komentarz, że zagubili się w pasie między Białorusią a Polską, która nie chce ich przyjąć. I mało kto z włoskich widzów zadaje sobie pytanie, jak owa kobieta tam się znalazła i co to znaczy, że się zgubiła, skoro ktoś ją filmował, i jak to się stało, że filmik od razu znalazł się w telewizjach na Zachodzie. Pomijając już fakt, że żadnego niczyjzego pasa między Białorusią a Polską nie ma. A zatem duchowni, zanim coś powiedzą, powinni się zastanowić, czy na pewno chcą wspierać tego rodzaju propagandę typową dla wojny hybrydowej odwołującej się do humanitaryzmu. I co konkretnego miałyby wynikać z tego, że potępiają działania Łukaszenki i stojącego za nim Putina.

Jak ojciec komentuje słowa sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej abp. Paula R. Gallaghera wypowiedziane w Moskwie? Zachęcał on „władze do przyjęcia odpowiedzialności za migrantów i uchodźców”. Zabrzmiąło

to, jak krytyka polskiego rządu, wypowiedziana w obecności szefa rosyjskiej dyplomacji.

Nie wiemy, co abp Gallagher powiedział Ławrowowi w cztery oczy. Można mieć nadzieję, że padły inne słowa niż podczas publicznej konferencji. Cóż! Takie są prawa dyplomacji. Niemniej jednak nie można bagatelizować tego, co zostało powiedziane publicznie, bo to właśnie poszło w świat. Z tego punktu widzenia odnoszę wrażenie, że postawa abp. Gallaghiera wpisuje się w tradycję watykańskiej Ostpolitik sprzed czasów Jana Pawła II. Tradycje ani udane, ani chwalebne. Oparte w pewnej mierze na naiwnym przekonaniu, że jak okazemy się mili, to i druga strona będzie miła, a także na jakiejś włoskiej czy – szerzej – zachodniej słabości wobec wielkiej, tajemniczej Rosji. Czymś odpowiadającym rzeczywistości byłby przyjazd wysłannika Stolicy Apostolskiej do Polski i krytyka wojny hybrydowej wywołanej przez Białoruś i popieranej przez Moskwę. Trzeba jednak pamiętać, że Stolica Apostolska musi brać pod uwagę dobro katolików mieszkających w Rosji i na Białorusi. Wszak mamy do czynienia z dyktatorami, którzy za mocniejsze słowa ze strony Watykanu gotowi byłiby się mścić na rodzimych katolikach.

Co do przejścia przez władze odpowiedzialności za migrantów, to trzeba powiedzieć, że także migranci powinni być odpowiedzialni za siebie i za swoje rodziny. Wysyłanie żony i dziecka do lasu, by im zrobiono zdjęcia, nie wydaje mi się wyrazem troski o rodzinę. Odpowiedzialność spoczywa także na tych, którzy sprowadzili tysiące ludzi samolotami do Mińska, obiecując gruszki na wierzbie. Wpuszczanie ich do Polski to żadna odpowiedzialność, ale uleganie Łukaszenko i Putinowi, a także generowanie kolejnych przerzutów ludzi na granice. A kolejnych masowych przerzutów chcą m.in. tacy macherzy jak Soros.

Oprócz wojny hybrydowej na wschodzie polski rząd walczy obecnie z szantażującymi go instytucjami Unii Europejskiej. Stawką jest polska suwerenność. Czy Kościół w Polsce powinien wyraźniej poprzeć rząd?

Raz po raz używamy tutaj słowa „Kościół”. Musimy tak robić, bo inaczej trudno byłoby rozmawiać. Niemniej jednak warto sobie uświadomić, o czym właściwie mówimy, kiedy używamy pojęcia „Kościół”. To wiele milionów katolików, którzy różnie swój katolicyzm przeżywają i w wielu sprawach mają różne poglądy. Ponadto mamy obecnie ok. 25 tys. księży diecezjalnych, z czego ok. 3 tys. pracuje w krajach Europy Zachodniej i na misjach. Jest także ok. 9 tys. księży zakonnych. A biskupów mamy ok. 130. Duchowni mają różne poglądy społeczno-polityczne. Media liberalno-lewicowe wmawiają ludziom, że Kościół jest zblatowany z PiS. Nie jest to prawda, ale taka manipulacja ma służyć

Uważam, że Kościół hierarchiczny powinien wspierać polskie władze w sporach z Unią Europejską

temu, żeby niektórzy się przestraszyli i zaczęli udowodniać, że oni są daleko od PiS. Albo przynajmniej głosić, że mają taki sam dystans do lewicy i do prawicy. Czego osobiście nijak nie rozumiem, bo jak można mieć taki sam dystans np. do posłanek gardlujących w PE, że w Polsce łamane są prawa kobiet z powodu ograniczeń aborcji, a z drugiej strony do posłanek, które mają odwagę mówić, że aborcja jest złem. I tutaj dochodzę do pańskiego pytania. Uważam, że Kościół hierarchiczny powinien wspierać polskie władze w sporach z UE, bo widać ewidentnie, że niechęć, a wręcz nienawiść do Polski demonstrowana przez europejskie elity nie ma nic wspólnego z obroną praworządności, za to ma wiele wspólnego z obsesją narzucania wszystkim liberalno-lewicowych, antychrześcijańskich ideologii.

Polska konserwatywna, broniąca swej tożsamości, odwołująca się pozytywnie do katolicyzmu irytuje i jest uznawana za obiekt do bicia. A jak ktoś chce bić, to bat zawsze się znajdzie. Wsparcie ze

strony Kościoła powinno być jednak wyważone, powiedziałbym – przebiegłe, aby zminimalizować możliwość ataków, które i tak będą, że Kościół miesza się w politykę. Swoją drogą ciekawe, że mieszaniami się w politykę nigdy nie jest nazywane poparcie ze strony jakiegoś duchownego dla lewicowo-liberalnych ideologii. Wtedy mówi się o otwarciu, dialogu, odpowiedzialności.

Powstaje jednak pytanie, jak ważny jest dziś w Polsce głos Kościoła, w tym duchowieństwa i świeckich? Pojawiają się teorie, że głos katolicki stracił swoją moc i wpływ na narrację publiczną.

Żeby się zastanawiać nad siłą głosu Kościoła w Polsce, najpierw trzeba by określić, gdzie ten głos można usłyszeć i kto go właściwie wypowiada. Minęły czasy, kiedy głos Kościoła można było utożsamiać z jedną osobą, najpierw z kard. Stefanem Wyszyńskim, a potem z Janem Pawłem II. Teraz wszystko jest skomplikowane. Różne środowiska, różne grupy, także w episkopacie. A zatem być może ma rację kard. Robert Sarah, który stwierdził, że dziś „jeden episkopat mówi jedno, drugi drugie. Jeden biskup mówi jedno, drugi mówi coś innego, a wierni są zdezorientowani. To prawdziwy kryzys kapłaństwa”. A zatem problemem nie jest to, czy głos Kościoła jest ważny, czy też nieważny, ale że ten głos się rozmył. Nawet w takiej sprawie jak obrona życia nie ma jedności i nie jeden duchowny kręcił nosem, że bez sensu to zabranianie aborcji eugenicznej. Pyta pan o świeckich. Tyle że są świeccy czytający „Tygodnik Powszechny”, ale są też wierni słuchający Radia Maryja i wielu innych, którzy nie mieszczą się w żadnej z tych kategorii.

Czy Kościół w Polsce jest w poważnym kryzysie?

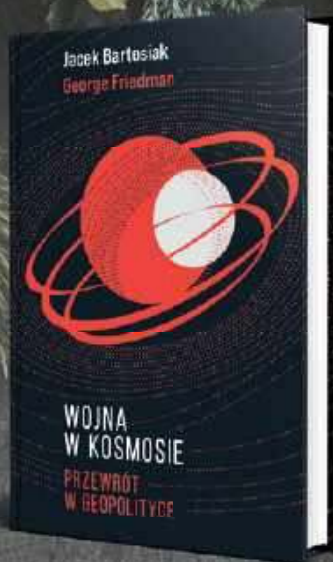
Czy mamy kryzys? Niewątpliwie tak, ale kiedy kryzysu Kościoła nie było? Jak czytamy Ewangelię, to sam Jezus zapowiada różnorakie kryzysy, a nawet pyta się retorycznie, czy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie. Jednak Jezus zapewnia nas, że bramy piekielne Kościoła nie przemogą, a on sam będzie z nami po wszystkie dni aż do skończenia świata.

Nowości

wydawnicze!

WARTOŚCIOWE PREZENTY ŚWIĄTECZNE

Szukaj
w księgarni
internetowej
xlm.pl



Bestseller!

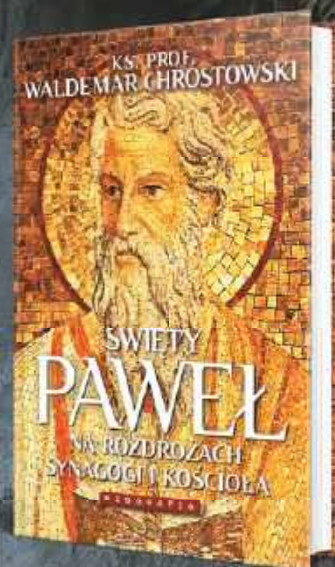
Książka autorstwa Jacka Bartosiaka

Opowieść o wojnie i pokoju.
Na ziemi i w kosmosie.

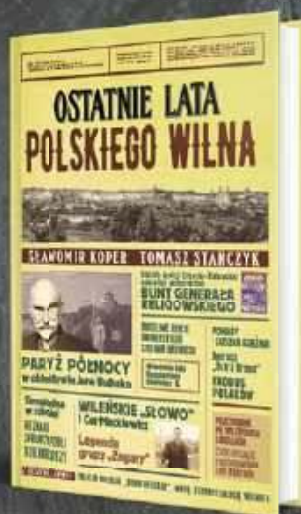
Bestseller!

Znakomita biografia św. Pawła,

autorstwa jednego z najwybitniejszych polskich biblistów –
Ks. Prof. Waldemara Chrostowskiego.



**Dostępne
w pakiecie**



Bestsellerowa seria książek o historii polskich Kresów autorstwa Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka

Znani popularyzatorzy historii Sławomir Koper i Tomasz Stańczyk udowadniają po raz kolejny, że magię miejsc, urodę przyrody, słynną otwartość mieszkańców i legendę Kresów można przełożyć na język zrozumiały dla współczesnego pokolenia.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji
Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

**Książki dostępne
na www.xlm.pl**


XLM.PL

Disneyland w Notre Dame?

Czy najświętniejszy kościół we Francji, nazywany centrum duchowym kraju, zatraci swój sakralny charakter, stając się kolejnym ośrodkiem kultury masowej i poprawności politycznej?

Są takie dni, które ludzie zapamiętują do końca życia. Dzieje się tak wówczas, gdy dowiadują się o jakimś niezwykłym, wstrząsającym wydarzeniu i przez lata dokładnie pamiętają, gdzie i w jakich okolicznościach zastała ich ta wiadomość. Tak było m.in. z atakiem terrorystycznym na World Trade Center 11 września 2001 r. Tak było też 10 kwietnia 2010 r. w Polsce, gdy doszło do katastrofy smoleńskiej. Dla Francuzów, a zapewne i dla wielu katolików na całym świecie, taką datą był 15 kwietnia 2019 r.

Tamtego dnia doszło w Paryżu do pożaru i zniszczenia jednego z najbardziej rozpoznawalnych kościołów na naszym globie – bazyliki Notre Dame. Na wieść o tragedii prezydent Emmanuel Macron wyznał, że jest „smutny, widząc, jak spala się część nas”, jak „płonie symbol naszej tożsamości”.

DUCHOWE CENTRUM FRANCJI

Przywódca Francji miał rację, nazywając stołeczną katedrę symbolem francuskiej tożsamości. Jeśli mielibyśmy bowiem wybrać obiekt, w który najpełniej wcieliła się dusza Francji, musielibyśmy niewątpliwie wskazać na Notre Dame. Z jednej strony jest to perła gotyckiej architektury średniowiecznej, będąca strzelistą pochwałą na cześć Boga oraz hołdem artystycznego geniuszu złożonym Maryi, natomiast z drugiej strony mamy do



GRZEGORZ GÓRNY

czynienia z kościołem, którego dzieje spłotyły się nierozdzielnie z losami Francji, jego wnętrze zaś stało się miejscem wielu niezwykłych wydarzeń. Wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę świątyni na paryskiej wyspie Île de la Cité na Sekwanie odbyło się w czerwcu 1163 r. w obecności papieża Aleksandra III, który specjalnie z tej okazji przybył do Francji. Wznoszenie imponującej sakralnej konstrukcji, wypełnionej od wewnątrz i na zewnątrz kunsztowną ornamentyką, zajęło ponad 200 lat. Był to okres, który przeszedł do historii Europy pod nazwą „czasu katedr”. Jak pisał Zbigniew Herbert: „Miliony, miliony ton kamienia. W ciągu trzech stuleci od XI do XIV wieku wydobyto we Francji więcej tego materiału niż w starożytnym Egipcie, kraju gigantycznych budowli. Osiemdziesiąt katedr i pięćset wielkich kościołów, jakie zbudowano w tym okresie, zebrane razem tworzyłyby łańcuch górski wzniesiony ręką człowieka”.

W tym pejzażu szczególnie wyróżniała się paryska bazylika Notre Dame,

uważana przez wielu architektów i historyków sztuki za najpiękniejszą z francuskich świątyń. Przez kolejne wieki pełniła funkcję nie tylko kościoła parafialnego królów, lecz także stanowiła duchowe centrum kraju. Nieprzypadkowo stała się więc areną konfrontacji z siłami, które postanowiły zniszczyć katolicką tożsamość Francji i zastąpić ją nową – rewolucyjną, świecką, republikańską.

W OGNIU REWOLUCJI

Podczas rewolucji francuskiej, 2 listopada 1789 r., katedra została odebrana Kościołowi i znacjonalizowana. 12 lipca 1790 r. Konstytuanta przegłosowała tzw. konstytucję cywilną kleru, która czyniła wszystkich biskupów i proboszczów urzędnikami państwowymi. Mogli objąć swe stanowiska jedynie na skutek wyborów, w których mieli prawo uczestniczyć nie tylko katolicy, lecz wszyscy obywatele danego departamentu, w tym protestanci, żydzi czy ateści. Od wszystkich duchownych we Francji zażądano złożenia przysięgi na wierność antyklerykalnej konstytucji. Kto tego nie zrobił, zostawał pozbawiony praw wykonywania posługi kapłańskiej.

Metropolita paryski abp Antoine-Éléonor-Léon Leclerc de Juigné zdecydowanie odmówił i udał się na emigrację. Na jego miejsce wybrany został biskup pomocniczy Bazylei Jean-Baptiste Gobel,



który jako pierwszy hierarcha francuski złożył przysięgę na konstytucję cywilną kleru. Zasłynął jako aktywny członek klubu jakobinów, obnoszący się ze swym antyklerykalizmem i domagający się zniesienia celibatu księży. 7 listopada 1793 r. wyrzekł się kapłaństwa, oświadczając, że czyni to z miłości i szacunku do ludzi. Mimo żarliwego oddania sprawie rewolucji padł ofiarą wewnętrznych rozgrywek między zwalczającymi się frakcjami w obozie władzy. Jest jakimś paradoksem historii, że został wówczas oskarżony o ateizm przez deistów, choć sam nigdy ateistą nie był. Skończył na gilotynie 13 kwietnia 1794 r. Przed egzekucją pragnął wyznać grzechy, lecz nie

dopuszczono do niego kapłana. Wysłał więc z celi śmierci list do wikariusza biskupiego François-Josepha Lothringera, w którym dokonał spowiedzi na piśmie. Pisał m.in.: „Za kilka dni odpłacę z łaski Bożej wszystkie moje zbrodnie i przewinienia przeciwko Jego świętej religii”.

Sama katedra stała się podczas rewolucji obiektem wielu aktów wandalizmu. Niszczono w niej obrazy, rzeźby i płaskorzeźby. Tam, gdzie znajdowały się wizerunki świętych, zawisły portrety nowych bohaterów: Marata, Robespierre’a, Saint-Justa. Do szczególnego aktu profanacji doszło 10 listopada 1793 r., gdy Konwent Narodowy zniósł kult katolicki. Tego dnia bazylika zamieniona została w Świątynię

Rozumu. W prezbiterium wzniesiono imitację Olimpu, na którego szczycie jako bogini rozumu stała niejaka Mademoiselle Maillard – tancerka paryskiej opery ubrana w białą suknię, błękitny płaszcz i czerwony czepek. Gdy zasiadła na tronie, w świątyni zabrzmiał „Hymn do wolności”. Dwa tygodnie później bazylika zamieniona została na skład wina.

Wydawało się, że katedra podzieli los wielu kościołów we Francji, skazanych na zagładę. Uratowała ją opinia jednego z naukowców, który przypomniał rewolucjonistom, iż niegdyś na miejscu Notre Dame znajdowała się pogańska świątynia. Dzięki temu bazylika okazała się jedną z dwóch budowli sakralnych na Île de la

Cité, które przetrwały rewolucję. Pozostałych 15 zostało zburzonych.

POWRÓT DO GOTYKU

W 1802 r. po podpisaniu przez Napoleona konkordatu ze Stolicą Apostolską katedra znów stała się własnością Kościoła. Dwa lata później w jej wnętrzu, w obecności papieża Piusa VII, Bonaparte sam nałożył sobie na głowę koronę i ogłosił się cesarzem Francuzów. W tym samym roku do skarbcza bazyliki przeniesiono jedną z najcenniejszych relikwii chrześcijaństwa – koronę cierniową Jezusa, która wcześniej znajdowała się w paryskiej kaplicy Sainte-Chapelle, zniszczonej i splądrowanej przez rewolucjonistów.

W 1831 r. Wiktor Hugo opublikował swą głośną powieść „Katedra Maryi Panny w Paryżu”, znaną także jako „Dzwonnik z Notre Dame”. Utwór opisujący XV-wieczną Francję szybko stał się światowym bestsellerem. W ojczyźnie pisarza spowodował renesans zainteresowania średniowiecznym dziedzictwem kraju, lekceważonym przez elity wychowane na filozofii oświeceniowej.

Był to okres, w którym władze Paryża poważnie rozważały możliwość całkowitego wyburzenia katedry, znajdującej się w stanie ruiny. Romantyczna powieść Hugo udaremniła te zamiary. Przywróciła zdewastowaną świątynię świadomości zbiorowej Francuzów. Dzięki niej powstał ruch społeczny na rzecz odbudowy bazyliki. Do idei udało się przekonać parlamentarzystów, którzy uchwalili ustawę o restauracji kościoła. Doszło do tego w latach 1845–1864. Przywrócono wówczas świątyni jej nadszarpięty gotycki kształt.

Kolejna rewolucja znów przyniosła atak na katedrę. Podczas Komuny Paryskiej w 1871 r. podpalono ławki i krzesła znajdujące się w kościele, jednak pożar szybko udało się ugasić i nie spowodował on większych szkód. Bazylika przetrwała bez większego uszczerbku także dwie wojny światowe – nie licząc drobnego epizodu, gdy 11 października 1914 r. spadła na nią bomba zrzucona z niemieckiego samolotu.

WALKA DUCHOWA TRWA

Bazylika Notre Dame stała się areną walki duchowej także w naszym stuleciu. W lutym 2013 r. półnagie aktywistki z or-

ganizacji Femen przeprowadziły okupację kościoła, by świętować w jego wnętrzu rezygnację Benedykta XVI. Na piersiach i plecach miały wymalowane napisy: „Pope no more”, „No homophobes”, „Bye, bye, Benedict”, „Pope game over” czy „In gay we trust”.

Trzy miesiące później na placu przed katedrą zastrzelił się 78-letni Dominique Venner, historyk i eseista, uważany za jednego z czołowych przedstawicieli Nouvelle Droite – francuskiej nowej prawicy. Samobójstwo było rozpaczliwym aktem protestu przeciw zmianom cywilizacyjnym i kulturowym drążącym współczesną Francję, takim jak demon-taż rodziny, prawa małżeńskie dla par homoseksualnych czy multikulturalizm i islamizacja życia publicznego. W liście pożegnalnym Venner, który był osobą niewierzącą, napisał: „Oddaję to, co pozostało mi z życia, by zaprotestować. Wybrałem symboliczne miejsce – katedrę Notre Dame w Paryżu, którą szanuję i podziwiam. Została zbudowana za sprawą geniuszu moich przodków w świętym miejscu dawnych kultów, przypominających o naszym najodleglejszym dziedzictwie”.

Jego gest nie zrobił jednak na Francuzach większego wrażenia. Znacznie większym wstrząsem był dla nich pożar bazyliki w 2019 r. Niektórzy komentatorzy pisali o symbolicznym wymiarze tego wydarzenia: świątynia, która była budowana przez 200 lat, spłonęła w ciągu zaledwie kilku godzin. To jakby alegoria Kościoła katolickiego we Francji, który rozwijał się prężnie przez ponad 1500 lat, by w błyskawicznym tempie ulec gwałtownej sekularyzacji. Wspomniany proces dotknął także tamtejsze duchowieństwo. Jak mówi francuska filozof Chantal Delsol: „Gdybyś oświadczył zgromadzeniu biskupów, że chrześcijaństwo umarło, myślę, że w swoim wnętrzu odpowiedzieliby: »Gratulacje. Najwyższy czas«”.

DISNEYLAND W NOTRE DAME?

Nowy rozdział w dziejach bazyliki zacznie się po gruntownej restauracji, która pierwotnie miała usunąć ślady pożaru i przywrócić kościołowi poprzedni kształt. Niedawno okazało się jednak, że renowacja polegać będzie na prawdziwie rewolucyjnych zmianach. Do planów odbudowy katedry dotarł „Daily Telegraph”. Wynika

z nich, że z wnętrza świątyni mają zniknąć dawne ołtarze, konfesjonały i rzeźby. Zamiast tego pojawiają się nowoczesne dzieła, murale i oświetlenie z efektami dźwiękowymi. Na ścianach znajdują się też cytaty z Biblii w różnych językach, mające edukować turystów w sprawach niezwiązanych z religią, takich jak np. globalne ocieplenie.

Jest jakimś znakiem czasu, że najbardziej za tymi zmianami opowiadają się duchowni, jak np. metropolita Paryża abp Michel Aupetit czy kanonik katedry ks. Gilles Drouin, natomiast najmocniej protestują przeciwko nim świeccy, np. architekt Maurice Culot, który powiedział: „To jakby Disney wszedł do Notre Dame. To, co proponują dla Notre Dame, nigdy nie zostałyby zrobione w opactwie westminsterskim czy bazylice Świętego Piotra w Rzymie. To coś w rodzaju wesołego miasteczka, bardzo dzieciennego i trywialnego, biorąc pod uwagę podniosły charakter tego miejsca”.

Jeśli paryska katedra ma odzwierciedlać tożsamość narodową Francji, to co proponowane zmiany mówią nam o tej tożsamości? Co mówią o duchowości tamtejszego kleru? Czy sztuka zastąpiona zostanie kiczem? Czy głębia życia duchowego ustąpi miejsca powierzchownym przeżyciom? Czy w takim Disneylandzie będzie możliwe doświadczenie duchowe, jakie stało się udziałem Paula Claudela w mrocznym wnętrzu bazyliki w roku 1886?

Poeta znalazł się tam w święto Bożego Narodzenia, gdy trwały akurat nieszpory. Jak wspominał, chór chłopców intonował „właśnie to, co, jak później się dowiedziałem, zwie się Magnificat. Stałem w tłumie, przy drugim filarze, u wejścia do prezbiterium, na prawo od zakrystii. I wtedy właśnie nastąpiło wydarzenie, które panuje nad całym moim życiem. W jednej chwili poruszyło się moje serce i uwierzyłem. Uwierzyłem z taką mocą zgody na tę wiarę, z takim wewnętrznym uniesieniem, z tak niezbitym przekonaniem, z taką pewnością, niepozostawiającą miejsca na jakikolwiek rodzaj wątpliwości, że później już żadne książki, żadne rozumowania, żadne przypadki niespokojnego życia nie zdołały zachwiać mojej wiary ani też, prawdę mówiąc, jej naruszyć. Przeszyło mnie nagle uczucie niewinności, uczucie wiecznego dzieciństwa Bożego, jakiegoś niewypowiedzianego objawienia”.



12 grudnia

**kalendarz ścienny
z fotografiami
świętyń**



19 grudnia

**rodzinny śpiewnik
kolędowy
wraz z obrzędem
wieczery wigilijnej**



Boże Narodzenie

**zwiększona objętość „Niedzieli” – aż 92 strony!
modlitewnik z kalendarzem katolika na 2022 r.**



Świat drży w posadach? Coś naprawdę poważnego dzieje się w relacjach międzynarodowych wokół Polski? Z jednej strony liczne alarmy stępiły naszą wrażliwość na takie informacje, z drugiej – trudno nie dostrzec, że coraz więcej starć, konfliktów, sięgania po przemoc. Mamy powody do obaw?

Ryszard Czarnecki: Tak, zmiany są wyraźne i zasadnicze. Oczywiście nie jest to jakieś jedno wydarzenie, jakiś konkretny element, ale trwający już od pewnego czasu proces, który jednak bardzo przyspieszył po wybuchu pandemii i wyborze Josepha Robinette’a Bidena na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jakie są źródła tego przyspieszenia?

Przede wszystkim wzrost roli Chin, które zresztą zrobią bardzo wiele, by nie dopuścić do jakiegokolwiek wojny, a już na pewno światowej. Wszystko pracuje na ich korzyść. Dokonują wielu niewyobrażalnych wcześniej politycznych zbliżeń, jak teraz z Koreą Południową, do niedawna

Oni są w szoku, że tak urosliśmy

Konflikt Unii Europejskiej z Polską będzie trwał. Uważam, że jest permanentny. Polska urosła tak mocno, że główni gracze w UE będą szukali pretekstów, byle tylko móc hamować nasze pełnoprawne wejście do gry

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Ryszardem Czarneckim, politykiem Prawa i Sprawiedliwości, posłem do Parlamentu Europejskiego

państwem jednoznacznie w amerykańskiej strefie wpływów.

Czyli w pana opinii Chiny nie popełnią błędu cesarskich Niemiec, które parły do I wojny światowej, choć

z każdym rokiem pokoju zwiększały przewagę?

Chińczycy rozumieją procesy, które obserwujemy. Planują na dekady do przodu, więc jakieś niosące niewiadomą przesilenie militarne nie jest im

na rękę. Wolą krok po kroku zdobywać pozycję w Afryce, Europie i u siebie, w Azji. Dobrym przykładem jest Kirgistan, zadłużony po uszy w Chinach, niezdolny do zwrotu długów, stojący się w szybkim tempie państwem formalnie niepodległym, faktycznie niemal całkowicie zależnym od Pekinu.

Jaki powinien być stosunek Polski – i szerzej Europy – do rosnącej potęgi chińskiej?

To jedno z kluczowych pytań dla polskiej polityki zagranicznej. Uważam, że powinniśmy bardzo pilnować sojuszu z USA, który dla nas jest podstawą, wręcz dogmatem, gdy chodzi o bezpieczeństwo. To nie oznacza jednak, że mamy być pasem transmisyjnym we wszystkich politycznych działaniach i pomysłach USA. Spójrzmy na Niemcy: głosują zawsze, co pół roku, na szczytach Rady Europejskiej za sankcjami wobec Rosji, a jednocześnie potrafią tak dywersyfikować swoją politykę, iż robią najlepsze interesy z całej Unii z tą samą Rosją.

Premier Orbán miał ostatnio podobną wypowiedź. Stwierdził, że Amerykanie namawiają Europę do ostrego kursu wobec Chin, a same robią z nimi coraz większe interesy.

Prezydent Biden utrzymał wprowadzoną przez prezydenta Trumpa formułę, że Chiny są „strategicznym konkurentem USA”, choć skorygował nieco retorykę względem Pekinu. Bez wątplenia dla USA jest wygodne, aby amerykańscy sojusznicy w Europie i nie tylko stwarzali problemy Chińczykom. Należy podchodzić do tego z ostrożnością.

Pojawiają się obawy, czy na USA można polegać jak dawniej? Czy nie abdykują z roli światowego lidera?

Nie abdykują. Pax Americana trwa, to wciąż dla wielu gwarant bezpieczeństwa i największe mocarstwo. To, czego jesteśmy świadkami, to korekta rozlokowania sił i zmiana stref wpływów w związku z rosnącą potęgą Chin. Widać też zaskakującą zbieżność polityki administracji Bidena z tą prowadzoną przed laty

przez George'a Walkera Busha – to dwaj najbardziej proniemieccy przywódcy amerykańscy w ostatnim ćwierćwieczu.

Jaką rolę w naszych relacjach z USA mogą odegrać różnice ideologiczne? W administracji Bidena są ludzie ogarnięci rodzajem tęczowej misji.

Niebezpieczeństwo ustawiania w kącie Polski i Węgier z tych powodów jest realne, choć byłoby to na dłuższą metę bardzo złe dla samego Waszyngtonu. Takie próby pozycjonowania naszego kraju już były i spotkały się z jasną odpowiedzią. Tak samo zdecydowanie będziemy reagować w przyszło-

Nie stać nas na słabość, bo w tym świecie słabych traktują źle. Musimy realnie potwierdzić nominalną pozycję jednego z pięciu najważniejszych państw w UE – taki jest nasz potencjał

ści – tego też oczekują nasi wyborcy. Jednak dużo gorszą perspektywą jest możliwość wycofania się Stanów Zjednoczonych z Europy, właśnie z powodu wspomnianych wyżej korekt geopolitycznych. Momentem symbolicznym była ewakuacja z Afganistanu, która sama w sobie może nie była błędem, ale jej przebieg: oddanie bazy w Bagram, zostawienie najnowszego uzbrojenia wartego miliardy dolarów, styl tego panicznego odwrotu przypominał czasy największej słabości Ameryki.

Wietnam?

Takie były skojarzenia, choć oczywiście to wydarzenia trudne do porównania. Odwrot z Sajgonu był jednak, jak się okazało, lepiej zorganizowany. Tutaj doszły ogromne straty w sprzęcie, nie tylko wojskowym porzuconym w kompromitujący sposób. Teraz ten sprzęt służy wrogom wolności – Talibanowi. USA

wycofały się de facto przed talibami. A co na to Chiny? Podjęły z nimi współpracę gospodarczą i polityczną. Polityka międzynarodowa nie znosi próżni.

Co to wszystko oznacza?

Cofnięcie się Ameryki – oby nie trwale. Dalsze zwiększenie roli Chin, które cierpliwie czekają na wpadki Zachodu i je wykorzystują. Pewien, chwilowy raczej, wzrost znaczenia Rosji – niejako wbrew jej systematycznemu cofaniu się w ostatnich trzech dekadach. Choć mówiąc o tym ostatnim, trzeba pamiętać o tym, na co wskazywał śp. prezydent Lech Kaczyński i co pozostaje aktualne

– Rosja gra w polityce międzynarodowej znacznie powyżej tego, co ma w kartach. To kraj ze słabnącą jednak gospodarką, z problemami etnicznymi i religijnymi oraz napięciami społecznymi. Mają rosnące kłopoty ze swoimi muzułmanami, demograficzną i gospodarczą presję Chin na Syberii. Mimo to Putin potrafił wykorzystać koniunkturę po wycofaniu się Amerykanów z Kabulu, zwłaszcza w Azji Środkowej, graniczącej z Afganistanem.

Zgodzi się pan, że w tym regionie rośnie rola Turcji?

Absolutnie tak. Turcja wchodzi bardzo ekspansywnie już nie tylko do Azji postsowieckiej, choćby poprzez aktywnie działającą Tursoy, czyli organizację zrzeszającą państwa wywodzące się z kręgu języka i kultury tureckiej, w której skład wchodzi poza Turcją: Azerbejdżan, Uzbekistan, Kazachstan, Kirgistan, Turkmenistan. Turcja prowadzi mądrą i elastyczną politykę zagraniczną, z wykorzystaniem „soft diplomacy”. A od opozycji tureckiej ta w Polsce mogłaby się uczyć instynktu państwowego. Gdy podczas niedawnej wizyty w Turcji rozmawiałem z grupą parlamentarzystów z różnych, na co dzień bardzo skłóconych, partii, w sprawach polityki zagranicznej panowała demonstacyjna wręcz jedność.

Niedawno w Ankarze gościł prezydent Andrzej Duda, relacje wydawały się dobre. Ale potem premier Mateusz Morawiecki mówił

w Sejmie w gorzkich słowach o udziale Turcji w procederze zasilania migrantami Białorusi.

Spory zdarzają się także między przyjaciółmi. Chodziło o udział tureckich linii lotniczych w przewozie imigrantów. Sprawa została szybko rozwiązana. Nasze relacje z Turcją są bardzo dobre, kupiliśmy jako pierwszy kraj NATO i UE bardzo dobre tureckie drony, z powodzeniem wykorzystywane przez Ukraińców przeciw Rosjanom oraz na granicy Azerbejdżanu i Armenii.

Pojawiają się często tezy, że wyłaniający się nowy porządek światowy będzie przypominał koncert mocarstw z XVIII i XIX w., z coraz większą rolą siły militarnej. Pan się z tym zgadza?

Dwa razy tak, chociaż wciąż rola demografii w polityce międzynarodowej jest kluczowa. USA to wciąż największe mocarstwo, ale raczej coraz bardziej primus inter pares, pierwsze wśród, powiedzmy, równych niż bezapelacyjny hegemon, jak odtąd. Światowy „balance of power” – balans sił wydaje się stopniowo coraz bardziej wyrównany. A co do armii, to musimy – jako Polska – znacząco zwiększać wydatki na zbrojenia, ale jednocześnie rozważnie decydować, w co inwestujemy. Czy potrzebujemy bardzo silnej floty? Jaka obrona przeciwlotnicza będzie dla nas najbardziej efektywna? Musimy postępować racjonalnie, uważać, by nie wpakować się w ogromne wydatki niezwiększające w praktyce naszego bezpieczeństwa.

Popelniamy takie błędy?

To generalna przestroga. Rządy obozu patriotycznego wykorzystały ostatnie pięć lat chyba najlepiej, jak się dało. Praca domowa została odrobiona i mimo gorszych już teraz warunków na tym międzynarodowym boisku, mamy mocne atuty.

Opozycja grzmi, że jest odwrotnie – dorobek III RP w obszarze polityki zagranicznej został zaprzepaszczony.

To oczywiście nieprawda. Błędy popełnia każdy. Ale rzut oka na ostatnie kilkanaście lat pozwala dostrzec, kto kierował się polską racją stanu, a kto po prostu pracował na poklepanie



przez cudzoziemców po plecach i jakiś medal. Te efekty byłyby dużo większe, gdyby nie nasza podstawowa słabość: nieumiejętność opozycji w Polsce do wzniesienia się ponad podziały w obszarze polityki zagranicznej. To osłabia nas na arenie międzynarodowej i zaprasza „do tańca” czynniki zewnętrzne, wykorzystujące opozycję, grające nią na zimno, cynicznie.

Używają ich?

Nie mają żadnej wątpliwości, że to „pożyteczni idioci”. Pożyteczni, bo pracujący na rzecz obcych państw, z pożytkiem dla niechętnych wzrostowi polskiej potęgi. Z radością z nich korzystają.

Jakiś przykład?

Szturm na granicę Rzeczypospolitej. Dostrzeżenie przez władze w Mińsku, że nawet w obliczu ataku na polską granicę opozycja w Polsce uderza w rząd, podejmuje każdy podrzucony im fake news, w przeciwieństwie do opozycji na Litwie czy Łotwie, spowodowało skoncentrowanie właśnie na naszej granicy największej grupy imigrantów. Próbowali na Litwie, próbowali na Łotwie – ale tam była jednomyślność, gdy u nas wiele mediów i środowisk opozycyjnych w takiej czy innej formie poparło ten atak, kupiło bajkę o biednych „uchodźcach”.

Poparto nawet Czechów, którzy w sprawie Turowa uderzyli niezwykle brutalnie. Polska nie powinna była odpowiedzieć ostro?

W sprawie Turowa decydujące były jednak próby ucieczki premiera Babiśa spod wyborczego topora. Podobnie jak źródłem tak mocnego atakowania Polski przez komisarz Věře Jourovą, nominatkę właśnie także Babiśa, jest chęć odwrócenia uwagi od kłopotów odcho-

dzącego czeskiego premiera w związku z wydawaniem środków unijnych na jego własne firmy: premier Babiś zdecydował, że pieniądze z Brukseli szły do firm obywatela Babiśa.

Zgoda, że każdy ma jakiś brudny powód. Ale wrażenie, że wszyscy na nas skaczą, a my nie odpowiadamy, narasta.

Najkrócej mówiąc – bardzo urosliśmy jako państwo, zatem jesteśmy atakowani. Proste. Emancypacja tych, którzy do niedawna nie byli wyemancypowani, zawsze wzbudza sprzeciw. Jeżeli przez ćwierćwiecze, z małymi przerwami, państwo polskie przyzwyczajało bliższych i dalszych sąsiadów oraz Unię, że gra poniżej możliwości, godzi się na rolę państwa zaplecza z „tanią siłą roboczą”, jak to nieelegancko określano, wreszcie nigdy się Berlinowi i Brukseli nie sprzeciwia – to kiedy pojawia się władza pokazująca podmiotowość, reakcją jest szok. W windzie w Parlamencie Europejskim podsłuchano niegdyś ważnego polityka niemieckiego, który pokrzykiwał, że się tym Polakom w głowach poprzewracało, bo dostali tyle pieniędzy, a jeszcze dodatkowo uwierzyli, że naprawdę mogą o czymś współdecydować.

Możemy zmniejszyć poziom tego napięcia?

Na tym etapie tylko kosztem rezygnacji z ambicji. Ale wtedy cenę zapłacą Polacy, których przywróci się do roli pracowników konkurujących wyłącznie ich niskimi płacami.

Czy z Unią powinniśmy grać ostrzej, jak proponują minister Zbigniew Ziobro i Jacek Saryusz-Wolski? Wेतować choćby radykalne propozycje klimatyczne? A może kontynuować

linię szukania porozumienia, co konsekwentnie czyni premier Mateusz Morawiecki?

Uważam, że to są bardzo umowne pojęcia. To premier Morawiecki złożył do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o zbadanie relacji między polską konstytucją a traktatami unijnymi. Musimy być elastyczni, czasem twardzi, czasem kompromisowi. Taktyka rządu, mówiąc wprost, polegała na kupowaniu czasu. Po szczycie UE w grudniu niektórzy w rządzie uspokajali, że mamy dwa lata. Wtedy mówiłem, że to będzie jednak mniej czasu. Na moje, niestety, wyszło.

Czym to się skończy?

Konflikt UE-Polska będzie trwał. Uważam, że jest permanentny. Polska urosła tak mocno, że główni gracze w Unii będą szukali pretekstów – od mediów przez sądownictwo i praworządność po kornika drukarza w Puszczy Białowieskiej, byle tylko móc hamować nasze pełnoprawne wejście do gry. Chcą nam stworzyć nad głowami kolejne sufity, by osłabić magnes, jakim jesteśmy dla krajów naszego regionu i nie tylko jako kraj uporządkowany, sensowny, bez problemów z imigrantami, z silną gospodarką i dużym potencjałem demograficznym oraz militarnym. By okiełznać nasze narodowe i państwowe ambicje. Wiedzą, że pewnie nie cofną nas do czasów, gdy byliśmy krajem grzecznych Słowian, pracujących za byle jakie pieniądze, ale nie chcą dopuścić, byśmy jeszcze bardziej urosli. A co my na to? Musimy dalej robić swoje.

Próba zduszenia naszej ambicji wychodzi z Brukseli i Berlina, a od Wschodu atak na granicę. Można te dwie sprawy łączyć?

W tym sensie, że to, co robią Bruksela i Berlin, zachęca wschodnich agresorów. W świecie rosyjskojęzycznych mediów doniesienia o konflikcie UE z Polską są bardzo mocno nagłaśniane i zachęcają do prób testowania europejskiej jedności właśnie na tym od-

cinku. Ale przypomnę, że jednak werbalnie, politycznie, Unia nas poparła. Ofensywa dyplomatyczna prezydenta i premiera – spotkania z II przywódcami państwowymi w sześć dni – też miała swoją wagę.

Białoruś jest stracona? Na stałe wpadła w ręce Moskwy?

Łukaszenka długo próbował balansować, ale gdy społeczeństwo wypowiedziało mu posłuszeństwo, radykalnie skręcił ku Moskwie. To z naszego

Dostrzeżenie przez władze w Mińsku, że nawet w obliczu ataku na polską granicę opozycja w Polsce uderza w rząd, w przeciwieństwie do opozycji na Litwie czy Łotwie, spowodowało skoncentrowanie właśnie na naszej granicy największej grupy imigrantów

punktu widzenia, z perspektywy starą o wolność Białorusinów, duży regres. Ale w polityce międzynarodowej nie ma rzeczy ani procesów danych raz na zawsze.

Co nam ujawnił telefon Merkel do Łukaszenki i Putina w momencie, gdy odpieraliśmy, skutecznie zresztą, największy atak na granicę?

Nie uważam, że to tylko głupota, jak się często mniema w Polsce. To działanie świadome, wynikające z mojej opinii ze skrywanego poczucia winy za wydarzenia 2015 r., zafundowania Niemcom przez Merkel milionów nowych migrantów. Te telefony Frau Kanclerzin szły w kierunku przekonania Łukaszenki, żeby nie grał kartą migracyjną, w słusznym zresztą poczuciu, że gdyby granica Polski pękła, to miliony przybyszów i tak osta-

tecnie wylądowałyby w Niemczech. Oczywiście to nie zmienia skrajnie negatywnej oceny tych działań szefowej rządu RFN, jako łamiących elementarną europejską jedność. Swoją drogą, czego można się spodziewać po rządzie domykającym Nord Stream 2 w czasie, gdy Rosja najeżdża Ukrainę?

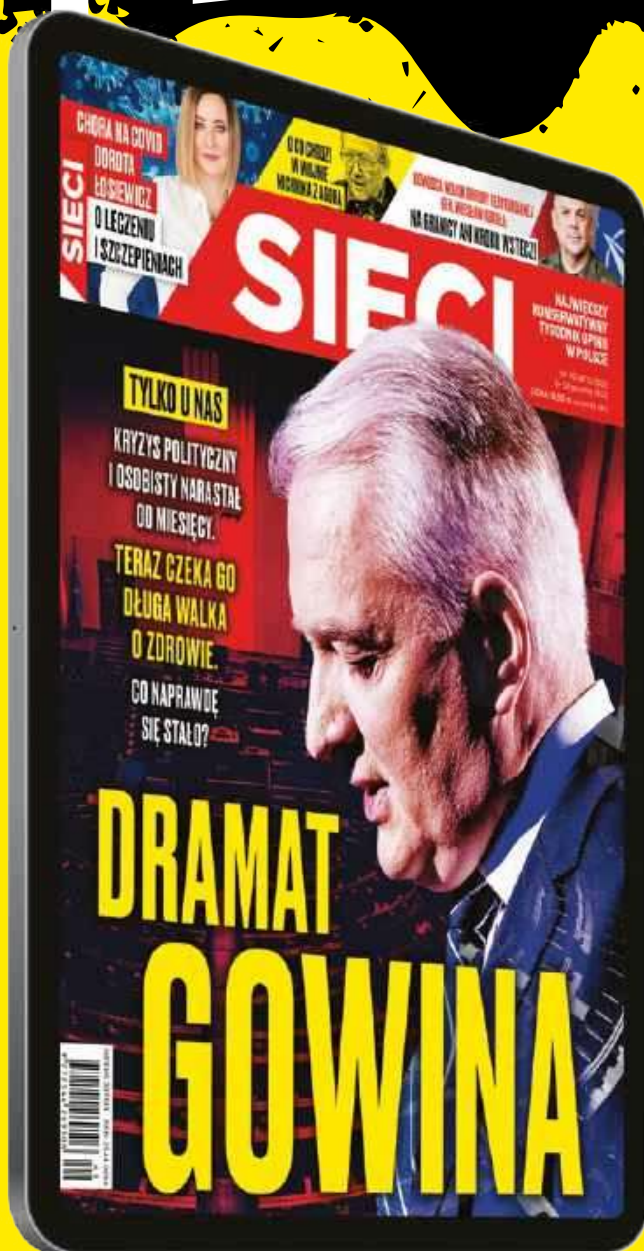
Co jest też chyba ponurą puentą koncepcji, żeby oprzeć polskie bezpieczeństwo wyłącznie na sojuszu z Niemcami. Nas też mogliby przehandlować.

Skazywanie Polski na rolę wagonika doczepionego do niemieckiej lokomotywy byłoby zgubą dla Polski, ale i dla... Unii. W tej formule dramatycznego minimalizmu ten pociąg nie pojedzie daleko i wykończy się z trzaskiem. Mam nadzieję, że Niemcy kiedyś przyjmą postulat, który sformułowałem już dość dawno: warunkiem trwałego sukcesu projektu Unii Europejskiej jest prawdziwe, podmiotowe porozumienie największego kraju „starej Unii”, czyli Niemiec, z największym krajem „nowej Unii”, czyli Polską.

Zaczęliśmy od pandemii, na niej skończymy. Czy w pana opinii jej skutki dla świata da się odwrócić? Cofnąć? Odzyskać stabilność?

Nie sądzę. Zaraza raczej na trwałe, a przynajmniej na bardzo długo zmienia strefy wpływów, uruchamia procesy, w których silniejsi mogą zyskać, a słabsi jeszcze bardziej zbiednieć. Dla nas to kolejne przypomnienie, że ceną za bierność będzie skokowa redukcja pozycji Polski, zubożenie Polaków. Nie stać nas na słabość, bo w tym świecie słabych traktują źle. Marzę o tym, byśmy osiągnęli pozycję państw takich jak Turcja i Francja, prowadzących naprawę samodzielną politykę w NATO. W Unii musimy realnie potwierdzić nominalną pozycję jednego z pięciu najważniejszych państw – taki jest nasz potencjał. Musimy też trwale inwestować w relacje z państwami, które w UE nie są, ale są dla nas ważne: Balkany, państwa strefy postsowieckiej, Kaukaz Południowy, Azję Środkową.

OSTATNIE DNI PROMOCJI!



E-PRENUMERATA

SIECI

+

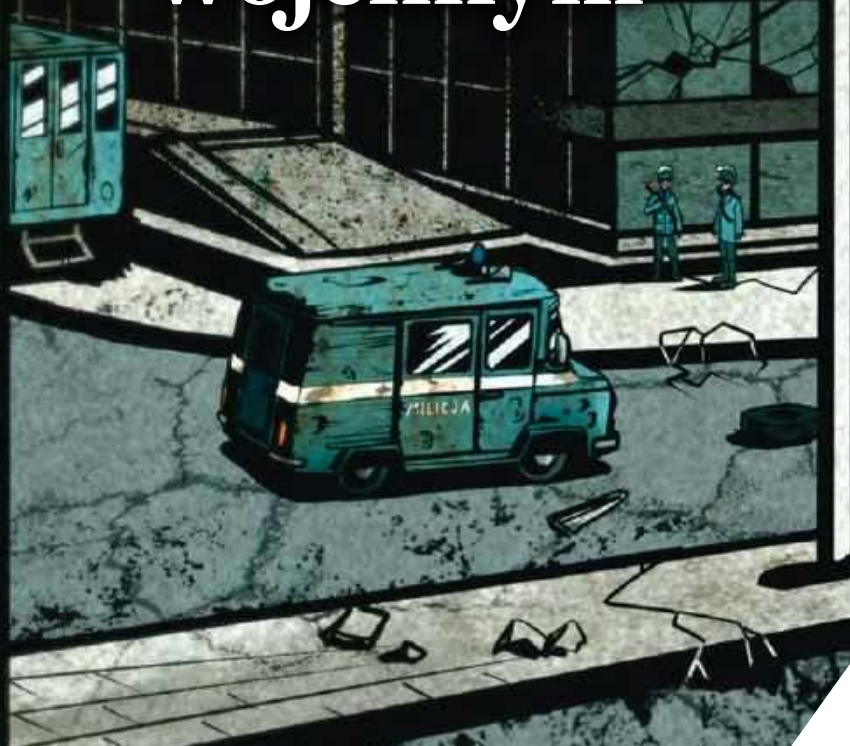
w **SIECI**

HISTORII

WYPRÓBUJ
ZA **1** zł →

Zrobiliśmy ten film, żeby przypomnieć, że stan wojenny to nie tylko 13 grudnia, pan w czarnych okularach i brak „Teleranka”. Chcieliśmy pokazać, że narracja, która rozwija się od lat – że były jakieś czołgi, że koksowniki, że ktoś dostał pałą w plecy, ale właściwie nic się nie stało... – jest zniekształcaniem przeszłości. To, co się wtedy działo, zostawiło ślad w życiu wielu ludzi – mówi Marek Bukowski

„Babilon”, czyli raport o stanie wojennym





**Z Markiem Bukowskim,
aktorem, reżyserem, scenarzystą,
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna**



**Co zapamiętał pan z 13 grudnia 1981 r.?
Gdzie pan wtedy był, co robił?**

Marek Bukowski: Byłem szczęśliwym 12-latkim, który na 99 proc. grał w nogę na boisku. Śnieg mi nie przeszkadzał. Jakbym mógł, kopałbym piłkę 24 godziny na dobę. To mnie w tym czasie fascynowało. O tym przede wszystkim myślałem, żyjąc w małym miasteczku Milicz pod Wrocławiem. Nie dostrzegałem niebezpieczeństwa wojny domowej ani grozy wprowadzonego stanu wojennego, chociaż jako dziecko czułem, że dzieje się coś niedobrego. Ojciec miał wtedy spore problemy. Musiało minąć parę lat, żebym zdał sobie sprawę, co się wtedy wydarzyło. Jak doświadczenie tamtego czasu było dojmujące i groźne, pokazał Marek Nowakowski w „Raporcie o stanie wojennym. Zapiskach z codzienności”.

Sięgnął pan do nich, by wyreżyserować „Babilon, raport o stanie wojennym”?

Zrobiliśmy ten film, żeby przypomnieć, że stan wojenny to nie tylko 13 grudnia, pan w czarnych okularach i brak „Teleranka”. Chcieliśmy pokazać, że narracja, która rozwija się od lat – że były jakieś czolgi, że koksoowniki, że ktoś dostał pałą w plecy, ale właściwie nic się nie stało... – jest zniekształcaniem przeszłości. To, co się wtedy działo, zostawiło ślad w życiu wielu ludzi.

Zdecydował się pan nakręcić film o stanie wojennym. Z jakiej perspektywy patrzył pan na wydarzenia sprzed czterech dekad?

Nie uzurpuję sobie prawa do oceny tamtego czasu. Wspólnie z Maciejem Dancewiczem zostaliśmy jedynie interpretatorami tego, co zapisał Marek Nowakowski. Przełożyliśmy jego obserwacje, oceny, odczucia na język filmu. Nie było to łatwe zadanie, bo materiał literacki jest bardzo ascetyczny, kameralny, pozbawiony emocji. Trzeba było poszukać tych emocji, dobudować obraz, połączyć odrębne fragmenty (opisujące wyimki losów bardzo różnych ludzi – hydraulika, lekarza, opozycjonisty, generała, zomowca, matki nastoletniego chłopca...) w filmową narrację.

TVP, jako producent, dawała szansę dostępu do przebogatych archiwów?

Dotarliśmy do bardzo ciekawych i różnorodnych materiałów, często takich, po które nikt wcześniej nie sięgał. Dzięki nim mogliśmy pokazać zupełnie inną skalę niż prezentowana do tej pory w tzw. mainstreamie. Chcieliśmy zrobić film nieoczywisty. Mam wrażenie, że to się udało. Wyszliśmy od surowej, charakterystycznej prozy Marka Nowakowskiego, dopełniając ją obrazem i muzyką. Także piosenkami.

Obok „Psalmu stojących w kolejce” pojawił się m.in. utwór Boney M. Czyba nie tylko dlatego, że pasował do tytułu?

Zachęcam do własnej interpretacji, szerszej niż ta, że „Rivers of Babylon” zawiera nazwę, która pojawiła się w ty-

tule jednego z opowiadań Marka Nowakowskiego. Zależało nam na uchwyceniu twórczego temperamentu autora i zachowaniu jego przenikliwych obserwacji. By połączyć wątki, rozbudowaliśmy historię jednego z bohaterów, Jacka.

Szymon, który go gra, ma 16 lat. Jak patrzy się na swojego syna, zwłaszcza w scenach zagrożenia, opresji? Nie zadrżało ojcowskie serce?

Przed wszystkim ten wybór nie był oczywisty. Szukaliśmy wśród bardzo wielu kandydatów, ale nawet ci nieźle wypadający przed kamerą mieli często... za mocno podgolone karki. Szymon nosił wtedy dłuższe włosy. Jako ojciec wiedziałem, jaki ma charakter, na co go stać, ale ostateczna decyzja obsadowa i tak nie należała do mnie. Co do scen, w których drży serce, to mam nadzieję, że takie odczucia będą mieć też widzowie. W moim przekonaniu Szymon sobie z nimi poradził.

Czy syn budował swoją postać, odwodząc się do Grzegorza Przemyka?

Inspiracją był raczej Emil Barchański, najmłodsza ofiara stanu wojennego, który zmarł w czerwcu 1982 r. Natomiast ja bardziej bazowałem na naturalnej emocjonalności Szymona, jego umiejętności kontaktu z ludźmi. Poza tym syn od lat jeździ konno i w stajniach spędził pół życia. Jest chłopakiem twardym, ogarniętym i zdyscyplinowanym. Tego też potrzebowałem. A dla niego było to nowe doświadczenie, czego się nauczył, chociaż – z tego, co widzę – nie

wiąże z tym planów na przyszłość. Jest w trzeciej klasie liceum.

Skąd pomysł na komiksowe przestylizowanie części scen?

Ponieważ w mrocznym świecie, który opisuje Nowakowski, trudno było znaleźć emocje, postanowiliśmy opowiedzieć nasz film poprzez nastoletniego bohatera, fana komiksów. Dzięki temu mogliśmy użyć mocniejszej i bardziej ekspresyjnej kreski. Dla nastoletniego Jacka świat, który go otacza, opresyjni zomowcy, absurd, który widzi wokół siebie, nienawiść, smutek, przygnębienie, poplątani i stłamszeni ludzie zmuszeni do życia w pogoni za papierem toaletowym... ten świat jest jeszcze bardziej niż w rzeczywistości przerysowany. A jednocześnie – jak u Nowakowskiego, który nie ocenia swoich postaci – u nas też nawet diaboliczny kapral, genialnie zagrany przez Maćka Mikołajczyka, nie jest wyłącznie zły. To człowiek uwikłany w okrutną, absurdalną sytuację.

„Babilon” to kolejny projekt, przy którym współpracował pan z Maciejem Dancerwiczem. Zaczęło się od kryminalnej powieści retro „Najdłuższa noc”

i jej scenariuszowej wersji do serialu „Belle Epoque”. A potem?

Stworzyliśmy kilkanaście scenariuszy. Filmowych i telewizyjnych. W tym roku, poza „Babilonem”, udało nam się zrealizować film o skoczku narciarskim oraz kurierze z czasów II wojny światowej Stanisławie Marusarzu (z Mateuszem Janickim w głównej roli). Premiera jeszcze przed nami.

Dobrze się w tym duecie dogadujecie?

Przyjaźnimy się i rozumiemy. Łączymy doświadczenie i wiedzę – moją filmową oraz Maćka literacką i historyczną. To Maciek przekonał mnie do przeszłości. Pokazał, jak można poprzez nią komentować teraźniejszość. Sprawdziło się to też w naszym spektaklu „Dołęga-Mostowicz. Kiedy zamykam oczy” [premiera w 2019 – przyp. red.], cyklu o przedwojennych sportowcach, nad którym pracujemy, i przy „Babilonie”.

Na dobre przechodzi pan na reżyserską stronę mocy?

Byłem po tej stronie od dawna. To, że w tym roku udało się wyreżyserować dwa fabularne filmy, to efekt starań, pisania i wielu projektów. Także tych, które nie doszły do skutku.

Rok 2021 zaczął pan aktorską „rocznicą”, a kończy – fabularną premierą i 60 wyreżyserowanymi odcinkami serialu „Leśniczówka” na koncie.

W sumie to już pewnie ze sto odcinków zrobiłem. „Leśniczówkę” reżyseruję od trzech lat.

Stanął pan też za kamerą „M jak miłość”, ale już w serialu „Na dobre i na złe” – z którym był pan związany od 2010 do 2018 r. i za rolę dr. Gawryły odebrał dwie Telekamery – nie. Dlaczego?

Reżyserowanie „Leśniczówki” uwielbiam. Mam w ekipie wielu przyjaciół. To także dzięki nim „nabiłem sobie reżyserską rękę”, bo cały czas mam okazję pracować i sprawdzać różne nowe rzeczy, natomiast wcześniej jakoś mi się to reżyserowanie serialu nie podobało. Myślę, że wszystko przyszło w odpowiednim momencie.

Pamięta pan siebie z 1991 r. i styczniowej premiery filmu Andrzeja Barańskiego „Nad rzeką, której nie ma”?

Przemili chłopiec. I nawet zdolny, ale nie poznaję w nim siebie. Teraz jestem zupełnie kimś innym.





Jeszcze jako student krakowskiej PWST (dyplom w 1992 r.) na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych odebrał pan (jako debiutant) nagrodę za główną rolę męską. Właśnie w filmie Barańskiego. Świetny start.

Coś takiego było? Niewiarygodne. I chyba jeszcze Nagrodę Zbyszka Cybulskiego wtedy dostałem.

Tę statuetkę odebrał pan w 1995 r. (była to ostatnia edycja nagrody przed dziesięcioletnią przerwą). Za jaki film? Bo chyba nie za „Kawalerskie życie na obczyźnie” z 1992 r. czy „Pożegnanie z Marią” z 1993 r.?

To bardzo dawne czasy. Nie pamiętam. Ale ta nagroda wtedy była bardzo prestiżowa.

Nadal jest. Kojarzy pan tegorocznych nominowanych: Marię Dębską, Piotra Trojana, Tomasza Włosoka, Tomasza Ziętkę i Magdalenę Koleśnik, która została laureatką?

Magda Koleśnik to doskonała, wielowymiarowa aktorka. Grała w moim spektaklu o Dołędze-Mostowiczu, ale gratuluję wszystkim wspaniałym nominowanym. Wszystkich ich znam i cenię.

Myśli pan, że młodym aktorom jest dziś trudniej czy łatwiej w zawodzie niż panu 30 lat temu?

Chyba tak samo. To zależy od człowieka. Życie w każdych czasach ma swoje dobre i złe strony. Każdy musi przez nie przejść. Mówi się co prawda, że dziś jest większa konkurencja, a zawód aktora przestał być tak prestiżowy jak dawniej, ale... myślę, że to nie ma znaczenia. Liczy się pasja.

Twierdzi pan, że nie pamięta Marka Bukowskiego z 1991 r., a tego o dekadę starszego, który debiutował jako reżyser filmu „Blok.pl”?

To był jeden z pierwszych, jeśli nie pierwszy film niezależny. Z czasem dorzuciły się jakieś instytucje, ale rozpoczęliśmy produkcję za prywatne pieniądze. Podobnie jak udział aktorów w reklamach to, że aktor zdecydował się na reżyserowanie, nie było wtedy dobrze widziane. Dziś przyjmowane jest w sposób naturalny i tak być powinno.

Rok 2021 zamyka pan premierą „Babilonu”, a co w roku 2022?

Na premierę czeka wspomniany wcześniej telewizyjny film o Stanisławie Marusarzu. Mamy napisanych kilka kolejnych scenariuszy o sportowcach dwudziestolecia międzywojennego, m.in. o pierwszej polskiej złotej olimpijce Halinie Konopackiej, Januszu Kusocińskim, Julianie Grunerze czy reprezentacji polskich szachistów. Przygotowujemy się też do kolejnego spektaklu Teatru TV według „Krawca” Sławomira Mrożka z Henrykiem Talem i Arturem Żmijewskim w głównych rolach. Ale oczywiście dziś myślę przede wszystkim o „Babilonie”, którego premiera kinowa już 7 grudnia.





Włącz Święta z ^{RMF} Classic

Teraz gramy tylko świąteczne przeboje
przez cały dzień!

rmfclassic.pl

Bóg tęskni za człowiekiem

Jestem aborygenem. Mam swój rytm, bo życie musi mieć rytm. Czas przeżywany co dzień tak samo staje się nie do zniesienia. Każda kultura tworzy więc rytuały. Od przynajmniej połowy XIX w. wykorzeniająca się europejska elita szukała społeczności integralnych, takich, w których życie przebiegało w rytm rytuałów. Inteligenci, którzy utracili wiarę, z podziwem patrzyli na Aborygenów, Masajów czy mieszkańców Wysp Polinezyjskich, zazdroszcząc im zakorzenienia w rzeczywistości. Nie rozumieli niestety, że wcześniej odrzucając liturgię, pozbawili się niewidzialnej busoli. Szukali czegoś, co mieli pod nosem, a co uznali za zabobon.

Właśnie skończył się rok liturgiczny. Przed nami adwent. Czy to dla ciebie puste słowo? Żyć zgodnie z liturgią. Oplatać swoje życie wokół osi, która może nadać mu sens. Adventus oznacza przyjście, przybycie, pojawienie się. Wchodzimy w czas, który jest oczekiwaniem. I w niezwykłą duchową przestrzeń. Obecność w tej przestrzeni może zaowocować rozbudzeniem tęsknoty za Zbawicielem. Tak jak wysiłek pielgrzymy może się przekształcić dzięki duchowej przemianie w wolność dla alkohika, w którego intencji idziemy na pielgrzymkę. Choć właściwie to oszukuje: tak naprawdę to Bóg tęskni za człowiekiem.

Życie ma swój rytm. Chrześcijaństwo zaplotło pogańską powtarzalność wokół linii prosto zmierzającej do końca czasów. Świat miał



ROBERT TEKIELI

początek, będzie miał koniec. Jeśli człowiek żyje w perspektywie sądu, jeśli przeżywa sprawy, oceniając swe zachowania w odniesieniu do podziału na dobro i zło, zachowuje się racjonalnie. A właśnie pierwsze dwa tygodnie adwentu kierują nas ku oczekiwaniu na ostateczne przyjście Jezusa. I ten czas oczekiwania jest radosny. Powinniśmy się do Bożego Narodzenia przygotowywać przez rekolekcje i oczyszczenie. Czas pomyśleć o dobrej, przez kilka dni przygotowywanej spowiedzi. Advent nie jest w sensie ścisłym czasem pokuty, tak jak Wielki Post.

Ale przygotowując święta, sprząając mieszkania, warto pomyśleć o posprzątaniu swojego wnętrza. O oczyszczeniu sumienia. Konfesyjonał jest dobrym miejscem odnowienia duszy i serca.

Adwent jest szkołą czekania. To nie jest czas umartwień, ale porządkowania naszych sumień.

Porządkowanie nie jest łatwe, ale warto podjąć ten trud. Zapytaj siebie: czy jestem gotów na śmierć, na sąd? I wykorzystaj ten doroczny czas na przygotowanie się do spojrzenia na swoje życie z perspektywy jego końca. Bo właśnie czas końca roku liturgicznego i następującego po nim początku, Narodzenia, jest najwłaściwszy dla takiej refleksji.

Czas adwentu jest czasem oczekiwania na Osobę, która człowiekowi zniewolonemu, pogubionemu, słabemu może dać wolność i siłę. Jeśli w twoim życiu wszystko się raczej rozkłada, niż składa, ten czas oczekiwania może być szansą. Jezus uratował nas, składając ofiarę z wszystkiego, co było Jego człowieczeństwem. Czas adwentu to czas oczekiwania na Syna, na wysłannika Ojca. Stworzyciela ładu, prawdy i miłości.

Jestem aborygenem. Mam swój rytm. Dany z nieba wzór. Kiedy przeżywam swe życie w zgodzie z liturgią, potrafię się uśmiechać. Nasączony egzystencją rytuał nie jest pusty. Życie trzeba brać w karby, żeby cieszyć się całkowitą wolnością. Bo tylko człowiek nieprzywiązany do rzeczy, nieuwiązany do ludzi może podejmować w pełni wolne decyzje.



Kadr z filmu
„Kolo czasu”

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Może być „Kolo czasu” to fantasy, trochę jak ze świata „Wiedźmina”. Mamy tu reinkarnację i drużynę pierścienia oraz dociekanie, kto jest zbawcą świata. Choć doświadczenie mówi, że będzie nim ten szlachetny i przystojny. Ale z aktorów wzrok przyciąga jedynie Rosamund Pike. W uniwersum „Kola” mamy magię dostępną tylko dla kobiet. Jest magiczny żeński zakon, ale oczywiście świat ma uratować lub zniszczyć człowiek z gminu. Historia momentami jest naiwna, jak gdyby serial był wycelowany w 14-letnią widownię. Ale akcja toczy się wartko.

Premiera serialu „Kola czasu” opartego na cyklu książek Roberta Jordana miała miejsce 19 listopada na platformie Amazon Prime Video. To pierwsza tak poważna produkcja tej platformy. Podobno Amazon nie poskąpił pieniędzy na ten serial, ale, co dziwne, jest tu tyle darmowych planów, co w polskiej wersji sagi Sapkowskiego. Co tydzień publikowane są kolejne trzy odcinki serialu. Rozpoczęto produkcję drugiej serii. Co z tego wszystkiego wyniknie, zobaczymy. W każdym razie cykl książek Jordana liczy 14 tomów. Jest z czego wybierać. Po kilkunastu dniach od premiery wiemy natomiast, że „Kolo czasu” to najchętniej oglądana tegoroczna premiera Amazon Prime Video i jedna z pięciu najpopularniejszych premier w historii platformy. Matriarchat widać jest na fali.

POPKULTURA

Warte „Manhunt: Unabomber”, serial Discovery Channel, niesiony jest przez magię prawdziwej historii, która elektryzowała społeczeństwo amerykańskie przez dwie dekady. Unabomber, czyli Theodore Kaczynski, był symbolem terroryzmu w USA. Od 1978 do 1995 r. wysyłał do różnych adresatów bomby domowej roboty. Zabił trzy osoby i ranił 29. Trwające 18 lat śledztwo FBI było najdroższym w historii Biura. Kaczynski wymusił na władzach publikację swojego manifestu, w którym wykazywał nieoczywiste, jeszcze wtedy wady społeczeństwa przemysłowego. Wydany w formie książki esej był prawdziwym bestsellerem. Mordercę złapano, gdy w swej pysze posunął się za-

leko, w tekście manifestu zawarł bowiem myśli znane od wielu lat członkom swojej rodziny. Unabomber okazał się geniuszem z polskimi korzeniami o IQ w okolicach 170 pkt. Na Harvard dostał się w wieku 16 lat. I jako niedojrzały jeszcze emocjonalnie chłopak brał udział w zbrodniczym eksperymencie dotyczącym dezintegracji osobowości, prowadzonym przez Henry’ego Murraya dla CIA.

Serial nie jest wybitny, ale może wciągnąć widza, no i co ważne, jest pozbawiony ideologicznej propagandy. Mamy w nim anatomię śledztwa, które ma swoją logikę, choć jak to bywa, ostatecznie o wszystkim decyduje przypadek. A na koniec okazuje się, że psychopata ściga psychopatę. Taka konstatacja przyszła mi do głowy po obejrzeniu ostatniego, 18 odcinka. Z jednej strony lekceważony, pięćdziesięcioletni dzielnik, wielokrotnie zdradzony, niezdolny do nawiązywania relacji, woła bombami o to, by go zauważono. A z drugiej strony policjant, który fiksuje się na złapaniu Unabombera, tracąc rodzinę, niszcząc współpracowników, zdradzając – ale w końcu go łapie. Okazuje się, że społeczeństwo może mieć korzyść i z psychopatą.

Może być „Bad Blood” jest serialem Netflix’a opartym na prawdziwej historii montrealskiego podziemia. Klan Rizutto dominuje na ulicach Montrealu, jest tak silny, że nazywany był szóstą rodziną, zdolną konkurować z liczącym pięć rodzin nowojorskim zbrodniczym oligopolem. Mafijne tło wiarygodnie szkicują aktorzy włoskiego pochodzenia, Paul Sorvino i Anthony LaPaglia, ale serial niesie Kim Coates. Jeszcze bardziej wiarygodny niż w swej roli w „Synach anarchii”. A w serialu mamy echa „Chłopców z ferajny” i „Ojca chrzestnego” czasami nawet zabawne, czasami zbyt lopatologiczne jak senior rodu na emeryturze i pomidory. Drugi sezon jest słabszy. Pojawiający się wtedy gangsterzy nowej generacji zagrani są na granicy pastiszu. Ale pierwszej odsłonie nie brak właściwie niczego, historia sama się broni. A jej największą siłą jest oparcie się na faktach. Nie spodziewałem się takiej zadymy w mieście zabójców.

Robert Tekieli, Polskie Radio



Kadr z filmu
„Manhunt: Unabomber”

POPKULTURA



Kino

Bardzo żałuję, że twórcy musieli ze względów prawnych zmienić tytuł tego filmu. „Powrót do Legolandu” (pod takim film był pokazywany na festiwalu filmowym w Gdyni) w intrygujący sposób igrał z epoką, która dziś w kinie jest na nowo mitologizowana. Mnie ona jednak również kojarzy się z klockami Lego. Nie tymi stojącymi dziś na półkach każdego dyskontu, ale z klockami, które można było kupić tylko w peweksach, a potem w wyselekcjonowanych sklepach. „Powrót do tamtych dni” jest sentymentalną podróżą do Polski początku lat 90., ale dotyczy też tematu, od którego polskie kino nie uciekało. Od czasu „Pętli” Hasa, przez Morgensterna, Smarzowskiego i Koterskiego, aż do Konrada Aksinowicza – temat alkoholizmu jest przez polskich filmowców na różne sposoby trawiony. Jednak to właśnie Aksinowicz złapał mnie najmocniej za serce. „Powrót do tamtych dni” to kino autobiograficzne, gdzie na dramacie alkoholizmu patrzymy oczami dziecka.

Jednak „Powrót do tamtych dni” nie ma w sobie nic ze smarzowszczyzny. Jest to film podany w zaskakująco, jak na tematyczny ciężar, lekki sposób. Aksinowicz zabiera nas w podróż do wczesnej III RP. Pstrokatę, kiczowatą z wyrastającymi jak grzyby po deszczu wypożyczalnią kasety VHS i rozpalającymi umysły nastolatów Commodore 64. Wszystko obserwujemy oczami 14-letniego Tomka (Teodor Kozia), który mieszka z mamą (Weronika Książkiewicz) na jednym ze szczecińskich blokowisk. Tomek kocha klocki Lego i żyje myślą o wyjeździe do USA, gdzie pracuje jego tata (Maciej Stuhr). Niedługo radio- wiec, a teraz Polak wyjęty niemal z satyry „Szczęśliwego Nowego Jorku” obiecuje rodzinie, że ją sprowadzi do wyśnianej i zmitologizowanej krainy. Tomek buduje wieżowiec z klocków Lego, gdzie tata ma mieć swoje biuro. Tata jednak niespodziewanie powraca do Polski. „Tam nie jest tak kolorowo” – mówi synowi.

Tomek doświadcza jednak „Ameryki” w swoim pokoju. Pojawia się wymarzony zestaw Lego, buty Nike, magnetowid i kolorowy telewizor. Są więc kasety VHS z „Elektronicznym mordercą”, znanym szerzej jako „Terminator”, i jest szczęśliwa mama w nowej sukience. Do czasu, kiedy tata znów nie sięgnie po kieliszek. Czar pryska. Landrynkowy smak końca PRL i przejścia

w brokatowy świat ukształtowany wyobrażeniem o bogactwie z „Dynastii” zamienia się w koszmar z unoszącym się smrodem wody i agresją ojca. Budowla z Lego się sypie na tysiące kawałeczków. Ojciec przestaje być bohaterem z prezentami z „tej Ameryki” i staje się pośmiewiskiem osiedla.

„Powrót do tamtych dni” jest uniwersalną opowieścią o dojrzewaniu i wchodzeniu w dorosłość. Młodzi aktorzy dobrze oddają ducha tamtych dni, gdy liczył się plakat z „Bravo” na ścianie, kaseta VHS z najnowszym filmem z Van Damme’em i granie na szpanerskich joystickach. Jest to też obraz Polski analogowej i w specyficznym okresie swojej historii. Jest obecnie moda na popkulturowy powrót do lat 80. i 90. w Hollywood, gdzie powstają kolejne części „Ghostbusters” czy kontynuacja historii Rockiego. Aksinowicz cofa się do tego okresu nie tylko ze względu na modę, ale z osobistych powodów. Jego ojciec był alkoholikiem. Dlatego „Powrót do tamtych dni” jest tak poruszający. Chorobę alkoholową oglądamy oczami dziecka, dla którego upodlony ojciec był największym bohaterem. Widać, jak oczyszczający ten film jest dla reżysera i jak wielką jest w nim empatia dla jego bohaterów.

Teodor Kozia jest wiarygodny i dojrzały w roli dorastającego chłopaka, choć nie jest przecież profesjonalnym aktorem. Weronika Książkiewicz łamie kolejny raz w tym roku („Furioza”) swój wizerunek, tworzy poruszający obraz stłamszonej przez sytuację kobiety, ale film kradnie Maciej Stuhr. Jest to rola ekshibicjonistyczna. Zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, czego sam Stuhr nie ukrywa. On również miał przejścia z alkoholem i upadał przez niego. Widzimy, jak zdolny radiowiec i kochający ojciec przeistacza się w potwora, moczącego się na oczach rodziny, przepijającego wszystko, co drogie dla rodziny, wyszydzającego swojego syna i żonę. Jest między Stuhrem i Kozia ekranowa chemia, która pozwala poczuć ojcowsko-synowską relację na wielu płaszczyznach, która eksploduje w emocjonalnym finale. Finale bardzo przyjemnym i szczerym, który nakręcić mógł tylko człowiek na tyle dojrzały, by wracać do tamtych dni.

„POWRÓT DO TAMTYCH DNI”, REŻ. KONRAD AKSINOWICZ, DYSTR. KINO ŚWIAT

Zbrodnia i kara



Niedobrze by się stało, gdyby ten miniserial zatonął w gąszczu produkcji, jakie zalewają nas w każdym tygodniu na platformach streamingowych. Pięciodcinkowy „Na dalekich wodach” dowodzi, że BBC wciąż trzyma swój bardzo wysoki poziom i jednocześnie buduje markę miejsca, gdzie można opowiadać wyjątkowo niepokojące historie. Oparty na książce Iana McGuire’a serial jest uniwersalną opowieścią o grzechu, odkupieniu i zmartwychwstaniu. Wszystko w przepięknie sfilmowanej w naturalnych plenerach dalekiej północy przy norweskim archipelagu Svalbard w połowie drogi do bieguna północnego. Przy standardowym już niemal kręceniu wszystkiego w studiu na greenboxach samo obcowanie z produkcją kręconą w takich rejonach daje ogromną przyjemność dla oka.

„Na dalekich wodach” to nie tylko przepiękne plenery, ale też kawał mięsistego kina z intrygującym scenariuszem i świetnymi aktorskimi kreacjami. Na dodatek jest to zaskakująca mieszanka dwóch filmowych gatunków. Zaczyna

się jak przygodowa opowieść o byłym lekarzu wojskowym Patricku Summerze (Jack O’Connell), który w 1859 r. zaciąga się na statek ruszający łowić wieloryby. Patrick ma swoje demony, które go prześladowają od czasu wojny w Indiach. Chce na statku o nich zapomnieć. Tyle że statek ma zatonąć, o czym wie kapitan (Stephen Graham), który zawarł umowę z jego właścicielem, by uzyskać ubezpieczenie. Na statku płynie też Henry Drax (Colin Farrell). Wyjątkowo zły i przebiegły typ. Drax jest wręcz archetypicznym złem. Amoralnym do szpiku kości. Pierwsza część serialu to walka między Draxem, Summerem i resztą załogi. Morderstwo w tle, brutalne polowania na foki i walka płynących ze sobą mężczyzn. Na pokładzie widzimy klasowe podziały brytyjskiego społeczeństwa oraz wchodzimy w świat mężczyzn zarabiających polowaniem na wieloryby.

Potem opowieść idzie w stronę kina survivalowego z dodatkiem przypowieści w stylu „Aguirre. Gniew boży” Wernera Herzoga. Człowiek kontra natura. Człowiek kontra własne człowieczeń-

stwo. Człowiek kontra żywioł mszczący się za eksploatację. Pojawiają się wtedy pytania religijne i metafizyczne. Pojawia się motyw odkupienia i zemsty za grzechy. To słabsza strona opowieści, bo jej już doświadczyliśmy choćby w „Zjawie” Alejandra Gonzáleza Iñárritu czy innych obrazach o przetrwaniu.

Największą siłą jest jednak tutaj aktorstwo. Colin Farrell jest jednym z najbardziej drażniących mnie aktorów, a jednak po raz kolejny dowodzi, jak ambitnie próbuje zmienić wizerunek. Choć gra tutaj trochę na nucie Daniela Day-Lewisa z „Aż poleje się krew” Paula Thomasa Andersona, to jest przerażający. Ociężały (to chyba waga do roli Pingwina w nowym „Batmanie”), z pustym spojrzeniem amoralnej bestii kreuje jeden z najbardziej wyrazistych portretów zdegenerowanego człowieka, jaki ostatnio widziałem na dużym i małym ekranie. Ważne jest też to, że nie dostajemy tak modnego usprawiedliwiania i celebracji wiktylizacji. Nie, to jest mroczna i jednocześnie podlana chrześcijańską perspektywą (albo jej brakiem) opowieść o zbrodni, która domaga się kary. Mała perełka telewizji, która jest wszystkim, czym nie był serial „Terror” Ridleya Scotta.

„NA DALEKICH WODACH”,
DOSTĘPNY NA HBO GO

Internet





Do 100 tys. zł na zabezpieczenie wód przed azotanami

Od 10 grudnia 2021 r. do 7 lutego 2022 r. Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa będzie przyjmowała wnioski od rolników, którzy chcą w swoich gospodarstwach zrealizować „Inwestycje mające na celu ochronę wód przed zanieczyszczeniem azotanami pochodzącymi ze źródeł rolniczych”

DO KOGO ADRESOWANA JEST POMOC?

O dofinansowanie będą mogli się ubiegać rolnicy, którzy prowadzą chów lub hodowlę zwierząt gospodarskich i którzy planują budowę urządzeń chroniących wody przed azotanami. Nie będą mogli jednak tego zrobić właściciele ferm drobiu powyżej 40 tys. stanowisk oraz trzody chlewnej powyżej 2 tys. stanowisk dla świń o wadze ponad 30 kg lub 750 stanowisk dla macior.

JAKA JEST WYSOKOŚĆ WSPARCIA?

Maksymalnie na jedno gospodarstwo można otrzymać 100 tys. zł w całym okresie realizacji PROW na lata 2014–2020. Pomoc przyznawana jest w formie refundacji części poniesionych kosztów kwalifikowanych i wynosi: 60 proc., gdy inwestycja jest realizowana przez młodego rolnika; 50 proc. w przypadku pozostałych rolników.

NA CO MOŻNA OTRZYMAĆ DOFINANSOWANIE?

Pomoc może być przyznana m.in. na budowę, przebudowę lub zakup zarówno zbiorników do przechowywania nawozów naturalnych płynnych, jak i płyt do gromadzenia nawozów naturalnych stałych, a w przypadku młodych rolników także zbiorników lub płyt do przechowywania kiszonek. Dofinansowaniu podlega również zakup nowych maszyn i urządzeń do aplikacji nawozów naturalnych płynnych oraz wozów asenizacyjnych z aplikatorami nawozów natu-

ralnych w postaci płynnej. Co jednak istotne, inwestycje te muszą zapewnić dostosowanie gospodarstwa do wymagań programu działań, którego celem jest zmniejszenie zanieczyszczenia wód azotanami pochodzącymi ze źródeł rolniczych oraz zapobieganie dalszemu zanieczyszczeniu.

CO DECYDUJE O PRYZNANIU WSPARCIA?

Każdy złożony wniosek zostanie poddany ocenie, a suma uzyskanych punktów zadecyduje o miejscu na liście określającej kolejność przysługiwania pomocy. Co ważne, o miejscu na liście nie decyduje kolejność wpływu dokumentów do ARiMR. Przy ocenie wniosków brane są pod uwagę m.in. liczba zwierząt utrzymywanych w gospodarstwie; to, czy rolnik występował wcześniej o taką pomoc lub starał się o wsparcie na „Inwestycje w gospodarstwach położonych na obszarach OSN”. Lista kolejności przysługiwania pomocy zostanie zamieszczona na stronie internetowej ARiMR w terminie 50 dni od dnia zakończenia naboru wniosków.

GDZIE ZŁOŻYĆ WNIOSEK?

Wniosek składa się w oddziale regionalnym ARiMR. Można to również zrobić za pośrednictwem biura powiatowego Agencji. Dokumenty będzie można również przesłać przesyłką rejestrowaną nadaną w placówce Poczty Polskiej lub elektronicznie poprzez skrzynkę podawczą ePUAP.



Agencja Restrukturyzacji
i Modernizacji Rolnictwa

Zielone forum
w Gospodarcie.pl

SIECI

GAZETA BANKOWA

W POLSCE/PL

wGospodarcie.pl

wPolityce.pl

O SPRAWIEDLIWĄ I ZRÓWNOWAŻONĄ
transformację

**Cztery debaty, pięć spotkań, dyskusje i panele
dotyczące szans i zagrożeń, jakie niesie
Europejski Zielony Ład i projekt Fit for 55**

➤ Jak przeprowadzić transformację energetyczną – sprawiedliwie, bezpiecznie i opłacalnie? ➤

➤ Kto może zainwestować w odnawialne źródła energii w Polsce? Czy to się opłaca? ➤

➤ Czy Europa Środkowa może być zielona? Współpraca związana z transformacją energetyczną w ramach Trójmorza, Grupy Wyszehradzkiej i kontaktów gospodarczych z krajami regionu. ➤

➤ Paliwa alternatywne i przejściowe, gaz i technologia wodorowa
– jak i czy dojedziemy do zeroemisyjnej gospodarki? ➤

Akceptowalna zielona ewolucja

Zielony ład i dyskusje wokół projektu Fit for 55 dominują w debatach na temat najważniejszych wyzwań stojących przed gospodarką, przedsiębiorstwami i konsumentami w najbliższych latach. Nie ma właściwie żadnej konferencji, forum, panelu, na których nie pojawiałyby się wątki dotyczące transformacji energetycznej. Ta zaczyna wchodzić do naszych domów i mieszkań, choć na razie w postaci coraz wyższych cen energii elektrycznej, gazu i benzyny

Dwa dni, pięć spotkań, przedstawiciele ministerstw, przedsiębiorcy, reprezentanci spółek skarbu państwa, eksperci, ciekawe dyskusje i debaty na najważniejsze tematy dotyczące trwającej transformacji energetycznej, rozwoju technologii wodorowej, wykorzystania wiatru, wody, paliw alternatywnych – tak podsumować można pierwsze Zielone Forum wGospodarce.pl. Na kolejnych stronach publikujemy pełną relację z dyskusji. Wierzymy, że Zielone Forum wGospodarce.pl było i będzie w kolejnych edycjach platformą dyskusji, która – na zielono – stworzy cykl wyjątkowych debat i forów poświęconych transformacji, największemu wyzwaniu, przed jakim stoją gospodarki polska, europejska i światowa, przedsiębiorstwa i firmy, a także my – konsumenci i obywatele.

Polskie przedsiębiorstwa w ostatnich latach dokonały wyjątkowo udanej transformacji strategii, inicjując liczne działania proekologiczne i dekarbonizacyjne, tym samym wyraźnie sygnalizując wzrost znaczenia wykorzystania odnawialnych źródeł energii.

W latach 2021–2040 transformacja energetyczna Polski kosztować ma ok. 1,6 bln zł – jak wynika z przyjętej przez polski rząd Polityki Energetycznej Polski (PEP). W dokumencie zaznaczono, że skala planowanych wydatków uwzględnia przeprowadzenie transformacji w sposób akceptowalny społecznie, przy jednoczesnym zagwarantowaniu bezpieczeństwa energetycznego, utrzymaniu konkurencyjności gospodarki oraz ograniczeniu oddziaływania na środowisko. W samym sektorze paliwowo-energetycznym nakłady wyniosą nawet 890 mld zł, w innych sektorach zaś (przemysł, gospodarstwa domowe, usługi, transport i rolnictwo) ok. 745 mld zł. Tylko na obszar wytwarzania energii elektrycznej popłynie do 342 mld zł, z czego ok. 80 proc. zostanie przeznaczonych na moce bezemisyjne, tj. OZE i energetykę jądrową.

Takie są potrzeby. Strategia stanowi, że krajowe zasoby węgla pozostaną jednak istotnym elementem bezpieczeństwa energetycznego Polski. Udział węgla w strukturze zużycia energii osiągnie ok. 56 proc. w 2030 r. i 28 proc. w 2040 r., a przy podwyższonych cenach uprawnień do emisji CO₂ może spaść do poziomu 37 proc. w 2030 r. i do 11 proc. dziesięć lat później. Dodać należy, że w 2020 r. udział węgla w miksie energetycznym Polski wynosił 72 proc.

Transformacja energetyczna, którą widzimy, może się jednak stać kołem zamachowym innowacyjnej gospodarki. Bezpieczeństwo energetyczne, konkurencyjność i zrównoważona ochrona środowiska – nasza polityka energetyczna widzi komplementarność wszystkich tych trzech wartości, starając się znaleźć wypadkową bezpiecznych dostaw energii po rozsądnych cenach, by były odpowiednie (akceptowalne) pod kątem klimatycznym.

Do 2033 r. pojawi w Polsce energetyka jądrowa – łącznie planowanych jest w PEP sześć bloków jądrowych o mocy 6–9 GW. Atom wzmocni podstawę systemu i wpłynie na redukcję emisji zanieczyszczeń z sektora energetycznego. PEP zakłada też większą dywersyfikację dostaw gazu ziemnego. Wykorzystanie paliwa przejściowego ma umożliwić rurociąg Baltic Pipe, łączący Norwegię, Danię i Polskę, i rozbudowany terminal LNG w Świnoujściu oraz nowy terminal pływający w Zatoce Gdańskiej, a także nowe połączenia z państwami sąsiadującymi, krajowa sieć przesyłowa i dystrybucyjna (także przy wykorzystaniu lokalnych stacji regazyfikacji LNG i biogazu) oraz infrastruktura magazynowa.

Pytanie, które stawiają sobie dziś analitycy i politycy, brzmi: czy zdążymy? Projekt Fit for 55 stawia niezwykle wyśrubowane cele klimatyczne i energetyczne. Transformacja energetyczna staje się rewolucją, czego doświadczyliśmy na własnej skórze w czasie konfliktu wokół kołpali w Turowie.

Czy tak musi być i co zrobić, żeby ewolucja, a nie rewolucyjna transformacja energetyczna odbyła się z poszanowaniem naszych możliwości, szans, bezpieczeństwa energetycznego – to pytanie, jakie postawiliśmy uczestnikom pierwszego Zielonego Forum wGospodarce.pl.

Zapraszam do lektury zapisu debat i polecam uwadze publikacje portalu wGospodarce.pl. ●



MACIEJ WOŚKO

Redaktor naczelny „Gazety Bankowej”
i portalu wGospodarce.pl





Inwestycje szansą na energetyczny przełom

Neutralność klimatyczna to jedno z największych wyzwań, przed którymi stoją Polska, Unia Europejska, lecz również cały świat. Jak przejść przez ten trudny proces – wykorzystując szanse i jednocześnie odpowiadając na związane z tym wyzwania – zastanawiali się goście debaty otwierającej Zielone Forum wGospodarce.pl 2021

W debacie „Jak przeprowadzić transformację energetyczną – sprawiedliwie, bezpiecznie i opłacalnie?” udział wzięli: minister Grzegorz Puda, Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej, wiceminister Adam Guibourgé-Czetwertyński, Ministerstwo Klimatu i Środowiska, Artur Warzocha z Tauron Polska Energia, prezes Tauron Nowe Technologie, oraz Karol Wolff, dyrektor Biura Strategii i Projektów Strategicznych PKN Orlen.

Dyskusja skupiała się nie tylko na samej transformacji i związanych z nią zmianach w gospodarce, ale też na niezwykle ważnych zagadnieniach dotyczących sprawiedliwości i równowagi w podejmowanych działaniach – w tym zrównoważeniu kosztów i zysków w procesie

zmian. To szczególnie istotne przy prowadzonej jednocześnie kampanii antywęglowej, globalnym lobbingu na rzecz odnawialnych źródeł energii oraz wzrastających nieprzewidywalnie cenach uprawnień do emisji CO₂.

ROZSĄDNE DZIAŁANIA

– Debata na temat zielonego zwrotu, wymogów stawianych przez Green Deal oraz niezwykle ambitnego projektu Fit for 55 zdominowała polityczne i gospodarcze dyskusje. Tymczasem polskie firmy w ostatnich latach dokonały wyjątkowo udanej transformacji – inicjując liczne działania proekologiczne i dekarbonizacyjne. Tym samym wyraźnie sygnalizując wzrost znaczenia wykorzystania odnawialnych źródeł energii



– podkreślił na wstępie prowadzący debatę Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej” i portalu wGospodarce.pl.

Nawiązał także do dokumentu Polityka Energetyczna Polski do 2040 roku (PEP2040), w którym wyraźnie zaznaczono, że transformacja energetyczna musi zostać przeprowadzona w sposób akceptowalny społecznie, przy jednoczesnym zagwarantowaniu bezpieczeństwa energetycznego, utrzymaniu konkurencyjności gospodarki oraz ograniczeniu oddziaływania na środowisko.

Potrzeby są więc ogromne, a transformacja energetyczna, którą widzimy, może być równocześnie kołem zamachowym dla innowacyjnej gospodarki. Do 2033 r. ma się pojawić w Polsce również energetyka jądrowa (zaplanowano uruchomienie sześciu bloków o mocy 6–9 GW). To także element, który pozwoli nam zrealizować założenia zielonego ładu.

– Transformacja energetyczna, odnosimy takie wrażenie, staje się bowiem rewolucją i doświadczyliśmy tego na własnej skórze podczas konfliktu o kopalnię Turów. Czy w tej sytuacji da się pogodzić rozwój gospodarczy i zapowiadane zmiany z ochroną środowiska i ekologią? – zadał pytanie zaproszonym gościom Maciej Wośko.

Jak zauważył Adam Guibourgé-Czetwertyński, wiceminister klimatu i środowiska, każda działalność człowieka wywiera określony wpływ na otaczające nas za-

soby naturalne. A rewolucja przemysłowa uwiidoczniała jeszcze bardziej ten właśnie aspekt często niekontrolowanej aktywności w obszarze gospodarczym.

– Wierzę, że da się pogodzić oba cele, a więc rozwój gospodarki i ochronę środowiska. Nie musimy rezygnować z tych wszystkich elementów naszego codziennego życia, aby osiągać cele klimatyczne. Oczywiście będzie się to wiązało z gigantycznym inwestycjami, ale też z bardzo dużym wysiłkiem w licznych sektorach – nie tylko w energetyce, lecz także w branżach transportowej, w przemyśle, budownictwie czy rolnictwie – mówił Adam Guibourgé-Czetwertyński.

Jego zdaniem niezbędna będzie także zmiana w sposobie myślenia i postrzegania otaczającej nas rzeczywistości, przy jednoczesnej modyfikacji założeń produkcyjnych dla wytwarzanych materiałów i komponentów.

– Dzisiaj widzimy już chociażby zmiany w sektorze transportowym i gigantyczne sukcesy polskich firm, które produkują i eksportują za granicę np. autobusy elektryczne czy baterie do aut elektrycznych. Polska jest pierwszym eksporterem w Europie w tych dwóch obszarach. I tu transformacja gospodarki generuje rozwój oraz stwarza nowe perspektywy dla firm – dodał wiceminister klimatu i środowiska.

Według niego musimy tak zaplanować transformację naszej energetyki, żeby – jednocześnie dbając



o środowisko naturalne – dostarczyć odpowiednią moc w odniesieniu do potrzeb zarówno społecznych, jak i produkcyjno-przemysłowych. I tu tak naprawdę kluczowym czynnikiem wydaje się utrzymanie właściwego tempa inwestycji w nowe źródła zeroemisyjne – tak aby sprostać wyzwaniom np. również w kontekście zaplecza finansowego czy logistycznego.

NIEZBĘDNE INWESTYCJE

Adam Guibourgé-Czetwertyński zwrócił także uwagę na korzyści z transformacji związane chociażby z powstaniem nowych miejsc pracy w obszarze zielonej energii. Jednak ostateczne konsekwencje zmian i ich wpływ na poszczególne sektory gospodarki będą uzależnione od kształtu propozycji legislacyjnych oraz negocjacji i rozmów, jakie obecnie toczą się w Parlamencie Europejskim.

Choć z drugiej strony nie sposób pominąć kosztów wynikających z zaniechanych projektów gospodarczych, które nie spełniają wymogów transformacji i wyśrubowanych kryteriów środowiskowych. W PEP2040 łączny koszt transformacji określono na 1,6 bln zł (!).

– Musimy pamiętać, że we wspomnianej kwocie są zawarte wszystkie niezbędne inwestycje. Dzisiaj w Polsce nasz system energetyczny opiera się w ponad 70 proc. na eksploatowanych blokach węglowych. W ciągu najbliższych 10–12 lat większość tych urządzeń będzie musiała zostać wyłączona z powodów technicznych. Niezależnie więc od tego, jaka jest obecnie polityka i założenia w realizacji celów środowiskowych, zaplanowane inwestycje muszą nastąpić – dodał wiceminister klimatu i środowiska.

Konieczne jest więc skorelowanie tempa inwestycji z potrzebami przemysłu czy społeczeństwa – tak aby dostarczyć odpowiednią ilość prądu dla odbiorców docelowych. Równie ważna jest optymalizacja kosztów dla gospodarki na minimalnym – a jednocześnie niezbędnym dla powodzenia transformacji poziomie.

Grzegorz Puda, minister funduszy i polityki regionalnej, odniósł się do kwestii finansowania projektów związanych z zieloną energią w ramach wykorzystania dostępnych środków europejskich. Zwrócił także uwagę na różnice, jakie dominują w procesie pozyskiwania kapitału na transformację m.in. w sektorze rolniczym (np. projekty zazieleniania) i obszarze polityki spójności.

– O ile w rolnictwie funkcjonują dopłaty bezpośrednie, które mają rolnikom pomóc i spowodować, aby produkcja roślinna lub zwierzęca była konkurencyjna na tle innych krajów Unii Europejskiej, o tyle w polityce spójności nie ma mechanizmu dopłat, które miałyby służyć transformacji energetycznej czy zazielenianiu regionów – powiedział Grzegorz Puda.

Warto jednak wspomnieć, że w ramach polityki spójności realizowane są projekty infrastrukturalne i tworzone są nowe miejsca pracy. Poza tym istotne jest przygotowanie konsumentów – którzy dotychczas funkcjonowali w gospodarce opartej m.in. na węglu – do nieuchronnych zmian w kierunku zielonej energii. Przykładem może być tutaj choćby walka prowadzona z dotkliwym w skali całego kraju problemem smogu i tzw. kopciuchów zanieczyszczających powietrze i środowisko naturalne.

– W efekcie aby zrównoważyć dotychczas najbardziej popularny sposób wykorzystywania energii z węgla czy gazu – traktowanego jako paliwa przejściowego – możemy posłużyć się instrumentami, jakie daje nam polityka spójności. Mamy tu różnego rodzaju zachęty dla mieszkańców czy przedsiębiorców, aby korzystali z dedykowanych środków i funduszy celem wykluczenia w możliwie jak największym stopniu paliw nieodnawialnych – dodał minister funduszy i polityki regionalnej.

Zwrócił również uwagę na problem z niestabilnością energetyczną. I tu wskazał na kłopoty niemieckiej gospodarki sprzed kilku lat, kiedy pojawiło się zapotrzebowanie na energię większe od poziomu działających na rynku mocy produkcyjnych, opartych na OZE.

– Wówczas Niemcy zorientowali się, że nie jest problemem samo wytwarzanie energii, ale jej produkcja w sposób bardziej stabilny i zrównoważony. Stąd trzeba

też pamiętać, że stawiając na odnawialne źródła energii, należy to robić w sposób ewolucyjny. Cały proces musi być odpowiednio przygotowany i przemyślany – tak aby pomóc również społecznościom w regionach w transformacji i przejściu od węgla do nowych technologii – dodał Grzegorz Puda.

NIE MA ODWROTU

Z kolei Karol Wolff, dyrektor Biura Strategii i Projektów Strategicznych PKN Orlen, odniósł się do fundamentów, na jakich opiera się system energetyczny na świecie. Został on skonstruowany na przełomie XIX i XX w. i obecnie w coraz większym stopniu nie przystaje już do realiów dynamicznego rozwoju cywilizacji i wyzwań, jakie stoją przed nami w kolejnych dekadach. Chodzi m.in. o przyrost liczby ludności, ekspansywną politykę agrarną i konieczność wdrożenia technologii energetycznych zdecydowanie bardziej przyjaznych środowisku.

– I tu dotykamy kwestii transformacji energetycznej – niezbędnej z uwagi na coraz większy wpływ gospodarki na zasoby naturalne i klimat. Musimy więc znaleźć takie źródła energii, które w sposób nieeksploatacyjny, a bardziej synergiczny będą współpracować z naturą. W tym przypadku chodzi m.in. o źródła oparte na wietrze czy energii słonecznej – ocenił Karol Wolff.

Według niego jest to proces nieunikniony, który jednocześnie pozwoli pragmatycznie podejść do odpowiedzialnego zapewnienia przyszłości kolejnym pokoleniom.

Nawiązał też bezpośrednio do działalności koncernu, który również aktywnie dostosowuje swoją strategię do rynkowych wyzwań. – Konsekwentnie przekształcamy się w multienergetyczny koncern, który dynamicznie rozwija produkcję i dystrybucję szeroko pojętej energii – podkreślił Karol Wolff.

Zwrócił też uwagę na aspekt coraz większego przenikania się i współistnienia poszczególnych komponentów gospodarki energetycznej – choćby w odniesieniu do elektromobilności (wykorzystanie prądu do napędzania aut, wobec wcześniejszej dominacji benzyny i gazu jako paliwa dla samochodów spalinowych) czy mobilności opartej na wodorze (produkcja realizowana w rafineriach, dotąd specjalizujących się w przerobie paliw kopalnych).

INWESTYCJE W ZIELONY ZWROT

Artur Warzocha, prezes zarządu Tauron Nowe Technologie, odniósł się do realizowanego przez spółkę programu inwestycyjnego oraz modernizacji istniejącej infrastruktury.

– Jesteśmy największym dystrybutorem energii elektrycznej w Polsce, dostarczając ją do ponad 5,5 mln odbiorców. Działając na południu Polski, mamy najbardziej zmodernizowaną i nowoczesną infrastrukturę

przesyłową. To również efekt wieloletnich, realizowanych z uporem, inwestycji. Druga ważna rzecz, z której jesteśmy dumni, to proces zainicjowany kilka lat temu, a mianowicie Zielony Zwrot Taurona – powiedział Artur Warzocha.

Zauważył też, że spółka zwiększa w miksie energetycznym udział OZE i robi to konsekwentnie od dłuższego czasu. Strategia koncernu zakłada znaczący wzrost w tym właśnie zakresie w perspektywie najbliższych lat.

– Nie możemy tu jednak pominąć problemu natury społecznej w regionie, a więc sięgających kilkuset lat tradycji polskiego górnictwa. Choć od pewnego czasu wszyscy mamy tutaj świadomość – również mieszkańcy Górnego Śląska – że pewne procesy są nieuchronne i muszą w przyszłości nastąpić – dodał prezes zarządu Tauron Nowe Technologie.

Paneliści byli także zgodni co do wysokich kosztów transformacji energetycznej, jakie już generujemy, m.in. w postaci lawinowo rosnących rachunków i cen energii na rynkach – mimo iż konkretny pakiet legislacyjny nie został jeszcze przyjęty w Brukseli. Wynika to z obaw i zagrożeń związanych z przejściem od starego systemu, mocno opartego jeszcze na paliwach kopalnych, w kierunku nowoczesnych rozwiązań zielonego ładu.

Mamy też niebezpieczny koktajl napięć geopolitycznych – w tym np. niepokojące zachowanie czołowego dostawcy gazu na rynek europejski Gazpromu, który ostatnio utrzymuje wyjątkowo niski poziom dostaw i surowca w magazynach. Pojawiają się też obawy o efektywność nowego systemu energetycznego, szczególnie wrażliwego np. na zmiany pogody.

W tej sytuacji musimy wdrożyć rozwiązania, które zapewnią dostęp do źródeł energii dla najuboższych gospodarstw domowych. Zamiast więc mówić wyłącznie o klimacie i ekologii, powinniśmy także zaprogramować odpowiednie mechanizmy chroniące przed drastycznymi kosztami zmian. I tu np. jednym z pomysłów – w dobie dynamicznego rozwoju fotowoltaiki – jest włączenie indywidualnych odbiorców w proces magazynowania energii – instalując panele słoneczne na własny użytek – będą mogli niejako sami siebie zaopatrywać w energię, ograniczając w efekcie wydatki [oczywiście przy jednoczesnej możliwości efektywnego magazynowania wyprodukowanych zasobów – przyp. red.].

Inauguracyjna debata Zielonego Forum wGospodarce.pl z pewnością nie rozwiązała problemów, jakie niesie transformacja. Warto jednak zwrócić uwagę na ciekawą konstatację wypowiedzi gości, zmierzającą do podkreślenia, że przy tak dynamicznym rozwoju zielonych technologii najpewniej nie znamy jeszcze sposobów np. na magazynowanie, przesyłanie energii, dystrybucji paliwa i jego rodzajów. Ważne, by uczestniczyć w procesie zmiany – ta bowiem jest nieunikniona, nieodwołalna i niezbędna.

Krzysztof Pączkowski

LOTOS wspiera rozwój sektora biogazu i biometanu

Przedstawiciele rządu, inwestorów, podmiotów uczestniczących w łańcuchu dostaw dla tego sektora, organizacji z otoczenia biznesu, jednostek finansowych oraz świata nauki zawarli „Porozumienie o współpracy na rzecz rozwoju sektora biogazu i biometanu w Polsce”. Dokument, którego jednym z sygnatariuszy jest również Grupa LOTOS, podpisano pod koniec listopada w Warszawie

Celem inicjatywy pilotowanej przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska jest wypracowanie działań na rzecz zwiększenia roli sektora wytwarzania biogazu, zbudowania rynku wytwarzania biometanu oraz wzmocnienia pozycji krajowych przedsiębiorców w łańcuchu dostaw. To ważny element implementujący i urzeczywistniający założenia Polskiego Ładu, który ma za zadanie wzmocnić konkurencyjność polskiej gospodarki.

Rozwój sektora produkcji biogazu i biometanu ma kluczowe znaczenie dla przeprowadzenia procesu transformacji polskiej gospodarki w kierunku niskoemisyjnym i jest ważnym elementem Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. Zwiększenie wytwarzania energii z biogazu i biometanu przyczyni się do dywersyfikacji źródeł energii i podniesienia bezpieczeństwa energetycznego Polski, a także wpłynie na realizację celów polityki energetyczno-klimatycznej Unii Europejskiej. To również ważny element walki o poprawę jakości powietrza, poprzez zmniejszenie emisji metanu do atmosfery.

Porozumienie zawiera m.in. listę obszarów kluczowych dla rozwoju całego sektora wraz z uwarunkowaniami, docelowym modelem rynku i postulowanymi kierunkami działań. To przede wszystkim kwestia rozwoju lokalnych sieci dystrybucyjnych dla biogazu i biometanu, łańcucha dostaw



(w tym udziału tzw. local content), czy też zagospodarowania biomasy pochodzącej z rolnictwa i przetwórstwa rolno-spożywczego, a także nawozowego wykorzystania substancji pofermentacyjnych.

Istotnym obszarem są również sposoby zagospodarowania biogazu i biometanu. W Grupie LOTOS prowadzone są prace koncepcyjne dotyczące wykorzystania do produkcji wodoru źródeł odnawialnych. Jedną z opcji jest właśnie użycie biogazu, z którego po oczyszczeniu powstaje biometan. Biowodór (renewable hydrogen) wyprodukowany z biometanu będzie mógł być użyty jako samoistne paliwo wodorowe w przyszłości lub jako biowodór wbudowany w cząsteczki paliw ciekłych i stanowić komponent klasycznych paliw. Projekt ten ma olbrzymi potencjał dla realizacji w Polsce unijnych celów w zakresie stosowania biokomponentów/biopaliw zaawansowanych.

– Zawarte dziś porozumienie obejmuje wiele ważnych i potrzebnych zapisów. Szczególnie istotne są deklaracje dotyczące zapewnienia stabilnego otoczenia regulacyjnego oraz wspólnego wypracowania rozwiązań prawnych zapewniających dynamiczny rozwój całego sektora biogaz/biometan – podkreśla Jarosław Wróbel, wiceprezes zarządu ds. innowacji i inwestycji Grupy LOTOS. – W zastosowaniu biogazu dostrzegamy znaczny potencjał co do dekarbonizacji zarówno przemysłu, jak i transportu. Może być on użyty zarówno w procesie produkcji paliw tradycyjnych, poprzez wytworzenie biowodoru, który jest wykorzystywany w procesach rafineryjnych, jak również bezpośrednio w pojazdach, w postaci bioCNG/bioLNG.

Grupa LOTOS planuje także do 2024 r. uruchomienie innowacyjnej platformy aukcyjnej do kontraktacji dostaw biogazu, biometanu i biowodoru oraz monitorowania stabilności procesów produkcyjnych u dostawców. Projekt zakłada przygotowanie oraz wdrożenie kompleksowej innowacyjnej platformy pozwalającej na kontraktację przez Grupę LOTOS wolumenów paliw ekologicznych, bieżący nadzór nad procesami produkcyjnymi zakontraktowanych instalacji dostawców oraz komunikację promocyjno-informacyjną ze środowiskiem potencjalnych dostawców technologii, instytucjami finansowymi i patentami biznesowymi (dostawcy i odbiorcy paliw ekologicznych).



Inwestycje w OZE coraz bardziej opłacalne

Kto już inwestuje w Polsce w odnawialne źródła energii (OZE) i kto jeszcze może zainwestować? Jaka część rynku OZE jest najbardziej atrakcyjna: fotowoltaika, energetyka wiatrowa, offshore, wodór? Co decyduje o ich atrakcyjności? A może inwestycje w OZE to uciążliwa konieczność, wynikająca z regulacji, niewiele mająca wspólnego z potrzebami rynku? Na te pytania odpowiadali uczestnicy debaty, która odbyła się 22 listopada, pierwszego dnia Zielonego Forum wGospodarce.pl



POLSKA BĘDZIE WIELKIM PLACEM BUDOWY

– Jako resort Funduszy i Polityki Regionalnej jesteśmy od tego, żeby zapewnić stabilne wsparcie inwestycyjne dla różnych sektorów gospodarki, w tym m.in. dla energetyki odnawialnej. Zgodnie z wskazanym już raportem EY w ciągu dwóch lat udało nam się przesunąć z 26. na 22. miejsce, jeżeli chodzi o atrakcyjność inwestowania w OZE w Polsce. To pierwsza jaskółka świadcząca o tym, że istnieje spore zainteresowanie inwestorów zagranicznych tym segmentem. Ważna jest kwestia odpowiedniego skonstruowania wsparcia inwestycyjnego i operacyjnego. Płyniemy w tej samej łodzi co pozostałe kraje członkowskie UE, mamy ambitne zobowiązania, jeżeli chodzi o rok 2050. Staramy się przygotować nowe podstawy wsparcia ze środków UE tak, aby wejść w nowe formy, nowe obszary np. związane z wodorem, tak abyśmy mogli zapewnić sobie przewagi konkurencyjne nie tylko w kwestii przesyłu energii, ale również tej związanej z odbiorem – powiedział Jarosław Orliński, dyrektor departamentu programów infrastrukturalnych w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej.

Zdaniem Piotra Araka, dyrektora Polskiego Instytutu Ekonomicznego, odchodzenie od źródeł nieodnawialnych w energetyce jest światowym konsensem. Polska to kraj, który będzie wielkim placem budowy. – Międzynarodowy Fundusz Walutowy szacuje, że w perspektywie 20–30 lat każda inwestycja w OZE, czyli zainwestowany 1 zł wykreuje 2–3 zł wartości dodanej dla gospodarki. Dlatego też nie dziwi, że Polska staje się coraz bardziej atrakcyjna inwestycyjnie dla przeróżnych technologii. Tych pieniędzy będzie bardzo dużo, z różnych źródeł – prywatnych, bankowych, publicznych. Na inwestycjach w zieloną energię oszczędzać nie będziemy. Polska to jedno z tych miejsc, gdzie pieniędzy będzie najwięcej. Tu będzie największa szansa na marże. I największa szansa na to, aby wykreować wartość dodaną w gospodarce. Co nie oznacza, że ten proces będzie łatwy. Wprost przeciwnie – będzie wymagał wielu bardzo trudnych decyzji – mówił Piotr Arak.

PKN ORLEN – LIDER ZMIAN

Jak rynek OZE wygląda z perspektywy tak dużego podmiotu jak Grupa Orlen? Koncern inwestuje w morskie farmy wiatrowe (Baltic Power), w paliwa ekologiczne, jest liderem powstającej Mazowieckiej Doliny Wodorowej, będzie rozwijał również program biogazowy. PKN Orlen w ostatnich miesiącach podpisał porozumienie o współpracy dotyczące wdrożenia innowacyjnych zeroemisyjnych technologii małych reaktorów jądrowych – SMR. Jaki jest cel stawiania przez koncern tak mocnego nacisku na odnawialne źródła energii?

– Ten zielony kierunek, zielona rewolucja to proces nieodwracalny. Chcemy być prekursorem tych zmian i najlepszym tego dowodem jest zmiana technologii

W raporcie EY (Indeks Atrakcyjności Państw pod względem Energii Odnawialnej [RECAI], publikowany przez EY co dwa lata) pojawia się informacja, według której inwestorzy instytucjonalni, którzy wcześniej nie interesowali się naszym krajem, a mieli Polskę już wcześniej na radarze, teraz zwiększają swoje zainteresowanie ze względu na odnawialne źródła energii. Na całym świecie widać wysoki popyt na inwestycje w OZE. Zarówno ze strony spółek energetycznych, jak i dużych odbiorców energii czy instytucji finansowych. Czy podobnie jest w Polsce? – pytał prowadzący debatę Stanisław Koczot, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej”.

w Elektrowni Ostrołęka z węglowej na gazową. Nie boimy się trudnych decyzji, może kontrowersyjnych, ale takich, które wyznaczają nasz kierunek ku zielonej przyszłości. Z punktu widzenia systemu energetycznego OZE są źródłami niedyspozycyjnymi i ich wartość nie jest taka sama jak elektrowni podstawowych. Owszem, inwestujemy w OZE, ale bardzo duża część naszego portfela znajduje się w elektrowniach gazowych. Obecnie to 1,5 tys. MW. Będziemy mieli ok. 3 tys. MW w elektrowniach gazowych po roku 2026 i to pozwala nam na możliwość racjonalnego inwestowania zarówno w offshore, w lądową energetykę wiatrową czy źródła fotowoltaiczne, ponieważ wiemy, że taki miks wytwarzania jest z punktu widzenia systemu energetycznego jak najbardziej wskazany – stwierdził Jarosław Dybowski, dyrektor wykonawczy ds. energetyki PKN Orlen.

Jego zdaniem inwestowanie w samo OZE tak naprawdę rodzi problemy dla systemu energetycznego. PKN Orlen zamierza inwestować nie tylko w OZE, lecz również tam, gdzie produkcję energii będzie można zbilansować. – Myślimy o wodorze, o małych reaktorach jądrowych (SMR). Reaktory HTR [high-temperature reactor – przyp. red.] mogą produkować też wodór. Jesteśmy jednym z udziałowców Mazowieckiej Doliny Wodorowej, będziemy budować kilka stacji elektrolizy. Wszystko, co robimy, jest zgodne z naszą strategią i celem osiągnięcia do roku 2050 neutralności emisyjnej. Wszystkie ścieżki, które sobie wyznaczaliśmy, składają się na zieloną strategię PKN Orlen – powiedział Jarosław Dybowski.

TRZEBA AKTYWIZOWAĆ POLSKI KAPITAŁ

PFR i Bank Pekao SA ogłosiły niedawno możliwość finansowania projektów OZE, które mogą być realizowane w kontraktach bilateralnych. Dlaczego PFR wchodzi tak mocno w sektor OZE?

– Trudno sobie wyobrazić, żeby PFR nie zaangażował się w największy proces transformacyjny, który wiąże się z licznymi inwestycjami i rozwojem polskiej gospodarki. Pierwszy okres transformacji energetycznej w latach 2008-2015 nie przyniósł Polsce dodatkowych korzyści, ponad przyrost OZE – większość technologii czy funduszy inwestujących w nowe instalacje pochodziło z zagranicy. Dlatego ważnym celem, jaki postawiliśmy sobie, tworząc program PFR Green Hub, jest walka o to, aby jak największa część marży została w Polsce, żeby to krajowe firmy i technologie zostały włączone w proces transformacji i dzięki temu rozwinęły się. Jesteśmy nastawieni na budowanie polskiego łańcucha wartości – powiedział Bartłomiej Pawlak, wiceprezes Polskiego Funduszu Rozwoju (PFR).

Jego zdaniem, aby proces transformacji przebiegał sprawnie i z maksymalną korzyścią dla rozwoju polskiej gospodarki, ważna jest współpraca między przedsiębiorcami, spółkami skarbu państwa i środowiskiem naukowym. – Podjęliśmy współpracę z Bankiem Pekao SA,

a w kolejce pojawiły się już następne banki. Chcemy zawierać kompleksowe umowy, dzięki którym inwestor nie musiałby chodzić od jednej firmy do drugiej, tylko w jednym miejscu mógłby uzyskać kredyty, a także finansowanie kapitałowe. Oferta jest skierowana do tzw. deweloperów działających na rynku OZE. Proponujemy im, aby weszli szczebel wyżej i zostali koinwestorami, zabierając dużo większą część marży niż przy sprzedaży samego projektu. Drugi obszar naszego działania to polskie firmy technologiczne. Bez skoku technologicznego nie będziemy w stanie przeprowadzić transformacji energetycznej, której filarami są właśnie innowacyjne rozwiązania, dlatego podjęliśmy współpracę także z Narodowym Funduszem Badań i Rozwoju. Kolejna oferta jest skierowana do samorządów, aby wspierać lokalny wymiar zmian. Uruchomiliśmy też pierwszy w UE fundusz PFR Venture Green Hub przeznaczony na inwestycje wyłącznie w prośrodowiskowe technologie. Staramy podchodzić do OZE wielowymiarowo, jednocześnie mając z tyłu głowy nasz cel – budowę polskiego łańcucha wartości – mówił Bartłomiej Pawlak.

FUNDUSZE INWESTYCYJNE MIERZĄ RYZYKO

Czy w OZE opłaca się zainwestować każde pieniądze? Jak to wygląda w Polsce? Jaka jest perspektywa tego rynku z punktu widzenia funduszy inwestycyjnych? Czy jest to rynek tylko dla dużych graczy (fundusze zamknięte), czy również dla inwestorów indywidualnych?

– Mamy do czynienia z bardzo różnymi technologiami. Potencjalny inwestor musi sobie odpowiedzieć na wiele pytań. Po pierwsze – jaka technologia interesuje go z punktu widzenia inwestycyjnego? Są technologie nadal na etapie badań, ale są też już dostatecznie rozwinięte, o sprawdzonym modelu biznesowym – np. energetyka wiatrowa. Ale nawet tu mamy projekty znajdujące się na bardzo różnym stopniu rozwoju. Jeżeli jest to etap początkowy, wówczas ryzyko jest duże, ale i stopy zwrotu są wysokie, nawet do 15 proc. rocznie przy długoterminowych projektach. W przypadku najbardziej konserwatywnych inwestorów, kiedy już np. farma wiatrowa stoi i produkuje energię, wówczas możemy właściwie kupić ryzyko na poziomie obligacji, bo wiemy, że ta farma będzie nam generowała przychody; stopa zwrotu jest jednak dużo niższa, poniżej 5 proc. Każdy może znaleźć coś dla siebie – powiedział Marcin Żółtek, wiceprezes TFI PZU. Grupa PZU w połowie tego roku zaangażowała 150 mln zł we współfinansowanie rozbudowy kilku dużych elektrowni wiatrowych.

– Z tego co widzimy, na rynku OZE istnieje olbrzymie zainteresowanie funduszami emerytalnych, tyle tylko że raczej jest to finansowanie dłużne, na drugim czy trzecim etapie realizacji inwestycji, obciążone mniejszym ryzykiem, gdzie stopa zwrotu jest co prawda nieco niższa, ale z kolei horyzont inwestycyjny wręcz idealny dla funduszy emerytalnych. Jednak to zainte-

resowanie głównie ze strony funduszy zagranicznych. Pojawia się pytanie – co z polskimi funduszami emerytalnymi? Regulacje obowiązujące np. Otwarte Fundusze Emerytalne na pewno nie wspierają takich inwestycji. Warto się zastanowić nad takimi zmianami przepisów, które pozwoliłyby także polskim emerytom być beneficjentami tego typu projektów. PZU jako zakład ubezpieczeń też inwestuje w tego typu projekty, właśnie o takim niewielkim ryzyku – dające dość pewne, stabilne zwroty i mające długi horyzont inwestycyjny. Na dzisiejszym etapie rynek OZE jest przeznaczony raczej dla inwestorów instytucjonalnych i funduszy typu zamkniętego. Inwestor detaliczny czy nawet fundusze otwarte będą raczej skazane na inwestycje pośrednie np. w akcje spółek zaangażowanych w OZE – stwierdził Marcin Żółtek.

Na inną formę finansowania inwestycji w transformację energetyczną zwrócił uwagę Piotr Arak. – W dziedzinie partnerstwa publiczno-prywatnego mamy w Polsce przeświadczenie, że tego typu projektów jest bardzo mało. I rzeczywiście, jeżeli patrzymy na Europę Zachodnią, to jest to mało, ale w naszym regionie Europy jesteśmy liderem. I powinniśmy z tego modelu skorzystać przy tego typu inwestycjach. Połączenie pomocy publicznej z inwestycjami małych i średnich przedsiębiorstw i samorządów może przynieść liczące się efekty na rynku OZE – stwierdził Piotr Arak.

FOTOWOLTAIKA PRZECHODZI NA NOWY ETAP

Według danych przekazanych przez Operatorów Systemów Dystrybucyjnych do PSE pod koniec września br. moc instalacji fotowoltaicznych w KSE przekroczyła 6 GW. Ponad 77 proc. mocy zainstalowanej pochodzi z przydomowych instalacji. Prawo się jednak zmienia, co wśród prosumentów wzbudza dużo emocji. Zmiany są po prostu mniej korzystne w stosunku do obecnych warunków. Czy zmiana przepisów przyniesie spowolnienie rynku instalacji prosumenckich? Jakie są perspektywy dla fotowoltaiki?

– Jeszcze sześć lat temu liczba prosumentów w Polsce była na poziomie 4 tys., dzisiaj przekroczyła 700 tys. Miesięczny przyrost liczby klientów prosumentów sięga 35 tys. Sukces związany z rozwojem fotowoltaiki jest duży. Niestety system tzw. wirtualnych magazynów energii zaczyna się wyczerpywać i mamy coraz więcej problemów technicznych z siecią. Funkcjonowanie rynku elektroenergetycznego – przy takich przyrostach prosumentów – jest ryzykowne z punktu widzenia jego stabilności. Patrząc pod kątem opłacalności tego typu inwestycji, na pierwszy rzut oka ta zmiana może się wydawać niekorzystna. Jednak wzrost cen energii przyspiesza termin zwrotu takiej inwestycji. Odwrotu od fotowoltaiki nie widzimy i tego nie zakładamy. Trzeba powiedzieć wprost, że rynek fotowoltaiki przechodzi do kolejnego etapu, z którym musimy się zmierzyć. Rozwój

tego rynku na bazie magazynów energii i większego wykorzystywania produkowanej energii przez prosumenta jest obecnie kluczowy – powiedział Jerzy Pilip, dyrektor departamentu sprzedaży rynku biznesowego, Energa Obrót.

BIOGAZOWNIE – ROZWIĄZANIE DLA ROLNICTWA

Polska ma mocną pozycję na rynku producenta i eksportera towarów rolno-spożywczych bardzo dobrej jakości. Stąd pytanie o znaczenie inwestycji w OZE dla tego sektora – czy Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa (KOWR) pomaga sektorowi rolnemu w rozwijaniu odnawialnych źródeł energii? Jakie działania w tym zakresie prowadzi?

– Podczas produkcji roślinnej i zwierzęcej powstają odpady, które mogą mieć negatywny wpływ na środowisko, trzeba więc znaleźć sposób na ich zagospodarowanie. Z punktu widzenia zielonej transformacji te odpady to świetne substraty, które można wykorzystywać na cele energetyczne, na przykład w biogazowniach rolniczych. Tych instalacji w Polsce nie ma jeszcze dużo – jedynie 126 w skali kraju, choć potencjał surowcowy jest wystarczający do zaspokojenie potrzeb dużo większej ilości instalacji. KOWR, realizując ustawowe zadania, stara się tłumaczyć, jak funkcjonują tego typu instalacje. W tym roku wspólnie z organizacjami reprezentującymi branżę wybraliśmy trzy instalacje biogazowe i na ich przykładzie pokazujemy, jak działają, jak pomagają społecznościom lokalnym, jakie korzyści przynoszą samorządom – mówił Mateusz Balcerowicz, dyrektor Departamentu Innowacji w Krajowym Ośrodku Wsparcia Rolnictwa.

– Działania wprost skierowane do jednostek samorządu terytorialnego, jakie zamierzamy wkrótce podjąć, to przede wszystkim promocja spółdzielni energetycznych. To specyficzne rozwiązanie przeznaczone wyłącznie dla gmin wiejskich i miejsko-wiejskich. Jeżeli produkujemy na miejscu prąd, ciepło, gaz, to możemy na miejscu je konsumować. Jest to taka rozszerzona wersja prosumenta. Dotychczas założono jedną spółdzielnię energetyczną, natomiast mamy dużo zapytań w tej sprawie i uważamy, że jest to ciekawy temat dla wszystkich gmin w Polsce. Ministerstwo Rolnictwa razem ze swoim niemieckim odpowiednikiem realizuje projekt Renaldo, który ma na celu przygotowanie wybranych gmin z województw kujawsko-pomorskiego i podlaskiego do założenia spółdzielni energetycznej.

KOWR prowadzi także działania warsztatowe, skierowane wprost do rolników. W tym przypadku mówimy nie tyle o biogazowniach, ale o mikrobiogazowniach rolniczych – chcemy pokazać rolnikom ich zalety. Wspieramy tego typu rozwiązania, które są elementem gospodarki obiegu zamkniętego – powiedział Mateusz Balcerowicz.

Robert Olesiński

Orlen jest już zielony

Zmieniające się warunki klimatyczne wymuszają również zmiany w obszarze energetyki. Wydarzać by się mogło, że branża paliwowa na tego rodzaju innowacje będzie spoglądać z niechęcią, jednak nic bardziej mylnego, polski czempion – PKN Orlen – śmiało rozwija źródła odnawialne i zielone technologie, pokazując, że wielki gracz może być też wielkim liderem

Grupa Orlen od kilku lat skutecznie poszerza pola swej działalności. Wpisuje się to w strategię Grupy, która zakłada coraz większą dywersyfikację i stawianie na innowacje. Myśl stojąca za tą koncepcją jest jasna – koncern tej wielkości musi wykorzystywać swój potencjał do tego, aby być liderem zmian – któż bowiem mógłby mieć lepszą pozycję niż nasz narodowy czempion?

WODÓR PALIWEM PRZYSZŁOŚCI

Jeszcze kilka lat temu kwestia wodoru była praktycznie nieobecna w debacie dotyczącej energetyki, jednak obecnie inaczej już spoglądamy na to źródło. Tym bardziej że wodór jest wypróbowaną technologią – od dekad skutecznie zasila domy lubujących się w innowacjach Japończyków, nasi zachodni, niemieccy sąsiedzi, eksperymentują zaś z silnikami wodorowymi w luksusowych markach swoich samochodów. Orlen pragnie więc skorzystać z doświadczeń zagranicznych partnerów, jednocześnie wprowadzając wodór w nowe obszary.

„Clean Cities – Hydrogen mobility in Poland (Phase I)” to jeden z największych krajowych projektów, jeśli chodzi o pro-

dukcję wodoru. PKN Orlen zaś zgodnie ze swoją strategią konsekwentnie inwestuje w przyjazne dla środowiska technologie wodorowe. W ramach programu „Clean Cities” koncern zbuduje dwie ogólnodostępne stacje tankowania wodoru w Poznaniu i Katowicach oraz mobilną stację we Wrocławku. Na realizację tego przedsięwzięcia PKN Orlen otrzymał 2 mln euro dofinansowania z unijnego programu „CEF Transport Blending Facility”. To niejedyna inwestycja wodorowa Orlenu, do 2030 r. koncern planuje bowiem budowę ponad 50 stacji tankowania wodoru w całej Polsce.

Orlen jest nowoczesnym koncernem wpisującym się w globalny trend rozwoju innowacyjnych, a przy tym ekologicznych technologii. To tego rodzaju technologie wytyczają drogę do zrównoważonego biznesu. Jedną z nich ma być właśnie technologia wodorowa, bo to przyszłość motoryzacji. Koncern, chcąc objąć silną pozycję w tym perspektywnym segmencie, intensyfikuje prace nad jej rozwojem, aby zajmować silną pozycję konkurencyjną. Dlatego w Trzebini, we Wrocławku, a następnie w Płocku powstaną huby wodorowe. Równolegle koncern podejmuje współpracę z samorządami i miejskimi spółkami komunikacyjnymi, czyli potencjalnymi odbiorcami wodoru. Stacje tankowania



Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 22/11/21/F

wodoru, które Orlen zamierza zbudować, stanowią jego kolejny, naturalny krok w realizacji celów biznesowych.

Stacje będą przystosowane do użytkowania przez wszystkie pojazdy zasilane wodorem – zarówno w standardzie ciśnienia 700 barów dla samochodów osobowych, jak i 350 barów dla autobusów i ciężkiego transportu. Planowana infrastruktura umożliwi tankowanie łącznie ponad 40 autobusów, a także samochodów osobowych i innych pojazdów zasilanych ogniwami wodorowymi – informuje Orlen w komunikacie.

Stacje to jednak nie wszystko, Orlen jest bowiem zaangażowany w stworzenie całej wodorowej doliny. Koncern wspólnie z 24 innymi podmiotami podpisał list intencyjny w sprawie utworzenia Mazowieckiej Doliny Wodorowej. Produkowany w niej wodór będzie wykorzystywany m.in. w transporcie, energetyce, gospodarce komunalnej i rolnictwie. Koncern jako lider tego projektu jest odpowiedzialny m.in. za określenie celów Doliny i przygotowanie strategii jej działania. Wszystko to wpisuje się w jego dążenie do osiągnięcia neutralności emisyjnej do 2050 r.

PKN Orlen już teraz jest jednym z trzech największych producentów wodoru w Europie, a jego priorytetem jest rozwijanie technologii produkcji zielonego wodoru, powstającego z odnawialnych źródeł energii. Jak informuje Orlen w jednym ze swoich komunikatów, Mazowiecka Dolina Wodorowa będzie się opierać na czterech filarach, które przyczynią się do efektywnego rozwoju i upowszechniania technologii wodorowych w polskiej gospodarce. Za główny przyjęto budowę łańcucha wartości wodoru w obszarze Mazowsza, czego przykładem są planowane do wdrożenia przez PKN Orlen pierwsze

projekty, m.in. huby wodorowe w Płocku i Ostrołęce, prototypowa lokomotywa wodorowa oraz stacje tankowania wodoru.

Skoro przy technologiach szynowych jesteśmy, warto wskazać, że PKP, Pesa i Orlen podpisały list intencyjny o współpracy na rzecz wdrożenia technologii wodorowych do transportu szynowego. Spółki chcą razem prowadzić projekty badawczo-rozwojowe i działania zmierzające do zastosowania wodoru na kolei jako paliwa zasilającego pojazdy szynowe.

OFFSHORE TAKŻE OBIECUJĄCY

Wodór nie jest jedynym projektem energetycznym PKN – nasz gigant sprawdza też możliwości, jakie oferuje sektor morskich farm wiatrowych. Pięć spółek z Grupy Orlen zaangażowanych w projekty energetyczne na Bałtyku jest sygnatariuszami tzw. umowy sektorowej. Zainicjowany przez Ministerstwo Klimatu dokument to efekt prac ministerstw, administracji rządowej, inwestorów, przedsiębiorstw, instytucji i organizacji zaangażowanych w rozwój polskiego sektora morskiej energetyki wiatrowej, wyznaczający kierunki rozwoju branży w Polsce. Zgodnie z przyjętymi założeniami sygnatariusze porozumienia będą dążyć m.in. do jak największego zaangażowania polskich firm w realizację inwestycji.

Morska energetyka wiatrowa odegra jedną z kluczowych ról w transformacji energetycznej i osiągnięciu neutralności emisyjnej koncernu. To także nowy atrakcyjny obszar dla rozwoju przemysłu i biznesu w Polsce.

Ton nie koniec inwestycji w offshore, koncern podjął bowiem strategiczne partnerstwo z amerykańską firmą GE Renewable Energy, jednym z czołowych na świecie producentów turbin dla morskich elektrowni wiatrowych. Podpisane porozumienie wzmocni konkurencyjność PKN Orlen w staraniach o nowe koncesje na farmy wiatrowe w polskiej strefie ekonomicznej na Bałtyku. Co więcej, Orlen wybrał też doradcę finansowego dla Baltic Power, czyli pierwszego projektu morskiej farmy wiatrowej realizowanego w partnerstwie z kanadyjską firmą Northland Power – będzie nim konsorcjum Pekao Investment Banking i Green Giraffe. Firmy będą odpowiadały za pozyskanie finansowania umożliwiającego realizację projektu.

Strategia Orlen 2030, zakładająca stanie się liderem zrównoważonej transformacji energetycznej w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, doskonale współgra z szerokim planem transformacji energetycznej kraju. Tym samym warto zaufać inicjatywom PKN Orlen zarówno w materii innowacji, jak i energetyki.

Arkady Saulski

Materiał powstał przy współpracy z





Trójmorze: wielka szansa zielonej energetyki

Kraje regionu Europy Środkowo-Wschodniej mają podobne wyzwania, oczekiwania, ale i problemy związane z proponowanym przez Unię Europejską zielonym ładem, czyli zakrojoną na wielką skalę transformacją energetyczną. Z nowym modelem funkcjonowania gospodarki związane są wielkie obciążenia dla firm – co wynika wprost z ustaleń polityki klimatycznej UE

Podczas debaty „Europa Środkowa może być zielona – współpraca związana z transformacją energetyczną w ramach Trójmorza, Grupy Wyszehradzkiej i kontaktów gospodarczych z krajami regionu”, organizowanej w ramach Zielonego Forum wGospodarce.pl, przedstawiano szanse i zagrożenia charakterystyczne dla tego regionu. Debatę prowadził Stanisław Koczot, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej”.

WSPÓŁPRACA, BY BYŁO STABILNIEJ

Czy region Europy Środkowej oraz powołana w jego ramach Inicjatywa Trójmorza są otwarte na zieloną transformację? Jaki jest stan obecny tego regionu pod względem rozwoju technologii OZE i atrakcyjności dla inwestorów? Według raportu firmy konsultingowej EY, która co dwa lata prezentuje Indeks Atrakcyjności Państw pod względem Energii Odnawialnej RECAI, Polska jest wprawdzie czołowym emitentem dwutlenku węgla (CO₂), lecz jest jednocześnie gospodarczym liderem regionu pod względem rozwoju OZE. Poza Polską atrakcyjne dla inwestorów są też Węgry. Natomiast poziom całego regionalnego rozwoju infrastruktury OZE pozostaje w tyle za Europą Zachodnią.

– Jako Polska jesteśmy atrakcyjnym rynkiem, co wiadać po liczbie zgłaszających się do nas inwestorów. Inwestorzy zawsze pytają o energię odnawialną. Po pierwsze dlatego, że jest to dziś bardzo istotny aspekt w UE – aby produkować na rynki zagraniczne, kooperować z dostawcami zagranicznymi, wymagany jest jakiś udział energii zielonej. Druga przyczyna jest taka, że pewne technologie energetyki zielonej są dziś tańsze i można dzięki temu ustabilizować ceny energii – mówił Tomasz Tomasiak, dyrektor Biura Transformacji Energetycznej w Polskim Funduszu Rozwoju. Jego zdaniem współpraca regionalna powinna się rozwijać w zakresie budowania stabilności i bezpieczeństwa całego systemu. – Mamy coraz więcej energii odnawialnej, jednak jest ona mniej stabilna od konwencjonalnej, czyli zależy od warunków pogodowych. To, że jest tańsza i zdrowsza, to aspekt pozytywny, ale wymaga dodatkowego kosztu, jakim jest stabilizacja źródeł wytwarzania. I w tym wypadku powinna zaistnieć współpraca pomiędzy krajami poprzez połączenia transgraniczne naszych sieci – ocenił.

MAMY TROCHĘ INNE PUNKTY WYJŚCIA

Państwa Europy Środkowo-Wschodniej tworzące własne struktury w ramach UE, których celem jest



Dziękujemy wszystkim zaangażowanym w Zielone Forum wGospodarcie.pl

Pierwsza edycja projektu poświęcona została temu,
jak przeprowadzić zrównoważoną transformację energetyczną
i inwestycje w zieloną energię zgodnie z najlepiej pojętym
interese społeczeństwa i interesem społeczno-gospodarczym
i poszanowaniem środowiska naturalnego.

PARTNER STRATEGICZNY:



PARTNERZY:





ułatwianie rozwoju gospodarczego regionów Grupy Wyszehradzkiej i Trójmorza, deklarują prezentację wspólnych interesów, do których należy m.in. realizacja ekologicznych planów UE. Czy na razie są to jednak tylko deklaracje? A może wręcz państwa rywalizują ze sobą, zamiast współpracować?

Takie można odnieść wrażenie, biorąc za przykład konflikt między Polską a Czechami o kopalnię węgla brunatnego w Turowie.

Mówił o tym podczas debaty Artur Soboń, sekretarz stanu, pełnomocnik Prezesa Rady Ministrów ds. Rozwoju Lokalnego, który podkreślił, że ostatnie węglowe państwa w Europie: Czechy i Polska, prowadzą spór transgraniczny o wpływ kopalni na środowisko. – Spór, w którym bardzo często argumenty wytaczane w debacie publicznej dalece wykraczają poza rzeczywistość. Dziś jest tak, że państwa realizują polityki odrębne. [...] Trudno jest tutaj mówić o jakimś jednolitym bloku. Trzeba uczciwie powiedzieć, że wszyscy mamy trochę inny punkt wyjścia. Dzisiaj miks energetyczny Polski jest specyficzny nie tylko na tle pozostałych krajów UE, ale także na tle naszego subregionu – stwierdził Artur Soboń.

Nasza gospodarka jest oparta na węglu i ten punkt wyjścia trzeba brać pod uwagę. Natomiast Polska i Węgry mają najlepsze, odnotowane przez inwestorów, perspektywy pod względem rozwoju odnawialnych źródeł energii. – Inwestycje, które stoją przed nami, są gigantyczne, a sam rynek jest rosnący, urosł nawet w okresie pandemii. Patrząc globalnie o dwa punkty procentowe – ponad 303 mld dol. w 2020 r. – wskazał Artur Soboń, powołując się na dane firmy EY.

I powinien rosnąć dalej. – Z perspektywy i w interesie Polski jest to, aby rósł jeszcze szybciej, bo będziemy zastępować tradycyjne źródła, które obecnie są obciążone rynkowo ogromnymi kosztami – ceny certyfikatów emisji CO₂ przekroczyły 70 euro za tonę – i w długiej perspektywie czasowej jest to destrukcyjne – akcentował minister.

To oczywiste, że Polska przestawia się na odnawialne źródła oraz przygotowuje nową podstawę energetyczną – atomową. Czy Polska i Węgry mogą się stać centrami nowych technologii w zakresie OZE? – Jest pod tym względem pewna konkurencja, ale wyobrażam sobie takie przedsięwzięcia, w których Polacy, Czesi czy Węgrzy przyjmują jakieś kompetencje i są w stanie tworzyć local

PRZYSZŁOŚĆ JEST Z MIEDZI



60 LAT
KGHM
— POLSKA MIEDŹ —

www.kghm.com



Wierzmy, że przyszłość jest z miedzi! Miedź jest trwała, odporna na rdzę, doskonale przewodzi ciepło i elektryczność. To surowiec niezbędny w fotowoltaice, energetyce wiatrowej, przemyśle motoryzacyjnym, medycynie oraz innych gałęziach nowoczesnego przemysłu. KGHM to Odkrywca – Gigant – Wizjoner. Działalność wydobywczą i przetwórczą prowadzimy od 60 lat, będąc w niej globalnym liderem. Z pasją i wizją budujemy potęgę KGHM na całym świecie.



content na poziomie tej części Europy w partnerstwie z przedsiębiorstwami – mówi Artur Soboń.

DROBNY BIZNES RAZEM Z GIGANTAMI

Na temat tego, czy inwestycje w OZE i postawienie na zieloną transformację zwiększą siłę rynkową przedsiębiorstw, wypowiadał się w debacie Michał Polański, dyrektor Departamentu Wsparcia Przedsiębiorczości w PARP. Zwrócił uwagę, że 2,2 mln małych i średnich polskich firm musi się zmierzyć z kosztem transformacji energetycznej w różnych aspektach, w tym z rosnącymi kosztami energii czy transportu. Jednak jest też bardzo wielu przedsiębiorców, którzy mogą na tym znakomicie zarobić i zyskać. To firmy działające w branży efektywności energetycznej w budownictwie, w IT, która może mieć kolosalny wkład w koncepcje zarządzania energią, w sektorach części samochodowych i środków transportu.

– Robimy wszystko, by zachęcić wielkie koncerny do współpracy z małymi firmami, a szczególnie ze start-upami. Jest wielkie zainteresowanie współpracą z tymi firmami, które są w stanie dostarczyć rozwiązania w zakresie szeroko rozumianej ochrony środowiska czy efektywności energetycznej – mówił Michał Polański.

Podkreślił też znaczenie tworzenia się nowych łańcuchów dostaw czy nawet całych branż, w tym np. morskiej energetyki wiatrowej, przy której powstaniu rozwijać się będą polskie przedsiębiorstwa.

DROGIE PRAWA DO EMISJI

W debacie zwrócono też uwagę na ogromne wyzwanie, jakim są dla naszego regionu Europy koszty związanych z zakupem praw do emisji CO₂. – Europejski Zielony

Ład to duża strategia, która ma doprowadzić do neutralności klimatycznej w UE do 2050 r. To oczywiście nie tylko handel uprawnieniami do emisji, lecz również gospodarka obiegu zamkniętego, stawianie na odnawialne źródła energii i na innowacyjne technologie – mówił Paweł Mzyk, zastępca dyrektora ds. zarządzania emisjami w Instytucie Ochrony Środowiska – Państwowym Instytucie Badawczym.

Na świecie funkcjonuje ok. 60 inicjatyw w zakresie objęcia kosztem emisji dwutlenku węgla, w tym ok. 30 systemów związanych z handlem prawami do emisji CO₂. System unijny jest najbardziej zaawansowany. Funkcjonuje od 2005 r. i przedsiębiorcy mają świadomość jego istnienia. – Ten system z punktu widzenia ochrony środowiska spełnia swoją funkcję. Jest też druga strona – zaproponowane przez KE zmiany w ramach pakietu Fit for 55 – wskazuje Paweł Mzyk. Konsekwencją jednej z nich może być zjawisko ucieczki emisji, tzn. przenoszenie produkcji z Europy, gdzie są wysokie koszty ze względu na politykę klimatyczną, do krajów, gdzie takich obciążeń nie ma.

– Nasze analizy wskazują, że koszty uprawnień do emisji CO₂ w 2030 r. przekroczą 100 euro za tonę. Wydaje się więc, że transformacja i ponoszenie kosztów na technologie niskoemisyjne i gospodarkę innowacyjną muszą nastąpić, i to pomimo ogromnych wydatków – stwierdził Paweł Mzyk. Zwrócił uwagę, że polityka klimatyczna Unii ogranicza podaż tych uprawnień, co przyczynia się do podniesienia ich ceny.

Uczestnicy debaty podkreślali, że z punktu widzenia inwestorów cenna jest możliwość traktowania regionu Europy Środkowo-Wschodniej jako jednego obszaru o zbliżonych parametrach gospodarczych i podobnych potrzebach związanych z transformacją energetyczną. ●

Grażyna Raszkowska

Walka o bezpieczeństwo energetyczne Polski

Radykalna polityka klimatyczna stanowi poważne zagrożenie dla krajów rozwijających się, takich jak Polska. Spekulacyjne wartości uprawnień do emisji CO₂ pokazują, że jedynie szybka transformacja rodzimej energetyki zapewni bezpieczeństwo Polski. Ten kierunek transformacji obrał Tauron, jedna z największych polskich firm energetycznych dostarczających energię do ponad 5,5 mln klientów

Ceny energii w całej Europie rosną w zastraszającym tempie. Średnio w ciągu roku jest to już nawet 200 proc. na rynkach hurtowych. Sytuacja ta wynika przede wszystkim z pocovidowego ożywienia gospodarczego i związanego z nim zapotrzebowania na energię elektryczną.

– Europejski miks wytwórczy jest jednak niezwykle czuły na wahania cen surowców. Aż 1/5 energii produkowanej przez państwa członkowskie pochodzi bowiem z gazowych źródeł. Jeszcze trudniej sytuacja kształtuje się w ciepłownictwie – tu błękitne paliwo odpowiada aż za około 40 proc. produkcji. Gwałtowne wzrosty cen tego surowca oznaczają więc jedno, wzrost cen, który jest odczuwany przez obywateli. Unia stała się niejako surowcowym zakładnikiem Rosji, która za pomocą gazu realizuje swoją geopolityczną strategię. Niebagatelny wpływ na tę sytuację ma presja związana z uruchomieniem gazociągu Nord Stream 2, który choć ukończony, bez ratyfikacji nie może zacząć działać – mówi Artur Michałowski, pełniący obowiązki prezesa zarządu Grupy Tauron.

BEZPIECZEŃSTWO POLSKI

Rodzimy miks wytwórczy wciąż w ok. 70 proc. oparty jest na węglu. Dzięki temu ceny energii w Polsce wciąż należą do najniższych w Europie. Jednak ostra polityka dekarbonizacyjna Unii Europejskiej, a co za tym idzie – błyskawiczny, przebijający wszelkie prognozy wzrost cen uprawnień do emisji CO₂ sprawia, że Polska musi w szyb-

kim tempie dywersyfikować źródła energii, by w przyszłości wciąż opierać swoje bezpieczeństwo na własnych mocach.

Obecnie za prawo do wyemitowania tony dwutlenku węgla zapłacić trzeba już ok. 75 euro. Jeszcze niedawno sama Komisja Europejska zakładała, że taki poziom cen osiągnięty zostanie ok. 2030 r. – Ten czynnik w ogromnym stopniu przekłada się więc na wzrosty cen energii w Polsce. By zapewnić bezpieczeństwo energetyczne kraju, konieczne jest więc uniezależnienie się od surowców przy równoczesnej gwałtownej redukcji emisji. Jedynym możliwym scenariuszem jest taka modernizacja mocy wytwórczych, by w jak największym stopniu zasilane były czystą energią – z wiatru, słońca czy zielonego wodoru – wyjaśnia prezes Michałowski.

ZIELONY ZWROT

Taka zielona rewolucja dzieje się już teraz. Tauron, największy dystrybutor energii w Polsce, od dwóch lat realizuje strategię Zielonego Zwrotu. Zgodnie z założeniami tego pierwszego, wśród polskich firm energetycznych, planu radykalnej zmiany źródeł wytwórczych moc zainstalowana w OZE w 2025 r. ma sięgać 1,6 GW. W 2030 r. katowicki koncern ma z kolei dysponować już 3 GW mocy zainstalowanej w źródłach zero- i niskoemisyjnych. Jednocześnie firma zamierza konsekwentnie inwestować w sieci dystrybucyjne, by przygotować ją na pracę z dynamicznie rozwijającymi się źródłami odnawialnymi.

Takie zmiany w nieodległej perspektywie pozwolą wzmocnić bezpieczeństwo energetyczne Polski i uniezależnić nas od importu surowców i samego prądu z zagranicy. Game changerem ma być tu rozwój morskiej energetyki wiatrowej. Do końca dekady firma chce zainstalować w turbinach na Bałtyku 1 GW. – Rozwój offshore'u ma kluczowe znaczenie dla osiągnięcia naszych celów w zakresie transformacji miks wytwórczego. Zdajemy sobie sprawę, że bez farm wiatrowych na Morzu Bałtyckim zastąpienie źródeł węglowych będzie praktycznie niemożliwe – mówi Artur Michałowski, p.o. prezes zarządu Tauron Polska Energia. Firma inwestuje też w rozwój elektrowni fotowoltaicznych. Ciekawym pomysłem jest na przykład budowa farm fotowoltaicznych na terenach przemysłowych należących do firmy. Pierwszą taką farmę Tauron uruchomił już w Jaworznie na terenie dawnej elektrowni węglowej, kolejne instalacje mają powstać m.in. w Mysłowicach i Stalowej Woli. Jednak zielona rewolucja nie powiedzie się bez nowoczesnych sieci dystrybucyjnych. Tauron każdego roku inwestuje w nie ok. 2 mld zł. W ostatnich tygodniach firma podpisała z Europejskim Bankiem Inwestycyjnym przełomową umowę na 2,8 mld zł. To największe takie finansowanie korporacyjne udzielone przez ten bank w Polsce. Kwota kredytu w całości ma zostać przeznaczona właśnie na cele dystrybucyjne, m.in. na inwestycje związane z rozwojem inteligentnych systemów pomiarowych czy przyłączaniem nowych klientów – także prosumenckich instalacji fotowoltaicznych. 



Kiedy dojedziemy do zeroemisyjności?

Paliwa alternatywne i przejściowe, prąd, gaz i technologie wodorowe. Czy elektryka naładujemy prądem z rzeki? Czy samochód zamiast spalin wyemituje nam tlen? Jak i czy dojedziemy do zeroemisyjnej gospodarki? Na te pytania odpowiedzi szukali eksperci podczas jednej z debat Zielonego Forum wGospodarce.pl w dniach 22–23 listopada 2021 r.



W dyskusji udział wzięli: Maciej Mazur z Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych, dyrektor zarządzający, wiceprezydent AVERE, Marcin Sęk z PGNiG, Robert Chciuk z Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie, Piotr Zaremba z Electromobility Poland SA i Szymon Finke z PKP SA.

SKAZANI NA DEKARBONIZACJĘ?

Jednym z kluczowych problemów transformacji energetycznej są paliwa – te obecne i te, które zdominują

rynek w przyszłości. Na naszym rodzimym podwórku wyzwaniem jest, jak wykorzystać potencjał naszej gospodarki i spółek obecnych na rynku, by osiągnąć efekt synergii, zamiast konkurencji między firmami? Tutaj też rodzi się pytanie – czy jesteśmy skazani tylko na prąd? A może to wodór jest Polsce pisany?

– Z całą pewnością jesteśmy skazani na jedno – by dekarbonizować transport. Jeżeli chcemy osiągnąć neutralność klimatyczną, a ten cel wydaje się bezdyskusyjny w walce ze zmianami klimatycznymi, musimy podejmować efektywne i odpowiedzialne działania na rzecz obniżenia emisji. To bardzo duże wyzwanie, szczególnie z perspektywy polskiej. Polska dysponuje dużą flotą

pojazdów osobowych i ciężarowych, ale jesteśmy na szarym końcu Europy, jeżeli chodzi o wiek i poziom emisyjności pojazdów. Ten stan rzeczy niestety się pogarsza. W efekcie zanieczyszczenia z sektora transportu rosną. Kolejne, poważne wyzwanie jest związane z miksem energetycznym w Polsce. W głównej mierze jest on cały czas oparty na węglu. To musi się zmienić – powiedział Maciej Mazur, dyrektor zarządzający wiceprezydent AVERE, Polskie Stowarzyszenie Paliw Alternatywnych.

Jak wskazywał Maciej Mazur, odpowiedzialna polityka sugeruje, by dążyć do celu, czyli zmniejszać zanieczyszczenia z sektora transportu.

– Z jednej strony powinniśmy wprowadzać na dużą skalę napęd elektryczny do tych obszarów transportu, które są już na to gotowe. Z drugiej elektryfikacji wymaga generujący znaczną ilość emisji transport ciężki – dodaje. – Musimy działać już teraz. Takie próby podejmuje nie tylko Polska, ale i Unia Europejska, czego przykładem jest pakiet regulacyjny Fit for 55, obejmujący m.in. postulat zakazu rejestracji samochodów spalinowych w Europie od 2035 r. Niestety podejście administracji rządowej w Polsce wciąż jest wycinkowe – koncentruje się na poszczególnych obszarach rynku, a nie na jego całości. Brakuje jednej horyzontalnej strategii, z którą możemy przejść w kierunku neutralności klimatycznej do 2050 r. i po drodze wskazać niezbędne kamienie milowe. To powinno się dziać od poziomu administracji centralnej do lokalnej – zaznaczał Maciej Mazur.

WODÓR – SZANSA DLA POLSKI?

Ścieżką do bezemisyjnego transportu jest też napęd wodorowy. To może być szansa, pytanie tylko brzmi, czy będzie to szansa dla transportu osobowego, czy raczej dużego?

– Wodór jest paliwem przyszłości, i zgadzam się z przedmówcą, że trzeba działać już dziś, by możliwie najszybciej zaczął on uzupełniać tradycyjne źródła energii. Spółki naszej Grupy Kapitałowej podjęły wiele działań mających na celu rozwój możliwości wykorzystania tego paliwa – podkreślał Marcin Sęk, zastępca dyrektora Oddziału ds. Rozwoju Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa. – W maju 2020 roku uruchomiliśmy Program Wodorowy. Ze względu na naszą infrastrukturę, wiedzę i doświadczenie skupiamy się na projektach związanych z magazynowaniem i dystrybucją wodoru – dodał Marcin Sęk.

– Jednym z nich jest InGrid – Power to Gas. W ramach projektu zamierzamy w 2022 r. w Oddziale PGNiG w Odolanowie rozpocząć doświadczalną produkcję zielonego wodoru produkowanego z OZE, który następnie będzie zatłaczany do wyodrębnionej sieci gazowniczej. Chcemy też sprawdzić, w jakiej proporcji wodór może być mieszany z gazem oraz jaki będzie wpływ takiej mieszanki na rurociągi i urządzenia końcowe. Obecnie wyniki badań na świecie są różne. W naszym projekcie przewidujemy zakres między 1 a 23 proc. wodoru we wspomnianej mieszance.

– Idąc dalej, pracujemy również nad wielkoskalowym magazynowaniem wodoru. I tu przechodzimy do naszego drugiego projektu związanego z wykorzystaniem kavern solnych. Obecnie składujemy w nich gaz ziemny, ale mogą one posłużyć także do magazynowania wodoru na dużą skalę. Po wypracowaniu konkretnych procedur i regulacji planujemy udostępnienie dla wodoru kaverny solne w rejonie wybrzeża Bałtyku. Mogą być one atrakcyjnym rozwiązaniem dla operatorów morskich farm wiatrowych, którzy chcieliby w nich magazynować zieloną energię.

– Obecnie technologie wodorowe są jeszcze kosztownym rozwiązaniem. Dlatego niezbędne dla rozwoju tego rynku są odpowiednie regulacje prawne oraz dofinansowanie – zaznaczył Marcin Sęk z PGNiG. Dodał, że sektorzy energetyki i transportu mogą być pierwszymi, w których uda się wykorzystać wodór, szczególnie jeśli chodzi o transport zbiorowy, miejski oraz ciężki.

ELEKTROMOBILNOŚĆ DOMINUJĄCĄ SIŁĄ

Co z autami na prąd? Wydaje się, że w transporcie indywidualnym jesteśmy skazani na elektromobilność. Ale czy to jest przesądzone? Czy transport ciężki też może być elektryczny?

– Samochody elektryczne to technologia, która będzie wypierać samochody spalinowe. Wodór pewnie też będzie się rozpychał. Nie sądzę, żeby producenci różnili się między sobą w determinacji, że „ten etap musimy przejść”. Tu musi zwyciężyć pragmatyzm. Dziesięć lat temu rynek jeszcze się kształtował. Dzisiaj widzimy, że wszyscy zainvestowali w technologię baterii i będą chcieli tutaj dobrze żyć. Pragmatycznie patrząc – zablokowane będzie wejście na dużą skalę dla innych technologii. Technologia magazynowania wodoru musi jeszcze zostać mocno dopracowana. Pojedyncze stacje zaczynają powstawać, ale to kropla w morzu potrzeb. Wodór w pierwszej kolejności jest perspektywicznym paliwem dla transportu ciężkiego, być może morskiego, kolejowego. Ale rynek paliw przyszłości będzie miał skomplikowaną strukturę. Np. gaz na pewno znajdzie swoje miejsce. Jednak nie ma wątpliwości, że era samochodów elektrycznych nadchodzi – stwierdził Piotr Zaremba, prezes zarządu, Electromobility Poland SA.

Maciej Mazur z AVERE wskazał, że nadal jesteśmy na wczesnym etapie ewolucji rynku transportowego. Jednak zmiany są dynamiczne – twierdzi Mazur – i w latach 2025–2026 będziemy mieli do czynienia z całkowicie innym jego stanem, np. w zakresie dostępności stacji ładowania.

SYNERGIA A ROLA FOTOWOLTAIKI I ELEKTROWNI WODNYCH

Jak zatem w strategii łączenia różnych OZE wykorzystać w pełni farmy fotowoltaiczne i elektrownie wodne w transporcie? Robert Chciuk, zastępca preze-

sa Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie ds. usług wodnych, zaznaczył, że w przypadku energetyki wodnej istotną rolę odgrywają warunki atmosferyczne, choć nie na taką skalę, jak w przypadku turbin wiatrowych i paneli solarnych. Bo woda zawsze płynie!

– Wody Polskie władają 19 elektrowniami wodnymi o różnej mocy. Na poziom produkcji energii elektrycznej bez wątpienia mają wpływ warunki hydrologiczne. Tak się składa w przyrodzie, że coraz częściej występują dynamiczne, nagłe zmiany warunków atmosferycznych, mamy albo duże opady deszczu, albo długie okresy bezdeszczowe, które wraz z wysokimi temperaturami powodują susze. Dla przykładu, rok czy dwa lata temu ze względu na suszę wolumen produkcji energii elektrycznej z elektrowni wodnych był dwukrotnie niższy niż planowana produkcja w roku bieżącym.

Mając na uwadze zmienność warunków atmosferycznych i w konsekwencji warunków hydrologicznych, wypracowaliśmy strategię uwzględniającą trzy kryteria: przeciwdziałanie skutkom suszy i powodzi, utrzymanie stałego wolumenu produkcji energii elektrycznej oraz tworzenie zapasów w postaci magazynów energii wodnej. Opracowana i obecnie wdrażana strategia oparta jest na wykorzystaniu synergii dwóch niezależnych OZE, tj. energetyki wodnej i farm fotowoltaicznych. Istotą procesu jest produkcja energii elektrycznej z dwóch źródeł w jednym stabilnym spójnym, zintegrowanym systemie zarządzania – wyjaśniał Robert Chciuk z Wód Polskich.

Jak wskazał, w idealnym scenariuszu obok zintegrowanych zespołów elektrownia wodna – farma fotowoltaiczna lub w niewielkiej odległości od nich (np. przy drogach) mogłyby powstawać stacje ładowania aut elektrycznych, co pozwoliłoby uzupełnić białe plamy na mapie stacji ładowania. W niedalekiej przyszłości planujemy rozpoczęcie działań zmierzających do zainteresowania budową takich stacji np. samorządów terytorialnych.

CO NAPĘDZI KOLEJ?

Czy wodór, czy prąd? PKP SA uważa, że dla kolei jedno i drugie źródło energii będzie bardzo istotne.

– Kolej jest jednym z najbardziej ekologicznych środków transportu, ale w momencie gdy myślimy lokalnie. Ekologiczność kolei jest zależna od źródła prądu, które ją napędza. Kolej dąży do elektryfikacji, jednocześnie szukając zielonych źródeł energii. Dodatkowym problemem jest, że nie wszystkie linie kolejowe z poziomu ekonomicznego jest sens elektryfikować. W Polsce ten problem dotyczy głównie linie o znaczeniu lokalnym. Tam trakcja wodorowa może szukać swojego miejsca. Jeżeli chodzi o samo postrzeganie wodoru na kolei, to traktuje się go jako pewne dopełnienie, a nie alternatywę. Im źródła pozyskiwania samej energii są bardziej zielone, tym kolej będzie bardziej zielona. Tak więc OZE będą w przyszłości sposobem napędzania kolei. Z OZE

jest jeden problem – takie źródła energii jak elektrownie wodne czy też coraz częściej stosowane słoneczne są mało stabilne w czasie. W niektórych okresach generują dużo energii, ale nie należą do rzadkości takie, gdy jej nie produkują w wystarczającej ilości – mówił Szymon Finke, dyrektor projektu Biura Badań, Rozwoju i Cyfryzacji PKP SA. – W kontekście rozwoju trakcji wodorowej jednym z istotnych elementów jest rozwój sieci dystrybucji. Nasze działania projektowe skupiają się na tym aspekcie. Zakładając, że w momencie kiedy pojawi się wystarczająco dużo technologii wodorowej na rynku, tam gdzie będzie to bardziej opłacalne od trakcji spalinowej, każdy przewoźnik będzie mógł z takiej trakcji skorzystać. Jeżeli chodzi o lokalne linie, często widzimy z zachodnich przykładów, że impuls idzie od zamawiającego przewoźnika. Jeżeli on wymaga zastosowania trakcji wodorowych, to przewoźnik się do tego dostosowuje.

– Jeżeli chodzi o synergii działań, to kolej stara się przejąć pasażera, który chce jechać na dalsze dystanse. Zjawisko to dotyczy również transportu towarowego. Kolej ma więc swoje istotne miejsce w przemieszczaniu się ludzi i towarów. W celu stawiania się coraz bardziej zielonym środkiem transportu podejmujemy wiele działań. Działania te to dążenie do jak największej elektryfikacji kolei. W miejscach, gdzie używa się trakcji spalinowej i nie można zastąpić jej elektryfikacją, zastąpić ją napędami alternatywnymi. Staramy się, by wodór stał się niejako kompensatorem dla energii produkowanej z OZE. Analizujemy też, również na poziomie europejskim, by wykorzystać kolej jako środek transportu do dystrybucji wodoru. Ale to jest myślenie w szerszym kontekście całego systemu użycia wodoru – dodał Finke.

Podczas podsumowania dyskusji eksperci byli zgodni – każdy na rynku transportu powinien wypełnić swoją rolę. Obszarów synergii jest mnóstwo, ale do wykreowania jest właściwie całkowicie nowy rynek paliw alternatywnych. Jednak w przyszłości ponownie zmienią się realia.

– Potencjał polskich firm rzeczywiście jest duży, ale specyfika rynku motoryzacyjnego polega na tym, że ostatecznie najważniejszy jest produkt. Klient nie potrzebuje najlepszej baterii, tylko chce przejechać tyle i tyle kilometrów samochodem. To misja, którą my w Electromobility Poland wzięliśmy na siebie. Żeby bateria była w korzystnej cenie i była wystarczająco dobra w stosunku do tego, czego oczekuje klient – podsumował prezes Electromobility Poland. – Dzisiaj polskie firmy walczą o to, by w łańcuchu dostaw być jak najwyżej. Jest duża szansa, by z roli poddostawców wejść na ten pierwszy montaż. Tam gdzie rzeczywiście powstają innowacje. To zupełnie inny świat i inna liga. Ja wierzę, że dzięki temu, iż uda się stworzyć produkt, to uda się także naszych dostawców wciągnąć na nowy poziom – podsumował Piotr Zaremba z Electromobility Poland SA.

Kamil Gieroba



Ekostatuetki Firm Odpowiedzialnych za Środowisko 2021

Na pierwsze Zielone Forum wGospodarce.pl złożyły się cztery debaty poświęcone różnym elementom procesu transformacji energetycznej. Na zakończenie tegorocznego forum redakcja ekonomiczna Grupy Medialnej Fratria przyznała po raz pierwszy statuetki Firm Odpowiedzialnych za Środowisko. Wyróżnienia trafiły na ręce przedstawicieli partnerów inauguracyjnej konferencji

W pierwszej debacie „Jak przeprowadzić transformację energetyczną – sprawiedliwie, bezpiecznie i opłacalnie?” udział wzięli: minister Grzegorz Puda, minister Funduszy i Polityki Regionalnej, wiceminister Adam Guibourgé-Czetwertyński, Ministerstwo Klimatu i Środowiska, prezes Artur Warzocha z TAURON Polska Energia SA, prezes TAURON

Nowe Technologie, oraz Karol Wolff z PKN ORLEN, dyrektor Biura Strategii i Projektów Strategicznych.

W panelu „Kto może zainwestować w odnawialne źródła energii (fotowoltaika, energetyka wiatrowa, offshore, wodór) w Polsce? Czy to się opłaca?” udział wzięli: Jerzy Pilip, dyrektor Departamentu Sprzedaży Rynku Biznesowego Energa Obrót SA, Marcin Żółtek, TFI PZU, wiceprezes zarządu, Piotr Arak, dyrektor



Już w poniedziałek 13 grudnia

w tygodniku **SIECI** ostatnia część
cyklu dodatków

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych



MARIAN REJEWSKI – polski matematyk, wybitny kryptolog, który w 1932 roku złamał kod Enigmy, twórca tzw. „bomby Rejewskiego” oraz prekursor nowoczesnych metod łamania szyfrów

Więcej o bohaterach tego i poprzednich dodatków z serii „Giganci nauki PL” w serwisie YouTube na kanale: **IPNtv**



PARTNERZY MERYTORYCZNI



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



PARTNER DODATKU





Polskiego Instytutu Ekonomicznego, Jarosław Orlński, Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej, dyrektor Departamentu Programów Infrastrukturalnych, Bartłomiej Pawlak, wiceprezes PFR, Mateusz Balcerowicz, dyrektor departamentu innowacji, Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa, oraz Jarosław Dybowski, PKN Orlen, dyrektor wykonawczy ds. energetyki.

Drugiego dnia tematem pierwszej debaty było otwarte pytanie: „Czy Europa Środkowa może być zielona? Współpraca związana z transformacją energetyczną w ramach Trójmorza, Grupy Wyszehradzkiej i kontaktów gospodarczych z krajami regionu”. Wśród zaproszonych gości pojawili się: Tomasz Tomasiak z PFR, Artur Soboń, sekretarz stanu, pełnomocnik prezesa Rady Ministrów ds. rozwoju lokalnego, Paweł Mzyk z Instytutu Ochrony Środowiska – Państwowego Instytutu Badawczego, i Michał Polański z PARP.

Kolejna dyskusja nosiła nazwę „Paliwa alternatywne i przejściowe, gaz i technologia wodorowa – jak i czy dojedziemy do zeroemisyjnej gospodarki?”. W gronie panelistów znaleźli się: Maciej Mazur z Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych, dyrektor zarządzający, wiceprezydent AVERE, Tomasz Jarmicki z PGNiG, Robert Chciuk z Państwowego Gospodarstwa Wodne-

go Wody Polskie, Piotr Zaremba z Electromobility Poland SA i Szymon Finke z PKP SA.

Debaty transmitowane były na żywo na facebookowym profilu wGospodarce.pl.

Ekostatuetki Zielonego Forum

Na zakończenie wręczone zostały specjalne wyróżnienia. Otrzymały je:

- PKN Orlen,
- ENERGA Grupa Orlen,
- KGHM Polska Miedź SA,
- Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa,
- Grupa LOTOS SA,
- Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie,
- Polski Fundusz Rozwoju,
- Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo SA,
- Grupa PZU,
- TAURON Polska Energia SA.

– Jako że było to pierwsze, inauguracyjne forum, postanowiliśmy przyznać je wszystkim partnerom konferencji – są to specjalnie wykonane ekostatuetki Firmy Odpowiedzialnej za Środowisko 2021 – wyróżnienia Zielonego Forum wGospodarce.pl – powiedział Maciej Wośko, gratulując wyróżnionym firmom.



Dlaczego gaz w Europie drożeje?

Ponad 80 proc. gazu zużywany w Polsce pochodzi z zagranicy. To dlatego krajowa cena błękitnego paliwa jest ściśle powiązana ze światowymi cenami tego surowca

Tymczasem ceny na europejskich giełdach paliw poszybowały i 6 października osiągnęły historyczny rekord: cena za 1 MWh gazu wyniosła 116,02 euro i była prawie 900 proc. wyższa niż rok wcześniej (13,15 euro).

Jak doszło do tak ogromnych podwyżek? Cena na giełdzie to wypadkowa dostępności surowca (podaży) i zapotrzebowania odbiorców (popytu). Obecnie do Europy dociera mniej gazu z kierunku wschodniego, a zapasy gazu w europejskich magazynach są wyjątkowo niskie, więc kupujący konkurują ze sobą o surowiec, a to podbija jego ceny. Na obecny koszt gazu wpływ ma także ożywienie gospodarek, zwłaszcza Chin i innych krajów azjatyckich, po okresie spowolnienia związanego z COVID-19. Na to wszystko nałożyła się dłuższa niż zwykle zima 2020/2021 oraz inne czynniki pogodowe – np. bezwietrzny wrzesień spowodował mniejsze dostawy energii elektrycznej z elektrowni wiatrowych, które trzeba było zastąpić elektrowniami zasilanymi gazem. Znaczący wpływ na cenę gazu miała również polityka Gazpromu, który odpowiada za ok. 40 proc. dostaw gazu do Europy. W ostatnich miesiącach rosyjska firma dostarczała do Unii Europejskiej tylko tyle gazu, ile przewidują jej umowy długoterminowe, mimo że wcześniej sprzedawała dodatkowe ilości tego paliwa.

Na szczęście Polska jest dobrze przygotowana do zimy i gazu nam nie zabraknie. Jednak kluczowy wpływ na wysokość rachunków za gaz w Polsce mają notowania błękitnego paliwa na Towarowej Giełdzie Energii (TGE). Obecnie kupujący gaz na TGE płacą za gaz ziemny o 377 proc. więcej niż rok temu (zmiana średniej ceny spot listopad 2020 vs. listopad 2021). Ceny gazu w Polsce są z kolei ściśle powiązane z trendami na rynkach europejskich, przede wszystkim z rynkami niemieckim i holenderskim. Dlatego drożyzna za granicą przekłada się na cenę paliwa na TGE, a następnie na cenę paliwa, które wykorzystujemy do gotowania posiłków czy ogrzewania mieszkań. Jak bardzo? To zawsze weryfikuje Prezes Urzędu Regulacji Energetyki, który zatwierdza taryfy stosowane przez firmy sprzedające gaz dla gospodarstw domowych. Jego zadaniem jest dopilnować, aby proponowane przez te firmy podwyżki miały uzasadnienie w ponoszonych przez nie kosztach, a więc nie były nadmierne.

Pamiętajmy też, że gaz nie zawsze drożeje. Od 2016 r. ceny tego paliwa dla odbiorców indywidualnych w ofercie PGNiG Obrót Detaliczny regularnie spadały – jeszcze na początku tego roku cena za gaz była ok. 20 proc. niższa niż w 2015 r.



**Z Janem
Sarnowskim,
wiceministrem
finansów, rozmawia
Edyta Hołdyńska**

Podatkowe nowości

Zmiany podatkowe w Polskim Ładzie niosą z sobą wiele nowości. Czy przedsiębiorcy i podatnicy dostaną wszystkie niezbędne informacje, żeby się do nich przygotować?

Jan Sarnowski: Ministerstwo Finansów już od połowy maja, tj. od momentu ogłoszenia zmian, jest stale zaangażowane w informowanie o założeniach podatkowego pakietu Polskiego Ładu. Staramy się, aby wiedza o tym, co się zmieni w podatkach, skutecznie dotarła do wszystkich przedsiębiorców.

Znacznym ułatwieniem przy wdrożeniu obowiązkowych zmian w oskładkowaniu będzie dla firm uaktualnienie systemu podatkowo-księgowego, z którego korzystają. Dla większości z nich ta zmiana odbędzie się automatycznie, z początkiem stycznia. Od września jesteśmy w kontakcie z firmami oferującymi przedsiębiorcom oprogramowanie księgowe. Odpowiadamy na pytania techniczne i uczestniczymy w testowaniu produktów, z których od początku przyszłego roku będą już mogły korzystać wszystkie firmy. Ważne jest również, aby przedsiębiorcy znali szeroki katalog nowych rozwiązań

dobrowolnych, opcjonalnych, które będą do ich dyspozycji od początku 2022 r. Aby ułatwić im poznanie nowych możliwości, w tym roku Ministerstwo Finansów zaangażowało się w akcję informacyjną i szkoleniową o bezprecedensowej skali. Spotkania z biznesem i webinaria dla profesjonalistów rozpoczęliśmy jeszcze przed przyjęciem przez Sejm nowych rozwiązań. Chcieliśmy dać firmom maksymalnie dużo czasu na przygotowanie się do nadchodzących zmian. Od połowy września przeszkoliliśmy ponad 5 tys. osób – doradców podatkowych, księgowych oraz rozliczających się samodzielnie przedsiębiorców. A w planach jest jeszcze kilkanaście kolejnych spotkań. Do końca roku zamierzamy przeszkolić ponad 10 tys. osób, przede wszystkim tych, które będą wdrażać nowe rozwiązania w firmach. Osobne spotkania zaplanowane zostały dla pracowników Krajowej Administracji Skarbowej, czyli dla osób, które od nowego roku będą odpowiadać na pytania przedsiębiorców, wydawać na ich wniosek indywidualne interpretacje czy wreszcie kontrolować zgodność z prawem procesu wdrożenia w firmach nowych rozwiązań.

Na których zmianach zyskają przedsiębiorcy?

Polski Ład to obniżka obciążeń dla 530 tys. najmniejszych firm. Niższe podatki zapłaci każdy przedsiębiorca, który osiąga dochód niższy niż ok. 6,5 tys. zł miesięcznie. Ale to również rozwiązania, które ułatwią biznesowi znalezienie środków potrzebnych na inwestycje, np. ulgi na pierwszą ofertę giełdową i dla inwestorów – na korzystanie z funduszy venture capital. To także rozwiązania, dzięki którym firmy efektywniej wydadzą każdą złotówkę, którą pozyskają na inwestycje. To m.in. ulgi na robotyzację, na prototyp oraz na zatrudnienie pracowników obsługujących proces wdrażania w biznesie innowacji. Dzięki ulgom procesy inwestycyjne staną się dla firm po prostu tańsze.

Podatki posłużą również stymulacji rynku pracy. Poziom bezrobocia oscyluje w Polsce między 5 a 6 proc., a w dużych ośrodkach miejskich między 2 a 3 proc. Zdobycie potrzebnego pracownika jest dla przedsiębiorcy coraz trudniejszym wyzwaniem. I tu znów pomoże Polski Ład. Od dwóch lat działa już PIT-0 dla młodych, czyli znaczna obniżka podatku dla osób

do 26. roku życia. To istotna zachęta do szybszego wejścia na rynek pracy, do łączenia nauki czy studiów z aktywnością zawodową. Poprzez podniesienie kwoty wolnej w przyszłym roku znacznie zmniejszy obciążenie osób powracających do pracy, dotychczas nieaktywnych zawodowo. Jest ich w Polsce ok. 4 mln, z czego prawie 200 tys. uważa, że wyczerpało już wszystkie możliwości poszukiwania pracy. Biorąc pod uwagę aktualną sytuację na rynku, może to już nie być prawdą. Niższy podatek od pierwszej zarobionej złotówki to dodatkowy impuls, który może ich przekonać do powrotu na rynek pracy.

Polski Ład to również PIT-0 dla powracających, czyli ulga dla Polaków i osób z Kartą Polaka wracających do Polski, a także PIT-0 dla aktywnego zawodowo seniora. Wielu naszych rodaków rozważa powrót do Polski, szczególnie w świetle trudności wynikających z brexitu, dwucyfrowego bezrobocia w krajach południa Europy i utrzymującej się kolejny rok sytuacji epidemicznej. Decydując się na rozwój kariery w kraju, mogą istotnie wzmocnić polską gospodarkę, przynosząc z sobą zdobyte za granicą doświadczenie i umiejętności. Możemy dać im do tego impuls podatkowy. Podobnie jak doświadczonym pracownikom, których warto zachęcać do tego, aby mimo osiągnięcia wieku emerytalnego pozostali aktywni zawodowo. To często osoby o kluczowych dla przedsiębiorców kompetencjach, trudne do zastąpienia, a jednocześnie mogące wiele nauczyć swoich młodszych kolegów. W przyszłym roku obejmie ich ulga PIT-0 dla seniora.

Nieaktywni zawodowo i jednocześnie niezarejestrowani w urzędzie pracy jako bezrobotni mogli pracować również na czarno. To też jest dla nich kuszące, jeśli pracodawca zgodzi się na to, by nie zatrudniać pracownika legalnie. Jak temu przeciwdziałać?

Praca na czarno to sytuacja, w której 100 proc. wynagrodzenia wypłacane jest w sposób niezarejestrowany. Inna sytuacja to zarejestrowanie przynajmniej części wynagrodzenia pracow-

nika i wypłacanie reszty pod stołem. Często nierejestrowanie wypłaty pensji dotyczy nadgodzin albo wynagrodzenia za pracę w weekend. Skala zjawiska zależy od branży i wielkości firmy. Szczególnie często problem pojawia się w hotelarstwie, gastronomii, a także w handlu i budownictwie. O ile w całej gospodarce takich niezarejestrowanych zarobków jest ok. 6 proc., o tyle wśród mikrofirm, zatrudniających do dziewięciu osób, szara strefa dotyczyć może nawet co trzeciego zatrudnionego. Problem dotyczy ok. 1,5 mln polskich pracowników. W przypadku mniejszych firm proceder ten ułatwia bezpośrednia relacja pracodawcy z pracownikiem. Tam również działanie w szarej strefie najbardziej się opłaca. Mikrofirmy dysponują często ograniczonym dostępem do kapitału, a przez to są w niewielkim stopniu zautomatyzowane. Stąd pokusa, by zmniejszyć koszty działalności poprzez obniżenie oficjalnych kosztów wynikających z wypłacania pracownikom wynagrodzeń. Dzięki wprowadzanym w przyszłym roku ulgom mniejszym firmom łatwiej będzie przeprowadzić proces automatyzacji. Ale to nie wszystko – Polski Ład to również narzędzia, które zniechęca pracownika i pracodawcę do działania w szarej strefie.

Jakie to narzędzia?

Praca na czarno oznacza u pracownika i pracodawcy niezgodną z prawem oszczędność na podatku i składkach. Od stycznia 2022 r., dzięki obniżce podatków dla osób mniej zarabiających, zmniejszy się opłacalność tego procederu. Dodatkowo zniesione zostaną bariery prawne, które mogły zniechęcać pracownika do legalizacji zatrudnienia. Dotychczas polski system podatkowy nie sprzyjał pracownikom, którzy mogli być przekonani albo zmuszeni do tego, by pracować w szarej strefie. Jeśli Państwowa Inspekcja Pracy wykryła taki proceder albo jeśli pracownik sam zgłosił do sądu pozew o ustalenie istnienia stosunku pracy i wygrał sprawę, to sam musiał zapłacić zaległe składki i podatki z odsetkami – nawet za pięć lat wstecz. Do tego pracownik był zagro-

żony odpowiedzialnością karnoskarbową. To się teraz zmienia. Polski Ład przenosi całość odpowiedzialności z pracownika na pracodawcę. Od stycznia 2022 r., jeśli odnotujemy fakt zatrudnienia na czarno, zaległy podatek, nieodprowadzony od wynagrodzenia pracownika, będzie w całości pokryty przez pracodawcę. Zapłaci on również zaległe składki. Nie będą one mogły być wliczone do kosztów uzyskania przychodu. Będzie musiał także doliczyć do swoich wpływów dodatkowy przychód w wysokości minimalnego wynagrodzenia za pracę, za każdy miesiąc, w którym trwało nielegalne zatrudnienie. Płacenie wynagrodzenia pod stołem i praca na czarno będą zatem w przyszłym roku jeszcze mniej opłacalne i wiązać się będą ze znacznym ryzykiem po stronie pracodawcy.

Pracownik, który sam się nie godzi na nielegalną pracę, nie będzie miał obawy zgłaszania takiego faktu. Z drugiej strony pracodawca nie będzie akceptował takiego rozwiązania, bo całość odpowiedzialności będzie ciążyła na nim.

Dla MF, ZUS i PIP najważniejsze jest to, aby jak największa liczba osób, które przynajmniej w części otrzymują wynagrodzenie pod stołem, zalegalizowała swoją pracę. Chcemy również dać pracodawcy możliwość powrotu na „jasną stronę mocy” na korzystnych warunkach. Dlatego wprowadzamy szczególnie rodzaj abolicji. Jeśli w danej sprawie nie zostało jeszcze wszczęte postępowanie w zakresie nielegalnego zatrudnienia, to zarówno pracodawca, jak i pracownik nie będą musieli zapłacić zaległego podatku od dochodów osiąganych przez pracującego na czarno pracownika przed końcem 2021 r. Ta zaległość nie będzie musiała być pokryta ani przez pracownika, ani przez pracodawcę. Dodatkowo ani pracodawca, ani pracownik nie będą odpowiadali karnie za to, że nie zgłosili faktu zatrudnienia. W efekcie przełom grudnia i stycznia to najlepszy moment na legalne zatrudnienie pracownika lub na odejście od praktyki wypłacania części wynagrodzenia pod stołem. 



XIX EDYCJA Konkursu im. Władysława Grabskiego



Fot. Andrzej Skwarczyński

Nagrody im. W. Grabskiego wręczone

Wśród laureatów dziennikarze „Gazety Bankowej” i portalu wGospodarcze.pl

Coroczny Konkurs im. Władysława Grabskiego dla dziennikarzy i redakcji ekonomicznych, organizowany przez Narodowy Bank Polski, uznawany jest za jeden z najważniejszych w branży. Wyróżnienia przyznaje kapituła pod przewodnictwem prof. Adama Budnikowskiego, w której zasiadają: prof. Grażyna Ancyparowicz, prof. Rafał Sura, prof. Ireneusz Dąbrowski, red. Danuta Holecka, red. Michał Karnowski, prezes SDP Krzysztof Skowroński i prezes PAP Wojciech Surmacz.

Kapituła konkursu przyznała nagrodę główną i tytuł Dziennikarza Ekonomicznego 2021 roku Maciejowi Wośce, redaktorowi naczelnemu „Gazety Bankowej” i portalu wGospodarcze.pl, za całokształt pracy dziennikarskiej, zwłaszcza za umiejętność prezentowania w przystępny i ciekawy sposób skomplikowanych mechanizmów ekonomicznych oraz za powołanie do życia, wraz z redakcją „Gazety Bankowej”, „Polskiego Kompas”, powszechnie cenionego corocznego raportu o stanie naszej gospodarki.

– Dziękuję kapitule, prof. Adamowi Glapińskiemu, dziękuję zespołowi redakcyjnemu, dziękuję dziennikarzom – bez was nic nie byłoby możliwe. Gratuluję wszystkim nagrodzonym. To bardzo ważne dla mnie i dla naszej redakcji wyróżnienie – mówił Maciej Wośko po odebraniu nagrody. – W czasach, gdy wszyscy znają się na wszystkim, gdy każdy zna się na skuteczności szczepionek i leków, na zasadności używania respiratorów, w czasach, gdy każdy uznaje się za eksperta od budżetu państwa, podatków, cen paliw, wreszcie – stóp procentowych, warto wspomnieć chyba o rzemiosle właśnie. Tym samym dziękuję i wdzięczny dziś jestem moim mistrzom, którzy mnie tego rzemiosła uczyli. Bo zawód dziennikarza to rzemiosło, a nam czasem udaje się po prostu stworzyć coś dobrego. Wierzę, że nasz rocznik „Polski Kompas” jest takim dobrym rzemieślniczym wydarzeniem – dodał redaktor naczelny „Gazety Bankowej”.

Statuetkę w kategorii „Wywiad” otrzymał Stanisław Koczot, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej”. Wyróżnienie przyznano za wywiad opublikowany na łamach „Gazety Bankowej”, zatytułowany „Pułapki Unii Europejskiej”. Kapituła doceniła zawartą w nim dogłębną analizę gospodarki energetycznej Polski i Unii Europejskiej. Za zwrócenie uwagi na ważny aspekt inwestycji krajowych w kontekście rozwoju gospodarczego oraz bezpieczeństwa energetycznego Polski.

– Bardzo dziękuję za dostrzeżenie i wyróżnienie przez kapitułę mojej rozmowy z prof. Tomaszem G. Grossem. Wyzwania, o jakich rozmawialiśmy, są ciągle aktualne. O bezpieczeństwo gospodarcze, energetyczne, a także militarne musimy zadbać sami. Nasz potencjał jest wystarczający, byśmy mogli tego dokonać – mówił Stanisław Koczot, odbierając wyróżnienie.

Z kolei Maksymilian Wysocki, redaktor zarządzający wGospodarcze.pl, został nagrodzony w kategorii „Polityka pieniężna i stabilność finansowa”. Statuetkę za dogłębną analizę systemu płatniczego i nieoczywiste wnioski na temat obrotu gotówkowego ze szczególnym uwzględnieniem uwarunkowań gospodarczych i społecznych – otrzymał za artykuł „Płać, jak chcesz, czyli jak mieć wybór między gotówką a innymi formami płatności”.

– Cieszę się i dziękuję za to fantastyczne wyróżnienie, zwłaszcza że ekonomia stała się dziś platformą do wojny politycznej, a w ekonomii zależy gdzie ucho przyłożyć, tam usłyszymy, co chcemy usłyszeć, i zobaczymy, co chcemy zobaczyć. Tym bardziej nasza, dziennikarzy ekonomicznych i gospodarczych, ważna rola, żeby pomagać rozumieć i wyjaśniać sytuację – powiedział Maksymilian Wysocki, odbierając nagrodę.

Nagrodę za pracę zespołową i tytuł Redakcji 2021 roku otrzymała redakcja programu „Państwo w państwie” z Polsat News za stworzenie wartościowego, atrakcyjnego i oczekiwanego przez wielu widzów cyklicznego programu podejmującego najważniejsze tematy ekonomiczne i społeczne. Nagrody i wyróżnienia w kategoriach:

Polityka pieniężna i stabilność finansowa

- Maksymilian Wysocki, wGospodarcze.pl

Finanse osobiste i edukacja ekonomiczna

- Beata Piechowska-Olszewska, Polskie Radio Dzieciom
- Jacek Musiał, „Śląski Kurier Wnet”

Wywiad

- Emilia Świętochowska, „Dziennik Gazeta Prawna”
- Stanisław Koczot, „Gazeta Bankowa”

Problematyka regionalna

- Zespół redakcyjny TVP3 Rzeszów
- Krystian Kaźmierczyk, Telewizja Republika

Pandemia wyzwaniem dla krajowych finansów i gospodarki

- Grażyna Rakowicz, TVP3 Bydgoszcz

JUTRO NIEDZIELA ROK C

Analiza
Liturgii Słowa
na każdą
niedzielę roku



zamów w **dobroci.pl**



LOTOS Petrobaltic pielegnuje tradycje górnicze

„Górnicy stan hej niech nam żyje, niech żyje nam górniczy stan!”. Barbórka kojarzy się ze świętem górników, które obchodzi się tylko na Śląsku. 4 grudnia to jednak wyjątkowy dzień również dla pracowników przemysłu wydobywczego z innych regionów Polski. Ten dzień świętują m.in. górnicy węgla brunatnego, pracownicy kopalń rud miedzi, soli, jak i morscy górnicy naftowi z LOTOS Petrobaltic

Dynamiczne zmiany realiów gospodarczych i społecznych powodują, że z czasem niektóre obrzędy i zwyczaje zanikają. Nie dotyczy to jednak górników morskich z Gdańska. Od ponad 31 lat LOTOS Petrobaltic pielęgnuje górnicze tradycje, zwyczaje i symbole. To fundamenty zawodowej tożsamości.

Spółka z Gdańska to jedyne polskie przedsiębiorstwo górnicze zajmujące się poszukiwaniem i eksploatacją złóż ropy i gazu na polskim szelfie Morza Bałtyckiego. To jedna z najtrudniejszych dziedzin górnictwa, a co za tym idzie – jej pracownicy wykonują jeden z najtrudniejszych zawodów na świecie. Każdego dnia w swojej pracy stawiają czoła ekstremalnym warunkom pogodowym na platformach wydobywczych i wiertniczych na Morzu Bałtyckim, na pokładach statków, z dala od rodzin, z brzemieniem ogromnej odpowiedzialności. Ich postawa jest godna najwyższego uznania i szacunku.

ZAWÓD GÓRNIKA I JEGO SYMBOLE

Barbórka przypada na 4 grudnia, w imieniny św. Barbary, męczennicy, patronki trudnej pracy i dobrej śmierci. Zawód górnika cechuje trud, gotowość poświęcenia swojego życia oraz braterstwo i zaufanie. W dawnych czasach podczas zjazdu pod powierzchnię



nię górnicy śpiewali hymn, w którym prosili o Boże błogosławieństwo. Praca pod ziemią wiąże się z niebezpieczeństwem rychłej śmierci, zatem górnicy rzadko witają się zwyczajowym „dzień dobry”. Zdecydowanie częściej używają sformułowania „szczęść Boże!”, życząc sobie tym samym bezpiecznego powrotu do domu po udanym dniu pracy. Szczególną symboliką cechują się także barwy górnicze. Czerni stanowi odwołanie do podziemnych czynności, zieleni wyraża natomiast tęsknotę za zielenią lasów i pól, których nie ogląda się podczas pracy w szybie górniczym.

Mundur i czako to także swoiste symbole tego zawodu. Są symbolem przynależności do górniczego stanu, wyrazem tradycji i szczególnego uznania dla ciężkiej i odpowiedzialnej pracy. Czako, czyli charakterystyczne nakrycie głowy, to czarna sztywna czapka z płaskim denkiem. Wysoka na 12,5 cm, z przodu ma nadrukowane godło górnicze, a z lewej strony pióropusz z kogucich piór w kolorze zależnym od stopnia górniczego właściciela. Na godło składają się natomiast skrzyżowane pyrlík i żelosko. Pyrlík to młotek służący do uderzania w żelosko, klin zamontowany na trzonku,



który pomagał górnikom w urabianiu wyrobisk. To jedne z najstarszych narzędzi, jakimi posługiwali się górnicy.

ROZWÓJ LOTOS PETROBALTIC

Barbórka to czas podsumowań mijającego roku. Dla górników z LOTOS Petrobaltic był to okres pracowity, pełen wyzwań i projektów. Rok 2021 rozpoczął się od zakupu i przyplłynięcia na pokładzie statku BBC Belem 280-tonowej boi przelewowej. Przed wejściem do morskiej służby na złożach LOTOS Petrobaltic remont przeszła też boja PB-3. Dbając o środowisko naturalne oraz wspieranie OZE, LOTOS Petrobaltic angażuje się w projekty związane z programem morskiej energetyki wiatrowej. Miniony rok zaowocował podpisaniem aż dwóch listów intencyjnych zapewniających o współpracy przy tego typu projektach, w tym jeden z koncernem zagranicznym, współpracującym z RWE Renewables (RWE), drugim co do wielkości deweloperem i operatorem morskich farm wiatrowych na świecie. Otwarcie na Nowy Zielony Ład jest wyrazem otwarcia spółki na szansę, jaką dają transformacja z koncernu zajmującego się stricte pracą wydobywczą w przedsiębiorstwo wspierające rozwój energii wiatrowej. Zaangażowanie w łańcuch dostaw na rzecz morskich farm wiatrowych pozwoli firmie pozostać na morzu i w sposób zrównoważony poszerzać swoją działalność. Spółka realizuje już kompleksowe usługi dla sektora offshore w zakresie badań dna morskiego. Wielozadaniowy Statek PSV Sylur uczestniczył w pracach ba-

dawczych prowadzonych na obszarze i w okolicach dwóch farm wiatrowych, położonych u brzegów Wielkiej Brytanii. Kolejne projekty z obszaru offshore wind obejmą budowę jednostek instalacyjnych i serwisowych, dzięki którym firma będzie działać jako narodowy operator przy stawianiu, uruchamianiu i serwisowaniu morskich farm wiatrowych.

Na początku lipca skumulowane wydobyć ropy ze złoża B8 przekroczyło milion ton. W październiku spółka uruchomiła system osuszania, sprężania i eksportu gazu na morskiej kopalni ropy PETROBALTIC, pracującej na złożu B8 na Morzu Bałtyckim. Gaz towarzyszący ropy wydobywanej ze złoża płynie już podwodnym rurociągiem do Władysławowa. Na koniec roku spółka wraz ze swoimi partnerami – Grupą LOTOS oraz Grupą Azoty – zaprezentowała zbiór rekomendacji co do zmian legislacyjnych mających umożliwić uruchomienie w Polsce wielkoskalowych, komercyjnych projektów dotyczących podziemnego składowania dwutlenku węgla (ang. carbon capture and storage – CCS). „Zielona księga dla rozwoju CCS w Polsce. Postulaty biznesu w procesie legislacyjnym” obejmuje rekomendacje co do zmian przepisów powszechnie obowiązujących (zarówno rangi ustawowej, jak i rozporządzeń). Aktualne prawo regulujące opisaną działalność nie przystaje do dzisiejszego stanu wiedzy, nauki i techniki. Gwałtowność skutków globalnego ocieplenia wymaga też szybkich działań, a te z kolei są uwarunkowane sprzyjającym otoczeniem

prawnym. W związku z powyższym w ramach spółki LOTOS Petrobaltic utworzony został zespół roboczy, który przy wsparciu partnerów z Grupy LOTOS oraz Grupy Azoty opracował dokument programowy, obejmujący opis zidentyfikowanych problemów prawnych, utrudniających prowadzenie działalności CCS oraz propozycje co do sposobu ich przezwyciężenia.

– Mamy świadomość, że zachodząca transformacja energetyczna stanowi dla Polski epokowe wyzwanie. Technologia CCS jest w naszej ocenie działaniem niezbędnym do jej skutecznego przeprowadzenia, uwzględniającym bezpieczeństwo energetyczne naszego kraju oraz minimalizującym nieuchronne skutki społeczne dekarbonizacji. Dlatego też zdecydowaliśmy się na ogłoszenie propozycji, które pozwolą na realizację i rozwój CCS w Polsce – podkreśla Grzegorz Strzelczyk, prezes zarządu LOTOS Petrobaltic. – Patrząc na przegląd naszych tegorocznych dokonań, jesteśmy przekonani, że pokonamy wszelkie trudności i bariery, które staną na drodze rozwoju firmy LOTOS Petrobaltic. Dzięki kompetencjom, determinacji, poczuciu odpowiedzialności naszych pracowników osiągamy założone cele i będziemy rozbudowywać naszą firmę. Z okazji tegorocznej Barbórki wszystkim pracownikom grupy kapitałowej LOTOS Petrobaltic, pracującym na platformach, statkach, bazie lądowej i w biurach, życzymy bezpiecznej pracy, wszelkiej pomyślności oraz dużo zdrowia! Niech nasza patronka święta Barbara zawsze otacza Was i Wasze rodziny swą życzliwą opieką!

PREZENTY NA ŚWIĘTA

Aparat Fujifilm X-T30

Choć smartfony doprowadziły do zniknięcia z półek kilku typów aparatów fotograficznych (np. prostych kompaktów czy aparatów typu bridge – z dużym zakresem zoomu), to przemysł fotograficzny jeszcze nie umarł i cały czas oferuje ciekawe modele. Bez wątpienia na polu interesujących wizualnie modeli prym wiodzie japońska firma Fuji, zwłaszcza gdy ktoś ma ochotę robić zdjęcia tzw. dalmierzem albo klasyczną lustrzanką. Klasyczną, czyli taką, która do złudzenia przypomina aparaty na film. Ciekawym wyborem będzie Fujifilm X-T30, który oprócz bardzo dobrej matrycy ma również wiele symulacji filmów (Fuji do dziś produkuje filmy do aparatów). Jako alternatywę z czystym sumieniem można zaproponować Nikon Z fc, również do złudzenia przypominającego klasyczne lustrzanki na film.

Cena: Fujifilm X-T30 (z podstawowym obiektywem) – od 4,7 tys. zł, Nikon Z fc (z podstawowym obiektywem) – od 4,6 tys. zł.



Przenośny głośnik Bluetooth JBL Go 2

Coraz częściej słuchamy muzyki na smartfonie czy innych urządzeniach przenośnych, jak tablet czy laptop. I czasem przyda się jakieś dodatkowe źródło, które wzmocni dźwięk. Bardzo dobrze w takiej sytuacji sprawdzi się przenośny głośnik Bluetooth JBL Go 2. Wbudowany akumulator litowo-jonowy zapewnia do pięciu godzin odtwarzania muzyki. Obudowa o klasie wodoszczelności IPX7 sprawia, że głośnika Go 2 można bez obaw używać na plaży, na brzegu basenu, a nawet w samym basenie. Dostępny jest w 12 kolorach, kosztuje ok. 150 zł. Mniej budżetowy, bo kosztujący ok. 600 zł, ale ciekawy jest Marshall Emberton – mały głośnik bezprzewodowy z dobrym dźwiękiem, marka zobowiązuje.



Robot sprząający Dreame D9

Roboty sprząające od pewnego czasu cieszą się sporą popularnością. W sumie nic dziwnego, jeśli urządzenie odkurzy i umyje podłogi, a my w tym czasie zajmujemy się czymś, powiedzmy, przyjemniejszym niż sprzątanie. Robot sprząający Dreame D9 cenowo to raczej średnia półka – ok. 1,2 tys. zł, ale też nie powinniśmy oszczędzać na takich urządzeniach, jeśli się na nie decydujemy. Dreame D9 ma czujnik laserowy, pracuje wg harmonogramu, sprząta również na mokro. Alternatywą może być iRobot Braava 390T Turbo, w niższej cenie, gdyż kosztuje 900 zł.



Smartwatch dla dzieci Garrett Kids Smile

Coś niewielkiego, niedrogiego i umożliwiającego zdalną kontrolę tego, co porabiają nasze pociechy? Smartwatch Garrett Kids Smile. Na zegarek można zadzwonić i porozmawiać, jest także połączenie SOS, gdyby dziecko czuło się w niebezpieczeństwie, wystarczy jedno kliknięcie. Cena – ok. 200 zł. Alternatywą mogą być smartwatche marki Bemi. Na polskim rynku dostępne są trzy modele: Sport, Fun i Kid. Mają one różne funkcje ułatwiające kontakt z dziećmi: można prowadzić rozmowy, nawiązywać połączenia wideo. Różne aplikacje pomogą też sprawdzić, gdzie jest w danym momencie dziecko.



Cena: Kid - 248 zł, Fun - 299 zł, Sport - 498 zł.

Smartfon Realme GT Master Edition

Rynek smartfonów jest ogromny i tylko od grubości portfela zależy, jaki telefon kupimy. Można nabyć najnowsze flagowce znanych i uznanych firm, jak Samsung, Apple, Xiaomi, Asus, ale trzeba się liczyć z wydatkiem rzędu co najmniej 3 tys. zł. Można też kupić telefon z budżetowej półki. Ale może idealnym wyborem będzie po prostu dobry smartfon z przyzwoitą ceną? Takim urządzeniem jest Realme GT Master Edition. Ma dobry aparat, łączność 5G, duży wyświetlacz AMOLED, przyzwoitą baterię, którą da się naładować w ok. pół godziny. I cena: ok. 1,5 tys. zł. Jeżeli ktoś szuka nieco tańszego smartfona, to warto rozważyć zakup POCO X3 Pro – za ok. 1,2 tys. zł.



Ekspres ciśnieniowy kolbowy DeLonghi EC 850.M

Choć w zasadzie jesteśmy narodem herbacianym, to kawie dobrze zaparzonej też nie potrafimy się oprzeć. Jeśli chodzi o wybór ekspresu do kawy, to właściwie nie ma żadnych ograniczeń, producenci robią wszystko, by nas zadowolić, ale często jest to okupione – nomen omen – wysoką ceną urządzenia. Ekspres ciśnieniowy kolbowy DeLonghi EC 850.M wydaje się dobrym wyborem między ceną a jakością i możliwościami ekspresu. Co prawda nie ma młynka, ale spienia mleko, więc cappuccino czy espresso możemy przyrządzać do woli. Cena DeLonghi EC 850.M to ok. 1 tys. zł. Jeżeli nie jesteśmy aż tak zapalonymi kawoszami, to można zwrócić uwagę na kawiarkę elektryczną Ariete Mokina 1358, w przystępnej cenie ok. 140 zł.



Słuchawki Sony WH-CH710N

Czasami trzeba po prostu posłuchać muzyki (lub audiobooka) i przydadzą się do tego dobre słuchawki, które zapewnią nam odpowiedni komfort. Słuchawki Sony WH-CH710N w zasadzie spełniają wszystkie warunki, są bezprzewodowe, więc nie płacze się pod nogami kabel (choć jest wejście mini jack 3,5 mm – jak ktoś potrzebuje), mają aktywną redukcję szumu ANC, dobrą baterię pozwalającą na korzystanie z urządzenia ok. 30 godzin. Muszle słuchawkowe i poduszki są duże, więc nie powinny uciskać uszu. Cena: ok. 300 zł. Jeśli ktoś woli zestaw douszny, to naszą propozycją są słuchawki Marshall Mode, mają dobry dźwięk, w tym bas, który nie dudni, wejście mini jack 3,5 mm i kosztują ok. 200 zł.



Konsola PlayStation 5

Jeżeli chodzi o domową rozrywkę elektroniczną, to jedyna rzecz, która się zmienia przez lata, to numer – obecnie jest to 5. PlayStation 5. Najnowsza konsola Sony tradycyjnie może się pochwalić tzw. exclusivami, czyli grami, które są dostępne tylko na tę konsolę. Ale jak przekonuje Sony, w przytłaczającą większość tytułów z PS4 można zagrać na PS5 dzięki kompatybilności wstecznej. Na rynku konsol od lat, zwłaszcza w naszym kraju, liczy się dwóch graczy, tym drugim jest Microsoft ze swoim najnowszym produktem Xbox Series X/S (Xbox Series X to model podstawowy konsoli i słabszy: Xbox Series S). Podobnie jak w przypadku konsoli Sony na Xbox Series X/S można grać w tytuły, które ukazały się na poprzednika – Xbox One.



Cena: PS5 – od 3,2 tys. zł, Xbox Series X – ok. 3 tys. zł, Xbox Series S – ok. 1,4 tys. zł.

Przygotował Paweł Gadaczek

MACIEJ KOZŁOWSKI, KAZIMIERZ NÓŻKA, MARCIN SCELINA*

Pociąg do gwiazd



Dlaczego jednak nie zbudowano w nim jeszcze teleskopu? Przeszkodą okazuje się zachmurzenie. W Bieszczadach nocne niebo można obserwować przez jedną czwartą roku. I to chyba dobrze. Natura broni się tu przed najeźdźcą i zdeptaniem. Stawia własne warunki. Ci, którzy chcą się w nią wsluchać, muszą ją szanować i się do niej dostosować, ale mogą też na wiele liczyć.

Współautorzy „Nocnego pociągu”, przewodnicy leśnicy, znają wiele bieszczadzskich ścieżek. Także tych, na których w czasie letniego przesilenia botanika spotyka się z obrzędem. Ot, choćby taki nasieźrzał pospolity. Bylina znana w tradycji Słowian. Pożądana szczególnie w noc świętojańską. Szukająca męża dziewczyna musiała dotrzeć w ciemnościach na przyleśną łąkę, rozebrać się, wytarzać w tej roślinie i wypowiedzieć zaklęcie. Jak brzmiało? Zmodyfikowane przez kolejne pokolenia połączyło pogańskie wierzenia z chrześcijaństwem.

„Nasieźrzale, nasieźrzale/ Rwę cię śmiało/ Pięcią palcy, szóstą dłoń/ Niech się chłopcy za mną gonia/ Po stodole, po oborze/ Dopomagaj, Panie Boże”.

Przyjęty przez autorów globalny punkt widzenia nie przesłonił tego, co od lat przyciąga w Bieszczady ludzi. Przyjeżdżających tu na kilka dni, czasem tygodni, miesięcy... Niekiedy zostających na całe życie. Rozmowy o przyrodzie i wskrzeszaniu dawnych tradycji; lokalnej architekturze i muzyce; uzdrawiającej mocy ciemności i fenomenie gwiazdnego nieba; bogactwie czerwonych łąk; kulisach budowy kościołka, który stanął w jedną (!) noc, czy o tajemnicach sów... przywołują bieszczadzki kolor. Prowadzą na szlaki, które wielu pozwalają też wrócić do siebie.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Współautorzy książki „Zanim wyjedziesz w Bieszczady. Nocny pociąg”*

Gdzie jak nie w parku Gwiazdnego Nieba najpewniej odnajdziemy pierwszą gwiazdkę? I gdzie jak nie tam najlepiej wypatrywać sań ciągniętych przez renifery? Chociaż Święty Mikołaj, który co roku pojawia się na ulicach Leska, najchętniej przemieszcza się... wąskotorową kolejką.

O mikołajkowej misji Mariusza Weremińskiego, który 6 grudnia zawsze bierze wolne, by wędrować po mieście, rozdając słodycze (a jego trasę wyznacza dźwięk dzwonu pożyczanego od jezuitów), oraz o wielu innych, niezwykle ciekawych i bardzo różnorodnych sprawach, które rozgrywają się w Bieszczadach, przy czym – choć bliskie tamtejszej ziemi i ludziom – dotyczą nie tylko tego regionu, przeczytać można w książce „Zanim wyjedziesz w Bieszczady. Nocny pociąg” (Wyd. Znak Horyzont).

To trzeci już tom serii firmowanej przez trzech autorów: dwóch leśników – Kazimierza Nóżkę i Wojciecha Scelinę z Nadleśnictwa Baligród (ich profil facebookowy bije rekordy popularności) oraz kulturoznawcę, pisarza

i historyka Macieja Kozłowskiego.

Podobnie jak w części drugiej pełniący funkcję narratora (oraz inicjatora rozmów) Maciej Kozłowski i tym razem dotarł do ludzi, którzy stali się przewodnikami po bardzo interesujących i zarazem szeroko rozpiętych tematach.

Całość zyskała zarówno globalną, jak i kosmiczną perspektywę. W książce pojawia się m.in. wątek zielonej gospodarki i węglowych śladów. Autorom i rozmówcom pomaga go „przewieźć” bieszczadzka wąskotorówka (nie zabrakło przy tym kompetentnej wiedzy i ciekawostek dla fanów kolei).

W kosmos prowadzi wspomniany wcześniej park Gwiazdnego Nieba. Mógł powstać dzięki małemu zaludnieniu i niezbyt rozbudowanej infrastrukturze, które sprawiają, że Bieszczady należą do najmniej „zanieczyszczonych światłem” obszarów Europy. Dzięki temu idealnie nadają się do obserwacji ciał niebieskich.



SŁODKO-SŁONY

Ser z warzywami

ANNA MONICKA



Szukałam ostatnio pomysłu na „coś”, czym dałoby się zastąpić kotleta lub rybę. Zimą trudno pociągnąć na samej zieleninie, bo jednak ciało potrzebuje bardziej solidnego paliwa niż liście salaty, nawet najlepszej. Sztuczne mięso? Cóż, jest jednak podróbka. Może za parę lat będzie godne uwagi, ale na razie nie smakuje nawet mojemu żarłocznemu kocurowi, który nie pogardzi niczym, nawet wygotowaną pietruszką czy selerem. Poszperałam więc trochę na półkach z serami i znalazłam grecki smakołyk – halloumi. Doskonały ser, który zazwyczaj podawany jest latem z grilla. Teraz wprawdzie nie rozpalimy go w ogródku, ale na patelni czy w piekarniku ser wyjdzie doskonale.

Najlepszy halloumi jadłam na Cyprze – czuło się, że kozy pasły się na porośniętych trawą i ziołami łąkach. Był wonny, z nutką mięty, sprężysty, a nie gumowaty, i wspaniale skrzyział w zębach. Pokrojony w paseczki, pięknie zarumieniony, z odcisniętymi śladami po ruszcie, na którym nad żywym ogniem piekły się pewnie tysiące takich serków, był przepyszny dodatkiem do pomidorów, ogórków, cebuli, tartej w sznureczki surowej marchwi i miksów różnych sałat. Gdy wspominam tamte wakacje, natychmiast wyświetla mi się tamto danie, czarne oliwki i wytrawne, chłodne białe wino pachnące sosnową żywicą. W dawnych czasach smarowano nią amfory, żeby napój za szybko się nie psuł.

Przyzwóite cyprijskie halloumi kupi się u nas bez problemu, chociaż ceną zdecydowanie przebijaje schabowego z sieciówki. Polskie firmy też je robią, chociaż nad recepturami powinny jeszcze trochę popracować. Ale cena w okolicach 6 zł za kostkę może przekonać do zakupu.

Ser najlepiej upiec razem z warzywami – układamy go na pergaminie, obok podgotowane ziemniaki pokrojone w ćwiartki, papryki, pomidory, cukinię, pieczarki, marchewki, mrożony bób. Polewamy oliwą, posypujemy z umiarem solą (raczej warzywa, bo ser jest już wystarczająco doprawiony) i pieczemy w dobrze rozgrzanym piekarniku, aż na serze pojawi się skorupka, a warzywa zmiękną i się zazłocą. Jeszcze trochę grubo zmielonego pieprzu, kilka kropeli octu balsamicznego i można podawać. Szkoda tylko, że w naszym chłodnym klimacie smak retsiny jest kompletnie inny niż latem w Grecji.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

W drodze do Egiptu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Oczekując na Boże Narodzenie, w ramach adwentowych przygotowań przenieśmy się na moment dwa tysiące lat wstecz, gdzieś na bezdroża Ziemi Świętej. Święty Józef – pośród wielu innych postawionych mu zadań – musiał się wykazywać umiejętnościami survivalowymi. Sprawdzianem była noc Narodzenia, kiedy w żadnej gospodzie nie udało się znaleźć noclegu. Szybko zapadająca noc na pustyni, nieprzyjazna okolica i Maria, która lada chwila miała rodzić. Brak pieniędzy, brak zresztą jakiegokolwiek rzeczy, o której marzyłoby się w takim momencie – ostatecznie przecież na okrycie małego Synka Matka Boża musiała poświęcić rąbek z głowy, narażając na przemarznięcie samą siebie.

Sprawdzianem była też ucieczka do Egiptu. Za czasów rzymskich kraj ten, ważny dostarczyciel zboża dla imperium (to fenomen, jak pustynny kraj przez tysiące lat do dziś utrzymuje pozycję potentata rolniczego), zarządzany przez prefekta odpowiedzialnego przed cesarzem, miał specjalny status. Tam żołnierze Heroda nie mogli wkroczyć.

O podróży przez pustynię wiemy niedużo. Święty Mateusz Ewangelista pisze krótko: „[...] anioł Pański ukazał się Józefowi we śnie i rzekł: »Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu [...]«”. Więcej dowiadujemy się z apokryficznego tekstu pseudo-Mateusza. Jeżeli czyta się go w grudniu w naszej strefie klimatycznej, bardzo oddziałuje na wyobraźnię: „Po trzech dniach takiego podróżywania Maryja poczuła zmęczenie od nadmiernego żaru pustyni. Widząc palmę, powiedziała do Józefa: »Odpocznę nieco pod jej cieniem«. Józef z pośpiechem zawiózł ją pod palmę i pomógł zejść z osła. Kiedy Maryja spoczęła pod drzewem, przyglądając się liściom palmy, spostrzegła wiele owoców i powiedziała do Józefa: »Chciałabym, jeśli to możliwe, pokosztować owoców tej palmy«”.

Pośród wielu przedstawień malarskich ucieczki do Egiptu można znaleźć i takie, na których Józef gdzieś w tle zrywa z palmy daktylę, ewentualnie strąca ją kijem. Tak namalował to na początku XVI w. Gerard David (obraz znajduje się w Waszyngtonie). Tak też wyobrażone jest to na obrazie wiszącym w słynnej krakowskiej bazylice Na Skalce.

Przedstawienie św. Józefa otrępującego kijem owoce z palmy jest popularne w ikonografii europejskiej. Zachęcam do wytropienia tego motywu w kościele, muzeum lub chociaż w internecie.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Civis, natio, patria

Na Kongresie Edukacji Klasycznej, zorganizowanym przez MEiN, z udziałem ministra prof. Przemysława Czarnka, znalazłem się wśród dyskutantów panelu zatytułowanego „Edukacja klasyczna w obronie cywilizacji”. Lepiej nie mogłem trafić, gdyż od lat popularyzuję naukę prof. Feliksa Konecznego.

Edukacja klasyczna może skutecznie bronić naszej cywilizacji, jeśli uświadomimy sobie znaczenie dawnych terminów, których wciąż pełno w tzw. martwym języku. Zwróciłem uwagę na trzy takie terminy: cywilizacja, nacjonalizm, Ojczyzna. Pierwszy termin „cywilizacja” zawiera w sobie ciekawy rdzeń. Już Adam Mickiewicz w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” (wydanie paryskie 1832 r.) ubolewał, że ci, którzy nam mówią o cywilizacji (miał pewnie na myśli Francuzów), sami nie rozumieją, czym ona jest. Cywilizacja to nie „wykwintne ubiory, smaczna kuchnia, wygodne karczmy, piękne teatry i szerokie drogi” – pisał poeta, słowo „cywilizacja” pochodzi bowiem od łacińskiego słowa „civis” – obywatel, a obywatelem nazywano człowieka, który „poświęcał się za Ojczyznę swą, jako Scevola i Kurcjusz i Decjusz, a poświęcenie takie nazywano obywatelstwem”. Człowiek cywilizowany to człowiek odpowiedzialny za swoje słowa i czyny, gotowy służyć swojemu krajowi, ludziom, „wszystkim ludziom”, tak oceniał tę niewątpliwą ludzką cnotę romantyk Adam Mickiewicz.

Prof. Feliks Koneczny cywilizacją nazwał metodę życia zbiorowego, sposób, w jaki skupiska ludzkie organizują sobie życie. Wyodrębnił i nazwał poszczególne cywilizacje, badając, jaki jest ich stosunek do Boga, religii, prawa, prawa naturalnego, dobra, piękna, dobrobytu, zdrowia, kwestii poznania itd. W cywilizacji łacińskiej, chrześcijańskiej, zwaną też zachodnią, dostrzegał klasyczne „civis” zawarte w personalizmie, supremację sił duchowych nad materialnymi, według nauk Arystotelesa i wiele różnych cech wyróżniających nas spośród innych cywilizacji.

Innym ważnym terminem jest naród. Narody wytworzyły się w długim procesie historycznym z rodów, plemion, ludów, społeczności, państw. Łacińskie „natio” znaczy naród, narodowość. Nacjonalista to narodowiec, przedstawiciel jakiegoś konkretnego narodu, jakiejś nacji. Na przykład ziemianie litewscy już w XVII w. mówili o sobie: „Gente Lituanii, natione Poloni” (z urodzenia Litwini, z narodowości Polacy). Jakże daleko odeszliśmy od tego klasycznego związku, wtłaczając dziś w głowy prymitywne propagandowe hasła:

„Mieszkam w Warszawie, Gdańsku, Olsztynie itd., żyję w Europie”. Żyć i mieszkać można wszędzie, ale przede wszystkim trzeba wiedzieć, kim się jest, jakie jest moje miejsce urodzenia i przynależność narodowa.

Słynny proces „Gazeta Wyborcza” kontra Jarosław Marek Rymkiewicz, zakończony w 2012 r. przegraną poety i grzywną w wysokości 10 tys. zł, polegał na tym, że Rymkiewicz upomniał się o prawdziwe znaczenie słowa „natio”. Bezskutecznie tłumaczył sądowi, że miał prawo pisać o ludziach z „GW” jako o „duchowych spadkobiercach Komunistycznej Partii Polski”, ludziach „wychowanych w nienawiści do polskiego Krzyża”, ludziach „skażonych duchem luksemburgizmu”. Bo to właśnie komunistka i internacjonalistka Róża Luksemburg nazwała pejoratywnie „nacjonalistami” wszystkich przywiązanych do idei państwa narodowego i w ten sposób narzuciła inne znaczenia słowa „natio”. Dziś dla środowisk bliskich „GW” nacjonalista to jak faszysta. Co ciekawe, słowo „nacjonalizm” zastąpiło prawie już dziś nieużywane słowo „szowinizm”, mające od początku złe konotacje, jako że szowinista przedkłada interesy swojego narodu nad interesy czy dobra innego narodu. Prof. Koneczny dobrze rozróżniał znaczenie tych terminów i dlatego uważał, że nacjonalizm jest „ekskluzywny”, czyli jednak egoistycznie dopuszcza, tym samym akceptuje, niepowodzenie innych narodów. Dlatego cechą ze wszech miar pozytywną jest patriotyzm, choć także nie dla wszystkich ludzi w obrębie naszej cywilizacji. Dla walczących z państwami narodowymi, ludzi wyzbytych ojczyzny, nawet słowo „patriota”, wywodzące się z łaciny jako „patria” – ojczyzna, winno się kojarzyć źle.

Celem nihilistycznej mniejszości pod patronatem prof. Magdaleny Środy jest „odnarodowić państwo”, a potem „odpaństwić wspólnoty”.

W tym samym duchu działają, może w pewnym stopniu z braku edukacji, zwolennicy tzw. małych ojczyzn. To próba przeniesienia z języka niemieckiego do języka polskiego słowa „heimat”, w czym widzę dążenie do regionalizacji czy landyzacji Polski na wzór RFN. Niemiecki heimat to rodzinne strony, jak u nas w pieśni „O Warmio moja miła, rodzinna ziemia ma”, ale rodzinna ziemia to na pewno nie „mała ojczyzna”. Polska jest przywiązana do Ojczyzny rozumianej jako Ojcowizna od setek lat. Niemcy dopiero od 1871 r., od zjednoczenia.

Polska jest państwem unitarnym, jedną wspólną, tą samą ojczyzną czy ojcowizną dla wszystkich Polaków i tych wszystkich, którzy czują się Polakami. 

www.wojciechreszczyński.pl



Wybuchnąć śmiechem

Jedną z cech naszego życia publicznego, a właściwie należałoby powiedzieć „życia medialnego”, jest zjawisko przeniesienia kompetencji. Najkrócej rzecz ujmując, polega ono na założeniu, że jeśli jestem kompetentny w dziedzinie A, to automatycznie mam prawo wypowiadać się w dziedzinie B. Mało tego, mogę to robić publicznie, z emfazą i pewnością siebie, wierząc w to, że np. mój sukces kulinarny w pełni upoważnia mnie do doradzania i komentowania, a nade wszystko do oceniania czyichś dokonań np. w dekarstwie czy teologii.

I tak swego czasu bohaterski Janek z „Czterech pancernych” uznał, że ma prawo pouczać nas o praworządności. Nijak nie umiem skleić tych kilku lat spędzonych przez aktora w czołgu z jego tupetem do oceniania innych, którzy nawet czołgu na oczy nie widzieli, bo w tym czasie zgłębiali historię albo prawo, albo nauki medyczne. I nie jest to problem owego aktora, ale problem jego odbiorców, bo to oni budują w sobie przekonanie, że skoro aktor miał Szarika, to na pewno wie, jak ocenić Polaków.

To zresztą przypadek wielu celebrytów, których cenimy za dokonania artystyczne czy sportowe, a którzy po zejściu ze sceny wchodzą na swoją ambonę i nie szczędzą nam pocuć. Gdyby Janda, bez wątpienia – tak jak Gajos – wybitna aktorka, krytykowała sposób mówienia Kaczyńskiego, stosowanie pauz czy intonację głosu albo gestykulację, ciągle mieściłaby się w przestrzeni swoich kompetencji. Jednakowoż jeśli miast tego dokonuje nie tylko oceny, lecz wręcz osądu Polaków, to zachowując zdrowy rozsądek, powinniśmy krzyknąć: „Ale pani się na tym nie zna i plecie pani głupstwa”. Krzyczymy?

Pamiętam, a było to wiele lat temu, gdy poszedłem na spotkanie z wybitnym aktorem, który z reguły grał profesorów, filozofów, intelektualistów, a chyba nigdy prostaków i nieuków. Zdumiało mnie to, jak niewiele miał do powiedzenia o życiu, jak bardzo nie pamiętał swoich ról, które dla nas były przełomowe i ważne, jak niewiele się nimi przejmował. Po prostu maszynka go grania. Było to niezwykle pouczającą wskazówką, że trzeba aktora odróżnić od jego ról. Niby proste, a dzisiaj okazuje się trudne. Pamiętam jakiś wywiad z Bartłomiejem Topą, w którym – nagabywany o swoje sympatie polityczne – powiedział do dziennikarza: „Daj spokój, jestem tylko aktorem”. Urzekające. Myślę sobie, że ów wywiad powinien się stać lekturą obowiązkową dla wszelkich Ostaszewskich, Barcisiów, Zeltów i Kurdejów-Szatanów, a także legionu piosenkarzy czy sportowców. Ale powtarzam – oni mają prawo mówić, bo konstytucja im to gwarantuje, ale my



**Aleksander
Nalaskowski**

mamy prawo się z nich śmiać, bo konstytucja tego nie zabrania. Mamy prawo się z nich sardonicznie śmiać tak samo publicznie, jak oni publicznie mówią i nas pouczają.

Tutaj warto się odnieść do wydarzenia, któremu lewactwo spod parasola „GW” czy Springera próbowało nadać ogromny rozgłos. Kurator małopolska Barbara Nowak odradziła nauczycielom prowadzenie dzieciaków na przedstawienie „Dziadów” Adama Mickiewicza wyreżyserowane przez Maję Kleczewską w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.

Przedstawienie tak nachalnie (wedle mnie prostacko) zostało uwspółcześnione, że myśl i geniusz Mickiewicza umknęły z niego jak witkiewiczowska wata, co ulata. Tak pojmowane „Dziady”, klasyka polskiego dramatu, mają tyle wspólnego z oryginałem i jego

przekazem, ile sławetna „Kłątwa” w Teatrze Współczesnym z dziełem Wyspiańskiego. Dlatego kurator odradzała pokazywanie tego młodzieży, bo bez znajomości oryginału wyjdą z teatru wyłącznie omamieni i wyprowadzeni na poznańczo-lekturowe manowce. Miała do tego prawo! Ale nie „zabraniała”, jak bywało to komentowane, prowadzenia młodzieży do teatru na „Dziady”, lecz odradzała szkolne wyjścia na tę konkretną ich realizację. Nie odradzała „Dziadów” jako takich, ale Kleczewską, bo to ona jest autorką przedstawienia, a nie Mickiewicz. No, ale pouczacze, którzy nie widzieli przedstawienia, przecież wiedzą lepiej. Zgrabnie przenieśli bowiem kompetencje. Bo gdy się zna na polityce, to przecież na Mickiewiczu tym bardziej. Kurator skorzystała ze swego uprawnienia (sprawuje nadzór pedagogiczny) tak samo jak Kleczewska ze swoich praw do swobody artystycznej wypowiedzi. A kto zobaczy przedstawienie (a to warunek sine qua non), sam oceni całą tę sytuację. I nie inaczej! Jest wszak całkowicie oczywiste, że kurator ocenia oferty kulturalne w zgodzie ze swoimi kompetencjami (nadto Barbara Nowak jest z wykształcenia humanistką) i uprawnieniami, mając na uwadze tych, za których odpowiada. Za tę część, którą autorka inscenizacji wydaje się zupełnie nie przejmować. Tak samo zresztą jak Mickiewiczem. Przedstawienie widziałem i w pełni podzielam obawy pani kurator. Te „Dziady” są tak „prawdziwe” jak legenda o pływającym niemal tydzień rzeką Irakijczyk czy kocie, który na piechotę przyszedł do swych właścicieli z Afganistanu. Na afiszu winno być napisane „zbieżność tytułów z dziełem Mickiewicza jest przypadkowa”. Ale przecież artyści, dziennikarze, celebryci mają prawo mówić, pokazywać i demonstrować, a my mamy prawo wybuchnąć głośnym ironicznym śmiechem.



JAN POSPESZALSKI

Kilka dni temu grono medyków, w tym członków Rady Medycznej, wystosowało apel do prezydenta, premiera, ministra zdrowia i marszałków Sejmu i Senatu o wprowadzenie segregacji sanitarnej w Polsce. „My, specjaliści chorób zakaźnych, członkowie zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, którzy od niemal dwóch lat leczymy chorych z COVID-19, w związku z olbrzymią liczbą odnotowanych zachorowań i zgonów spowodowanych COVID-19 [...] apelujemy o [...] podjęcie w trybie pilnym prac nad aktami prawnymi umożliwiającymi kontrolowanie przez pracodawców posiadania przez pracowników Unijnego Certyfikatu COVID i podejmowanie stosownych działań w obrębie zakładów pracy. Po drugie – rozpoczęcie w trybie pilnym prac nad aktami prawnymi ograniczającymi dostęp osób nieposiadających UCC do miejsc publicznych w zamkniętych przestrzeniach lub gdy niemożliwe jest zachowanie dystansu”.

Na naszych oczach organizacja lekarzy, która jest powołana, by dbać o zdrowie obywateli, zmienia się z apolitycznej organizacji zawodowej w grupę, która realizuje nieuprawniony i niejawni cel polityczny. Towarzystwo Epidemiologów, zamiast bronić interesów pacjentów, staje się ciałem, które z niczym

Pytam epidemiologów

Na naszych oczach organizacja lekarzy, która jest powołana, by dbać o zdrowie obywateli, zmienia się w grupę, która realizuje nieuprawniony cel polityczny

nieuzasadnioną determinacją promuje jedną wąską linię poglądów, niezależnie od opinii innych medyków i sprzeczną z konkluzjami świata nauki. Dzieje się to w dniach, gdy dociera do nas coraz więcej badań i statystyk pokazujących niską skuteczność szczepień przeciw COVID-19 i rosnący udział osób zaszczepionych w transmisji wirusa.

2 grudnia na twitterowej stronie Ministerstwa Zdrowia czytamy, że wśród 502 zmarłych z rozpoznaniem COVID-19 359 osób nie było chronionych pełnym zaszczepieniem. Czyli 143 zgony to w pełni zaszczepieni. Przecież ci sami profesorowie przekonywali nas, że szczepienia chronią w 99 proc.

Niech autorzy apelu wytłumaczą nam: czy w pełni chronione to osoby po trzeciej czy po drugiej dawce? Czy w grupie zmarłych nie w pełni chronionych (71 proc.) są też zaszczepieni jedną dawką lub dwiema, lecz od przyjęcia drugiego zastrzyku upłynęło już pół roku? I jeszcze jedna wątpliwość. Według przyjętej kwalifikacji pełna ochrona szczepionką jest dopiero po 14 dniach od przyjęcia drugiej dawki. Czy zatem w liczbie 359 zmarłych, nie w pełni chronionych, są też zmarli po drugiej dawce, przed upływem dwóch tygodni? To ważne, ponieważ amerykańskie statystyki pokazują, że najwięcej zgonów jest w pierwszych dniach od szczepienia (Vaccine Reported Death by Days to Onset All Ages), zatem zgodnie z CDC ta grupa zmarłych będzie ujęta wśród nie w pełni zaszczepionych. Nie wiem, czy profesorowie nawołujący do dyskryminacji niezaszczepionych znają też statystyki brytyjskie. Tam raportowanie jest bar-

dziej rzetelne, a liczba zaszczepionych liczniejsza. Przywołam kilka danych. Według UK Health Security Agency w grupie 40–49 lat w pełni zaszczepieni stanowią 90 proc. wszystkich zarażonych. W wyższych grupach wiekowych 80+ zakażeni w pełni zaszczepieni to 95 proc.

Polskie statystyki także pokazują, że nie istnieje korelacja pomiędzy szczepieniami a zachorowalnością. Agregowane dane za listopad przez naukowca z Politechniki Rzeszowskiej dr. Marka Sobolewskiego pokazują, że w województwach o największym stopniu zaszczepienia jest najwięcej zachorowań. Mazowieckie, przy zaszczepieniu 60 proc., notuje 66,5 zachorowań na 100 tys. mieszkańców, a Podkarpackie – 40 proc. zaszczepionych, ma 36,6 zachorowań. Jednostkowe dane z 30 listopada br.: Mazowieckie – 88,6 zakażeń na 100 tys. mieszkańców (wzrost o 22,1), Podkarpackie – 50,6 (wzrost o 14). Jak widać, szczepionki raczej rozprzestrzeniają infekcję, więc nie wolno nikogo emocjonalnie szantażować ani tym bardziej administracyjnie przymuszać do szczepienia.

Medycyna potrafi określić profil ryzyka pacjenta, u którego szczepienie jest w stanie zapobiec ciężkiemu przebiegowi choroby. Pacjenci, którzy przeszli infekcję, nie obciążają szpitali, więc szczepienie ich nie ma medycznego uzasadnienia. Autorzy apelu, twierdząc, że epidemia zagraża funkcjonowaniu szpitali, takimi właśnie apelami mogą potęgować rozprzestrzenianie się zakażenia przez zaszczepionych. Biorą tym samym na siebie odpowiedzialność za umyślne rozprzestrzenianie się epidemii. /

Znowu podmiana Kidawy-Błońskiej

Maświatne rozpoznanie świata pracujących kobiet – powiedział przewodniczący, forsując kandydaturę Marty Lempart.

Zaprzyjaźniony z nami tygodnik „Peryskop Parlamentarny” („PP”), wydawany przez specjalistów molekularnej fizyki kwantowej, dzięki własnym satelitom nakierowanym na siedziby głównych ugrupowań politycznych, w tym partii rządzącej, na słynną Nowogrodzką, ustalił sensacyjną wiadomość. Poufna informacja pochodzi jednak z innej siedziby. Nie będziemy ukrywać, że chodzi o Platformę Obywatelską, sąsiadującą z Sejmem.

Pod auspicjami ONZ oraz Światowej Federacji Związków Zawodowych, kierowanej od wielu lat przez działaczy liberalnej lewicy, w najbliższy weekend w słonecznej Sewilli, stolicy Andaluzji, odbędzie się ogólnoswiatowa konferencja pod hasłem „Walka o prawa pracujących kobiet”. Polskę reprezentować będzie szefowa Strajku Kobiet Marta Lempart. Decyzja ta zapadła w cieniu bardzo nieprzyjemnych wydarzeń. Zanim je przedstawimy, odnotujmy tylko, że konferencje te odbywają się w cyklu dwuletnim. Gospodarzem



**Jerzy
Jachowicz**

poprzedniej była Brazylia, a uczestników gościło cudowne miasto Belo Horizonte. Temat spotkania brzmiał „Horyzonty liberalnej demokracji”, jej polskim uczestnikiem zaś był Adam Bodnar.

W tym roku zaproszenia kierowano za pośrednictwem Europejskiej Partii Ludowej. Donald Tusk jako szef EPL scedował wybór kandydatki na Kolegium Platformy Obywatelskiej. Podczas spotkania Kolegium zdecydowano, że do Sewilli pojedzie Małgorzata Kidawa-Błońska w nagrodę za wszystkie dotychczasowe zasługi. Trzy dni później Donald Tusk zarządził nadzwyczajne posiedzenie Kolegium. Nie zważając na wyjaśnienia już wybranej kandydatki, że ma gotowe swoje wystąpienie oraz listę zakupów, jakie planuje zrobić, brutalnie jej przerwał, oznajmiając: – Musi jechać Marta Lempart. Już ją o tym zapewniłem. Najważniejsze, że ma bezpośredni żywy kontakt z pracującą kobietą, sprząającą na Nowogrodzkiej. Wyzyskiwaną bezdusznie przez Jarosława Kaczyńskiego. Zanotowały to nawet kamery telewizyjne. Teraz wystarczy tylko podłożyć właściwy dźwięk.

8-lecie WCN WSZYSTKO CO NAJWAŻNIEJSZE

Najnowsza książka Érica Zemmoura do nabycia wyłącznie w świątecznej przedsprzedaży z prenumeratą miesięcznika „Wszystko co Najważniejsze”

**Zrozumieć Francję.
Zrozumieć Europę.
Jeśli taki jest cel,
to tylko z tym Autorem.**

Eryk Mistewicz

Świąteczna promocja:

- 6 numerów miesięcznika + książka: **86 zł**
- 12 numerów miesięcznika + książka: **129 zł**



**NAJLEPSZY
PREZENT
ŚWIĄTECZNY!**

Zakup dla odbiorców w kraju: www.SklepIdei.pl/wcn | Zakup dla odbiorców za granicą: [infolinia +48 58 679 00 00](tel:+48586790000)

www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Czas posprzątać

Nasza piąta kolumna dwoi się i troi, a wychodzi jej piąte przez dziesiąte

Calkiem niespodziewanie uliczną karierę Marty Lampart znacząco nadzarpnęła pani dbająca o zachowanie czystości. To znaczy nie chodzi tu o czystość Marty Lampart, ta nie jest nadto interesująca, chodzi



Ryszard Makowski

o porządek w miejscu publicznym. Przedstawicielka naszej piątej kolumny postanowiła o sobie przypomnieć, a że żadne rzeczy mądre do niej nie przylgnęły, to rozlewała czerwona farbę gdzie popadło, żeby coś niby wyrazić. Miliony, które miała wyciągnąć przeciwko PiS, gdzie się zapodziały, więc szarżowała w pojedynkę.

Media obiegl filmik, kiedy pani ze szczotką ruga aktywistkę i każe jej posprzątać to, co ta była uprzejma naświnić. Arogancja przedstawicielki kobiet zawodów lekkich wobec kobiety ciężko pracującej spowodowała „falę oburzenia” w internecie. Niestety u nas „fala oburzenia” zastępuje prawo. Za wandalizm są przewidziane kary, ale nawet policjanci nie reagują, bo wiedzą, że sądy pewnym personom gwarantują bezkarność.

Paru kastowych sędziów skandowało „Donald, Donald!” na... tak... na uroczystości poświęconej szóstej rocznicy powstania KOD. Obchodzenie rocznicy przedsięwzięcia, które okazało się kompletną klapą, a po liderze tego ugrupowania zostały w pamięci lewe faktury, to dowód, że nasza piąta kolumna goni w piątkę. Sędziowie, uczestnicy tej parodii wiecu, mają gwarancję niezawisłości, ale czy manifestując polityczne uzależnienie, muszą być dopuszczani do orzekania? Może jakaś pani sprzątaczką pogoniłaby ich z gmachu sądu, jeśli adekwatny minister od sześciu lat nie potrafi.

Michał Korsun prezentuje: **Marta Lempart**,
głos wszystkich kobiet oprócz sprzątających



Wycinki z przeszłości

80 lat temu, 2 grudnia 1941 r., zmarł w Warszawie marszałek Edward Rydz-Śmigły. Bohater walk o odzyskanie niepodległości, wojny polsko-bolszewickiej, po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego został generalnym inspektorem Sił Zbrojnych, a rok później marszałkiem Polski. W obliczu napaści sowieckiej na walczącą już z Niemcami ojczyznę, będąc wodzem naczelnym, 17 września 1939 r. przekroczył granicę rumuńską. Po licznych perypetiach wrócił do kraju w październiku 1941 r. Większej roli jednak nie odegrał. Jego zachowanie w kampanii wrześniowej do dziś budzi kontrowersje, podobnie jak przyczyny śmierci i okoliczności pochówku. Wątpliwości może pomóc rozwiązać ekshumacja, którą 15 listopada na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie przeprowadził zespół Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN.

W naszym kąciку portret marszałka z czerwca 1935 r. z tygodnika „Światowid”.

(mk)



Leszek Długosz

Powrót Mochnackiego

Maurycy Mochnacki spoczął na cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Długą drogę przebył ów listopadowy powstaniec, człowiek wielu talentów, pochowany w ojczyźnie niemalże 200 lat (bez 13) po przedwczesnej śmierci. Obecny w naszej pamięci także za sprawą pięknego wiersza Jana Lechońa. Przywołajmy początkowy fragment:

*Mochnacki jak trup błądy siadł przy klawikordzie
I z wolną jął próbować akord po akordzie.
Już ściany pełnej sali w żółtym toną blasku,
A tam w kącie kirasjer w wyzłacanym kasku,
A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,
A wyżej, na galerii – milcz serce! – mundury.
Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,
Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli –
On wie, że okop hardy w tej przepaści rośnie,
Więc skrył się za okopem i zagra o wiośnie.*

Lechoń upamiętnił koncert Mochnackiego, zagrany w Metz w 1832 r., na dwa lata przed śmiercią, utworem, który ukazał się w „Karmazynowym poemacie”, tomie z roku 1920, kiedy znowu mieliśmy Polskę – czyli wiosna, o której grał Mochnacki, nadeszła. Czy młodziutki poeta mógł przypuszczać, że i jemu przyjdzie umierać w rozpacz, na wygnaniu, w roku 1956, gdy nad Wisłą rządzić będą emisariusze moskiewscy?

Warto o tym pomyśleć w grudniowy wieczór, kiedy zmagamy się z rozmaitymi przeciwnościami wokół, ale i pełni nadziei wyczekujemy na Boże Narodzenie.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



*Dzięki mediom
społecznościowym
młodzi uzyskali dziś
ogromną, historycznie
bezprecedensową władzę
nad językiem*

Amerykański serial „Ozark” bywa przerażający i intrygujący. W jednym z odcinków lokalny farmer, producent i handlarz narkotyków, mówi: „Gdy nasze słowa tracą znaczenie, tracamy nasze wartości” („Lost the power of the word, it's like we lose ourselves”).

Kontekst, w jakim zbir wypowiada te słowa, jest następujący: gdy ludzie nie respektują twoich słów, wtedy tracisz ich szacunek. Wniosek jest jasny: gdy ktoś nie liczy się z twoimi słowami, nie masz wyboru – musisz sięgnąć po przemoc fizyczną. Bandyta czuje się wprost przymuszony do sięgania po przemoc: gdyby inni już na dobre przestali się liczyć z jego słowami, gdyby przestali się go bać, nie mógłby realizować swych celów, a w rezultacie straciłby także respekt wobec samego siebie.

NIESTABILNOŚĆ SEMANTYCZNA

Problem dzisiejszych wspólnot ludzkich polega na tym, że szybki rozwój technologii powoduje, że nawet fundamentalne pojęcia tracą stabilność semantyczną – czyli swoje wcześniej utrwalone sensy, znaczenia.

Ludzki język zawsze chyba cechowała pewna otwartość semantyczna – znaczenie słów jest płynne, powstają słowa nowe. Prawdopodobnie, gdyby nie zmienność języka, w ogóle by nie było rozwoju, ale nigdy wcześniej nie było tak daleko posuniętej niestabilności semantycznej jak w czasach rewolucji cyfrowej. A bez pewnej stabilności znaczeń ludzie nie mogą ustalać żadnych wspólnych prawd pojęciowych.

Ta płynność semantyczna umożliwia manipulowanie językiem. Przykładem jest choćby słowo „nowomowa”. Termin *newspeak* pochodzący od pisarza George'a Orwella, już dawno wywędrował on poza ramy jego powieści „Rok 1984”. O nowomowie mówimy, gdy władza autorytarna używa słów w celu sfabrykowania rzeczywistości i narzucania zbiorowości obcego jej systemu wartości.

POD RYNNĘ

Ale wydobywszy się z totalitarnych opresji, pod względem językowym wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Rewolucja cyfrowa przyniosła bowiem ocean dezinformacji i ciągłej niestabilności języka.

Przodują tu ludzie młodzi, prześcigający się w mniej lub bardziej kreatywnej destabilizacji zastanych znaczeń słów i zwrotów. Zaburza to wspólnotę komunikacyjną niezbędną do tego, by prawda była osiągnięta, artykułowana, a roszczenia do niej sprawdzane. Można powiedzieć, iż młodzi, tworząc swój własny żargon, oddzielają się od świata (dorosłych) za pomocą swojej bariery semantycznej. Po taką barierę różne grupy społeczne sięgały nieraz w dziejach. Ale tym razem konsekwencje są znacznie dalej idące.

Dzięki mediom społecznościowym młodzi uzyskali dziś ogromną, historycznie bezprecedensową władzę nad

językiem. Niemal każdy jest w stanie dokonywać tu innowacji. W dodatku nigdy wcześniej w dziejach młodzi nie odgrywali tak istotnej roli w rozwoju technologii, której zmiany powodują powstawanie całych batalionów nowych słów każdego dnia.

PAJDOKRACJA LINGWISTYCZNA

Kogoś może cieszyć, jakie to wszystko kreatywne i demokratyczne: oto każdy może się popisać własnym wkładem w komunikację zbiorową, ale mało kto dostrzega to, z czego zdał sobie sprawę gangster z małej amerykańskiej miejscowości.

Dzisiaj młodzi, buntując się w warstwie języka, czynią to w skali, z jaką historycznie nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia. Jakby mało było innych negatywnych skutków mediów społecznościowych, kreatywni młodzi od wspólnotowiają nasz język – pozbawiają go sensów, ciągłości, zrozumiałości. To swoista pajdokracja lingwistyczna, przed którą coraz trudniej uciec.

W ten sposób przy wsparciu nowoczesnych technologii tracane są nasze wartości. W tym nowym, przez siebie współtworzonym świecie młodzi się gubią, ale po drodze destabilizują także świat ludzi dorosłych i starszych.

PRZEMOC – JEZYK UNIWERSALNY

Gdy słowa tracą znaczenie, w opróżnione miejsce wchodzi *język* uniwersalny – taki, który niezawodnie „trafia” i do ludzi, i do zwierząt: przemoc fizyczna. Przemoc obiekty przemieszcza, powstrzymuje, porządkuje i unicestwia.

Czyżbyśmy, niezależnie od intencji twórców serialu „Ozark”, mieli tu w pigułce opowiedziany jeden z głównych problemów współczesności?

Andrzej Zybertowicz

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności

tygodnika **SIECI**



IX EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz dziewiąty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2020

Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek



2019

Premier
Mateusz Morawiecki



2018

Wicepremier
prof. Piotr Gliński



2017

Prezes Trybunału
Konstytucyjnego
Julia Przyłębska



2016

Prezes PiS
Jarosław
Kaczyński



2015

Prezydent RP
Andrzej Duda



2014

Poeta i pisarz
Jarosław Marek
Rymkiewicz



2013

Historyk z IPN
prof. Krzysztof
Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2021**. Prosimy wypełnić kupon i przesać go do 10 grudnia 2021 r. na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt”. Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek **W**olności 2021 tygodnika **SIECI**

imię i nazwisko kandydata

uzasadnienie

☐ Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2021 tygodnika Sieci” dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.*

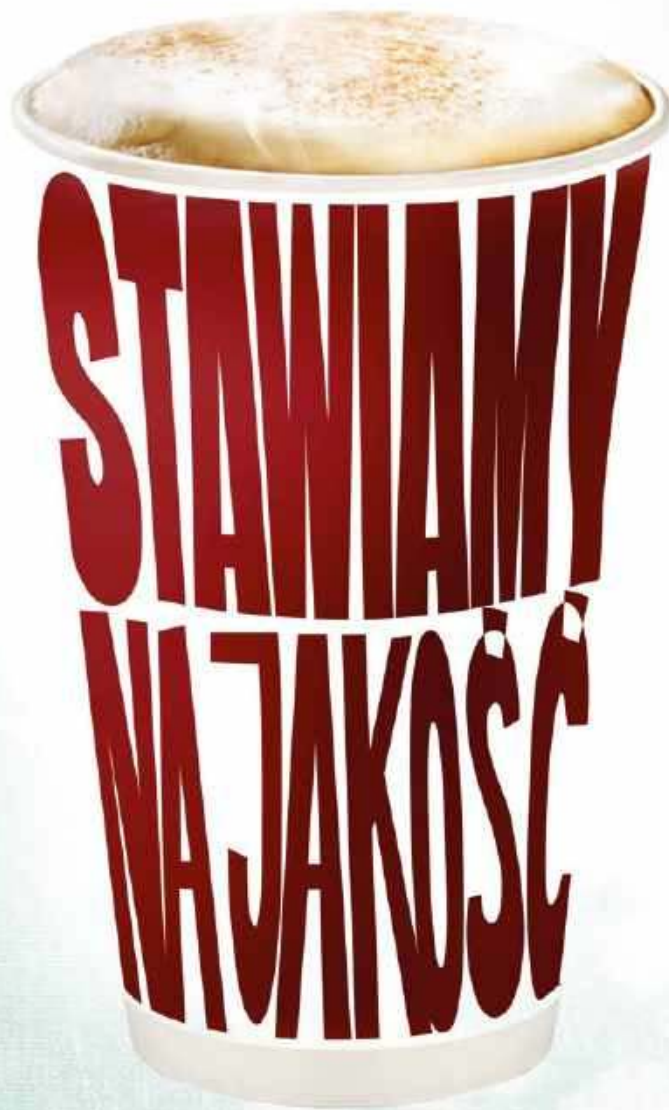
* pole obowiązkowe

Partnerzy plebiscytu





R A Z E M



Twoja kawa promuje odpowiedzialność

Bo wybierasz produkty o naturalnym składzie, w tym naszą kawę, wyróżnioną certyfikatami Fairtrade i World Land Trust. Na dzień dobry.

#zDbałościąoNaturę

